

W drodze,
Twój
Romeo...

○ Pułapka na UFO ○ Arabski Dawid i żydowski Goliat
○ W biały dzień ○ Stryk ○ Kochanica Francuza
○ Nad poziomem morza ○ Kapela

Władza
a charakter
społeczeństwa

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Z tym „Warsem” to był bluff. Przedarłem się zatłoczonym korytarzem aż do ostatniego wagonu, ale bufetu nie było. Była natomiast koszmarnie brudna toaleta, urwana poręcz przy oknie i zasłonka, którą przez wiele miesięcy ktoś czyścił buty. Ruszyłem w drogę powrotną. Pociąg szczykował się powoli do snu. Układano się wygodnie w fotelach, książki i termosy wędrowały do siatek, w niektórych bokсах przygaszono światło. Mościł się także ci w korytarzu, kurzyli ostatnie przed drzwiami „klubowce”, starannie upatrując miejsca, gdzie można by choć trochę wyciągnąć nogi.

W moim przedziale także zrobiło się sennie. Dwie stateczne jeźdźce, które przez ostatnie godziny zawzięcie dyskutowały nad najsłabszą metodą zrzućcia nadwagi, przestały wreszcie pochłaniać tony kanapek i domowych wypieków. Niczym zapasione kury zaplotły pulchne rączyny na podłogach, a znad potrójnych podbrodków wydobywać się zaczęło równe posapkiwanie. Facet obok zasnął już wcześniej. Właściwie ledwie wstał — już spał. Nieprzytomnie — potoczył wzrokiem po współpasażerach, ziewnął ukazując srebro w użębieniu i zasłonił twarz połą wiszącą nad nim wyliniałą jestonki. Para obejmujących się czule studentów powędrowała do przedziału obok. Jechało ich tam chyba więcej, po chwili przez śmiechy i pisaki przebiegł się dźwięk gitary, a młody głos zanucił fragment jednego z ostatnich przebojów Maryli:

„Gdy twoje cory ostrzą pazury.”

A twoje żony piją szpony”

Lysawy mężczyźni siedzący, jak i ja, pod oknem, przyglądali mi się nieco ironicznie.

— No i co? Nie ma piwka?

— zaśmiał się cicho.

— Przecież tu nie ma żadnego „Warsu”...

— A kto panu powiedział że jest?

— To gdzie pan zdobyłeś tego „fula”?

— Życie, młody człowieku —

przymrużył oko. — Bo barek

jest w składzie, tylko trzeba

wiedzieć do którego wejść

przedziału...

Nie udało mi się rewanż za

poczęstunek „wrocławskim”

Był górą, a dla przypieczętowania

swojego zwycięstwa

wyciągnął teraz z torczy jesz-

cze dwa piwa. Sprawnie zer-

wał kapsle wielkim

scyzorykiem, w któ-

rego wyposażeniu

brakowało ch-

tylko piły tarczowej.

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 8 (1352) ROK XXVII

25 LUTEGO 1984 ROKU

CENA 15 ZŁ

EDMUND LEWANDOWSKI

Władza jest przede wszystkim zjawiskiem socjologicznym. Najkrócej można ją zdefiniować jako wywołanie pożądanego zachowania pod sankcją przymusu. Przy czym przymus może mieć różnorodny charakter: od moralnego i religijnego, poprzez prawny i ekonomiczny, do przemocy fizycznej.

W takim ujęciu władza jest czymś uniwersalnym i należącym do natury życia społecznego. Już Tukidydes zauważył powszechność dążenia do władzy. Pisał on: „Wierzymy jeśli chodzi o bogów, a mamy pewność jeśli chodzi o ludzi, że zawsze, z natury rzeczy, każdy, gdzie tylko może, narzuca swoją władzę innym”. A dwa tysiące lat później Monteskiusz podkreślał, że wszyscy, którzy zdobyli władzę, mają naturalną skłonność do jej nadużycia.

Socjologowie odróżniają władzę od autorytetu. Ten ostatni również polega na wywieraniu wpływu i powodowaniu pożądanego zachowania, ale bez używania przymusu. W przypadku autorytetu ludzie spontanicznie i dobrowolnie się podporządkowują. Najlepiej więc, aby władza miała autorytet.

Spśród różnych rodzajów władzy i autorytetu najczęściej uwagi i namietności przykuwa polityka. Jest to zrozumiałe i słuszne, ponieważ chodzi tu o próbę świadomego kształtowania historii. Władza polityczna stanowi niezwykle doniosły, podmiotowy czynnik procesu społeczno-historycznego. Jest ona w moralnym sensie przyczyną wydarzeń dziejowych, tak jak w sensie fizycznym są nią ci, którzy wykonują polecenia. Obie strony — rządzący i rządzeni — wpływają na bieg historii, lecz zwykle tylko pierwszą obarcza się odpowiedzialnością. Toteż w różnych krajach i epokach ludzie narzekali na władzę i obwiniali ją za społeczne niepowodzenia i niesprawiedliwości. Polacy pod tym względem wyróżniają się szczególnie; niemal za wszelkie zło zrzucają winę na rząd i dzieła naród dycho-tomicznie na dobre społeczeństwo (MY) i złą władzę (ONI).

Istnieje jednak w literaturze naukowej teza, że każde społeczeństwo ma w zasadzie taki rząd, na jaki zasługuje. Ten kontrowersyjny i wywołujący często oburzenie pogląd reprezentował Hegel. Ale znajduje go także u historyka brytyjskiego



Było to 19 stycznia 1984 roku. Było już dobrze po południu. Zebrał się w Muzeum Historii Miasta Łódź. Przyszli tu różni ludzie. Rodzina, uczniowie jednej z łódzkich szkół, przedstawiciele różnych instytucji, koledzy z „Głosu Robotniczego” i innych łódzkich redakcji. Przyszli, aby obejrzeć wystawę poświęconą Henrykowi — Henrykowi Rudnickiemu.

Zrobić wystawę poświęconą pracy dziennikarza nie jest łatwo. Nawet wówczas, kiedy ten dziennikarz za swego życia był instytucją i brał udział w wielu interesujących wydarzeniach lub je sam inspirował. Pozostają po dziennikarzu najczęściej sterty zadrutowanego papieru, jakieś notatki, legitymacje, zaproszenia, odznaczenia, dyplomy, nagrody... Można to wszystko tak lub inaczej ułożyć, ciekawie nawet zaprezentować widzom, ale jest to tylko drobny ślad bogatej działalności człowieka. Mała tego częśćka.

Ci wszyscy, którzy znali Henryka Rudnickiego, pracowali z nim razem, stykali się, przysli, aby go sobie przypomnieć, aby swoje wspomnienia wzbogacić, ubrać je w nieznaną szeregów. I to się udało.

Ale gdzieś mi w tym wszystkim głucho zadźwięczał spłz. W znakomitym katalogu wystawy „HENDRYK czyli życie i działalność Henryka Rudnickiego” autor szkicu pt. „Henryka Rudnickiego sztuka dziennikarska” — Henryk Pawlak też widać posłyszał dźwięk tego spłzu i zaczął się sumitować:

„Opisując dziennikarstwo „Hendryka” nie mam zamiaru stawiać znakomitemu żurnaliście kopiecki i twierdzić, że z jego maszyny do pisania spływały same arcydzieła, że w tysiącach

notatek, informacji, komentarzy, artykułów publicystycznych czy felietonów pisanych z dnia na dzień nie było potknięć, błędów, wniosków pochopnych, myśli nie dość precyzyjnie wyrażonych. To jest nie do uniknięcia.”

To też — dodajmy od siebie — w niczym nie

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Przepraszam, ale ja inaczej...

umniejsza zasług Henryka Rudnickiego, ale jego wizerunek czyni bardziej człowieczym. Więc ja pójde tym tropem. Przepraszam, że inaczej powspominam. O człowieku, który był znakomitym dziennikarzem.

1.

Henryka Rudnickiego poznałem wcześniej niż się z nim zetknąłem bezpośrednio. Najpierw dotarła do mnie opinia o nim jako o postrachu dla wszelkiego rodzaju nęgasów, miglanców, kombinatorów i nieudaczników. Był to początek lat sześćdziesiątych. Wówczas, gdy ktoś interesował się dziennikarstwem przychodził na praktykę wakacyjną i jeśli się sprawdził, mógł ewentualnie otrzymać etat.

Był to rok 1962. Pracowałem wówczas w Komitecie Wojewódzkim ZMS w Łodzi, współpra-

cowałem z „Dziennikiem Łódzkim”, „Głosem Robotniczym” i „Odgłosami”. Na praktykę wakacyjną wybierałem się do „Głosu Robotniczego”. Raczej — Stanisławowi Mojkowskiemu rekomendował mnie jego zastępca, Wiesław Bek.

— On dobrze zna województwo — powiedział — więc może damy go do wojewódzkiego — zaproponował.

Mojkowski tylko machnął lekceważąco ręką: — Dajcie go do Rudnickiego — powiedział, a mnie ciarki przeszły po krzyżu.

Pisałem już o tym parę lat temu na łamach „Odgłosów”, wkrótce po śmierci „Hendryka”. Przypomnę teraz tylko, że wówczas Henryk Rudnicki był na urlopie. Jak wrócił po miesiącu, byłem już wprowadzony w arkana działu miejskiego i spokojnie wytrzymałem „pierwsze starcie”. Polegało to na tym, że ja pisałem codzienne swoje informacje, a szef działu miejskiego odkładał je na krzesło, które stało obok jego biurka. Była to próba sił „kto kogo”, czy załamie się nie widząc przez trzy dni nie swego w druk. Nie załamalem się i zyskałem uznanie u wymagającego szefa.

Henryk Rudnicki nie oznaczał się łagodnym stosunkiem do swoich pracowników. Lubił „mięsem rzucić”, w słowach nie przebierał. Z kobietami się nie liczył. Jak ktoś sknocił robotę, mówił o tym wprost.

Etat w „Głosie Robotniczym” dostałem w połowie września 1962 roku i nie przypuszczam, aby Stanisław Mojkowski podjął decyzję bez zapytania o zdanie „Hendryka”. Zresztą długo w dziale miejskim nie pobyłem. Chyba na początku 1963 roku przeszedłem do działu partyjno-ekonomicznego, w którym szefował wówczas Edmund Tulko.

Mundzio — jak nazywaliśmy naszego szefa — był kierownikiem odmiennej typy. Jego dewiza była: „miej zaufanie i nie przeszkadzaj”. Wychodził z założenia, że jak kto chce zarobić, musi się starać. Dobry dziennikarz sam szuka sobie tematów, a on tylko kwalifikuje przedstawione mu gotowe materiały. Tematy rozdzielał rzadko i tylko wówczas, gdy było to konieczne. Zresztą praca w dziale partyjno-ekonomicznym różniła się od tego, co robiło się w dziale miejskim.

2.

Henryk Rudnicki kierownikiem działu miejskiego został w połowie lat pięćdziesiątych i funkcję tę pełnił do odejścia na emeryturę. Siedział w niedużym pokoju, któremu nadał niepowtarzalny charakter. Pełno tam było różnych „staroci”. Fragment śmigła od samolotu,

7

Już wiele razy miałem okazję pisać o ogromnym zapotrzebowaniu na historię. Rozprawy historyczne, zbiory dokumentów, opowieści o naszej najnowszej i najdalszej przeszłości ciągle budzą zainteresowanie, bliska-wiznie znikają z księgarń, a niekiedy nawet nie oglądają się sprzedawane spod niej. Skąd to zainteresowanie przeszłością?

Bierze się ono z potrzeby potwierdzenia swojej tożsamości narodowej, dla której nasza trudna i bohaterska przeszłość ma ogromne znaczenie. Szczególnie teraz, gdy przeżywamy kryzys, gdy jest trudno, historia uczy nas jak żyć, jak przeżyć, jak pokonać trudności. Naszym poprzednikom — zdaje się mówić — też nie było łatwo, a proszę, wolność dwukrotnie wywalczyli, Polskę odbudowali ze zniszczeń, robili wszystko, aby uczynić ją silną, dlaczego my mamy być gorsi?!

Jest też i inny powód. Traktowaliśmy historię jako element gry politycznej. Nie wszystko i o wszystkim mówiliśmy. Nie wszystko właściwie oświećliśmy. Z metody tej skorzystał przesa i przeciwnik polityczny. Powoli jednak znikają tematy tabu, co też budzi zainteresowanie szczególnie historią najnowsza.

No i nakłady książek historycznych nie są najwyższe, a to znów powoduje, że niekiedy znikają spod lady tak szybko, jak tylko można sobie wyobrazić. Historia interesująca się zarówno młodzi, jak i starzy. Historia pokazująca jak ludzie pracowali i walczyli i dlaczego pamięć o nich powinna być trwała.

TYGODNIK KULTURALNY (nr 8 z 19 lutego 1984 r.), opublikował artykuł Jana Borkowskiego pt. „Ponad prywatną i podziałami”, traktujący

O ŻYCIU I DZIAŁALNOŚCI MACIEJA RATAJĄ

Urodził się on 19 lutego 1884 roku we wsi Chłoby w województwie lwowskim. Był synem chłopa. Ukończył gimnazjum lwowskie, a później uniwersytet lwowski. Zaczął pracować jako nauczyciel łaciny najpierw we Lwowie, później w Zamościu. Tam też redagował „Gazetę Zamojską”. Nigdy nie zapomni, że był chłopem. Jan Borkowski cytuje jego list do córki:

„Jestem chłopem, synem, a ty Hanuś, wnuczką chłopów — o tym nie zapomnij, i jeśli, panienko, zobaczysz chłopkę albo chłopca, uczcij w nich babkę swoją albo dziadka”.

Wstąpił do Polskiego Stronnictwa Ludowego, a po rozłamie w 1913 roku „opowiedział się za PSL „Piast”, w którym dostrzegł więcej niż w PSL-Le-wicy walorów chłopskich”.

W 1919 roku został posłem do Sejmu Ustawodawczego. W Sejmie wraz z W. Witosem kierował chłopskim klubem poselskim, a z czasem stanął obok W. Witosa na czele ruchu ludowego w Polsce. W lipcu 1920 roku został członkiem Rady Obrony Państwa, był ministrem wyznań religijnych w koalicyjnym rządzie W. Witosa, który powstał 24 lipca 1920 roku. 1 grudnia 1922 roku został wybrany marszałkiem Sejmu.

Był zwolennikiem, i usilnie nad tym pracował, koalicji stronnictw, ich wspólnego działania na rzecz umiędzynarodowienia państwa i jego doskonalenia poprzez reformy. Nie wszystkie stronnictwa godziły się z taką koncepcją, chciały ją realizować w praktyce. Dążył więc do współdziałania tych, które wyrażały na to zgodę.

„Ta jego koncepcja — pisze Jan Borkowski — została zrealizowana w maju 1923 r., w postaci tzw. rządu większości polskiej pod przewodnictwem Witosa. Rząd ten przetrwał zaledwie pół roku, ale zapisał wiele dokonanych na swoim koncie. Ustanowił podatki obciążające klasę posiadającą i opierając się na nich przygotował reformę walutową; rozszerzył ustawodawstwo socjalne dla robotników; wobec szalejącej inflacji wprowadził ruchomą skalę płac uwzględnia-

jącą indeks kosztów utrzymania; przygotował projekt ustawy o reformie rolnej, uchwalonej w 1925 r.; był w świecie pierwszym rządem, który uznał powstanie w grudniu 1922 r. Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich i realizował politykę normalizacji stosunków polsko-radzieckich na płaszczyźnie dobrosąsiedzkich układów”.

Gdy rząd W. Witosa upadł, Maciej Rataj podał się do dymisji. Sejm jednak powierzył mu nadal plastowanie urzędu marszałka Sejmu.

Odegrał też poważną rolę w rozwoju PSL „Piast”. Oto jak w pamiętniku, pod datą 10 lutego 1924 roku, ocenił zmiany zachodzące w tym stronnictwie: „Obezwładając klub „Piast”, a zwłaszcza Witosa, stwierdzić muszę ogromny postęp, który się dokonał: od ciasnego ujmowania tylko tzw. bolączek chłopskich do ujmowania spraw państwowych. Ale równocześnie stwierdzić trzeba duży rozdział między wsią i klubem. Wiek nie zdołał tak szybko przejść etapów rozwoju jak klub, a zwłaszcza jego przywódca Witos — mówi już nierzaz językiem, którego nie rozumieją posłowie chłopci, a co dopiero wieść?”

Po przewrocie majowym przeszedł do opozycji, później zbliżył się do Mieczysława Niedziałkowskiego, podczas gdy W. Witos współdziałał z radykalnymi socjalistami, jak Norbert Barlicki, Stanisław Dubois czy Herman Liebezman. W marcu 1939 roku wystąpił z koncepcją powołania Rządu Zaufania Narodowego, ale rządząca sanacja koncepcję tę odrzuciła. Zrealizowano ją w broniącej się Warszawie w postaci Komitetu Obywatelskiego przy dowództwie armii, ale było to już za późno. Po kapitulacji działał w Stolecznym Komitecie Samopomocy Społecznej i współtworzył podziemne polityczne do walki z hitlerowskim okupantem. Dwukrotnie aresztowany przez gestapo, rozstrzelany został 21 czerwca 1940 roku w Palmirach.

„TU I TERAZ” przy okazji książki Tomasza Szaroty „Stefan Rowecki „Grot” i Cezarego Chlebowskiego „Wachlarz”, podejmuje piórem Piotra Cebro i Eugeniusza Duraczyńskiego

„PROBLEM AK”

Problemem tym — pisze Piotr Cebro — „w równym stopniu jak dawniej jej (tzn. Armii Krajowej — L.B.) kombatanek, zainteresowane jest obecne pokolenie ich synów i wnuków, pokolenie które zna go („problem AK” — L.B.) jedynie z rodzinnych opowiadań i tradycji. A że w nich, co zrozumiale, zatarci ulegają wszelkie kwestie drażliwe i tzw. trudne, akceptowany społecznie obraz Armii Krajowej bliski jest ujęciu hagiograficznemu”.

Do problemu AK podchodzi się z pewną nieufnością, ciągle aktualne pozostają niedomówienia i podejrzenia, jakby pretensja, że ludzie odważyli się walczyć o ojczyznę nie licząc się z intencjami polityków. Jak z tego wybrnąć?

„Ow bardzo istotny społeczny problem — pisze Piotr Cebro — może zostać rozwiązany jedynie poprzez publikację odpowiedniej ilości prawdziwie naukowych poświęconych mu opracowań”.

I Piotr Cebro posługuje się przykładem zarówno książki Tomasza Szaroty, jak i Cezarego Chlebowskiego, które zniknęły z księgarń, a na czarnym rynku osiągnęły wysokie ceny. Nie są to przecież książki łatwe. Ich autorzy próbują wskazać rzetelnie, w oparciu o dokumenty, przedstawić czy to dzieło do-wódów AK, czy jej formacji „Wachlarz”. Taki kierunek opracowań — sugeruje Piotr Cebro — znajduje uznanie czytelnika. Daje mu bowiem pogląd rzetelny, oparty na dokumentach, godny zaufania.

Co nie znaczy, że nie podlegający dyskusji. Dokumenty można przecież różnie interpretować. Oto na przykład Eugeniusz Duraczyński robi zarzut Tomaszowi Szarocie, że próbuje z generala Stefana Roweckiego uczynić... lewicowca. Trudno zaprzeczyć, że gen. Stefan Rowecki był pilsudczykiem, ale — jak powiada E. Duraczyński — „o-bóz ten różne nurtowały myśli i nury”. Był nastawiony anty-sanacyjny, a Tomasz Szarota uważa, że „najbliższa temperamentowi politycznemu Roweckiego była Polska Partia Socjalistyczna”. Czy nie posuwa się w swojej interpretacji zbyt daleko? E. Duraczyński robi unik. Pisze: „Nie wiem, może ma, a może nie ma racji”. Wątpi jednak, czy w oparciu o materiał

źródłowy da się tę opinię obronić. Uważa, że poglądy polityczne Stefana Roweckiego na przyszłość Polski opierają się na tych samych ogólnikach, „którymi posługiwał się Sikorski i tyłu innych polityków tamtych czasów”.

Ale E. Duraczyński dotyka przy okazji innego istotnego problemu — właśnie „problemu AK”. Otóż utrzymuje on, że przy rozważaniu tego problemu trzeba odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie: jaki charakter miała AK, zakonserwowanej armii powstańczej, partyzanckiej czy zakonserwowanego wojska? Odpowiedź Tomasz Szaroty na to pytanie idzie zgodnie z wcześniejszymi rozważaniami Jerzego Janusza Tereja. A więc „ZWZ-AK stawała się organizacją związkową przyszłej armii polskiej i przyszłej państwowości w wyzwolonej po wojnie Polsce, armii sposobiejącej się do służby dla państwa i współtworzącej państwo o konkretnym obliczu społeczno-ustrojowym”.

Skoro tak, to czyż o tym nie wiedział gen. Stefan Rowecki? „Współtworząc AK — pisze E. Duraczyński — jako zakonserwowanego wojska był oczywiście gen. Stefan Rowecki. Siłą rzeczy musiał też współkształtować koncepcje walki z okupantem oraz rodzaj stosunków zakonserwowanego wojska ze światem polityków, z czym wiązał się też stosunek do polityki jako takiej”.

Gen. Marian Kukiel — wice-minister spraw wojskowych w rządzie gen. Władysława Sikorskiego — już w listopadzie 1939 roku dążył do tego, aby podzielić w Polsce budować w oparciu o strukturę polityczną, którym podporządkowane byłoby wojsko. Stało się inaczej. Wojsko miało polityczną samodzielną i wiosną 1940 roku gen. M. Kukiel domagał się „politycznego podporządkowania ZWZ delegatom rządu”, ale i to się nie spełniło.

I tu się rodzi pewna wątpliwość. Czyż trzeba na siłę dorabiać ludziom zasłużonym lewicowe poglądy? Czy nie stać nas na rzetelną, uczciwą ocenę postaw i poczynań ludzi, którzy z całych swych sił służyli Polsce, oddali dla niej życie, choć nie byli lewicowcami? Gen. Stefan Rowecki godny jest społecznego uznania i narodowej pamięci niezależnie od tego, czy w swoich poglądach, bliski był PPS czy nie.

I jeszcze jeden przyczynek do „problemu AK”. Eugeniusz Duraczyński cytuje dokument opracowany w marcu 1944 roku przez bliskiego współpracownika — już aresztowanego wówczas — gen. „Grotę” — płk. Jana Rzepeckiego. Oto fragment z tego cytatu:

„AK jest zbiorowiskiem dowódców i oddziałów o nastawieniach wzajemnie nierzadko wręcz urogich, związanych tylko nadwrotną silnie nicią karności formalnej, która pęknąć może od pierwszej chwili walki, o której rewolucyjnym charakterze zapominać nie wolno”.

Karność ta nie jest zbyt silna nawet w kadry oficerskiej, której wartość obniża ponadto poważnie brak zrozumienia zjawisk społecznych i politycznych i wyraźnie lewicowych tendencji rozwojowych społeczeństwa polskiego”.

Przy rozważaniach o „problemie AK” warto o tej ocenie pamiętać, gdyż jakiegokolwiek mity-

logizowanie przeszłości — zamierzone czy nie — zawsze tworzyć będzie „monolity”, zacierać różnice, wygładzać kany i kito-wać pęknięcia. Każda natomiast rzetelna, naukowa analiza musi ujawnić sprzeczności, pokazać istotne tendencje rozwojowe, umiejscowić je na politycznym i społecznym tle.

„PRZEGLĄD TYGODNIOWY” (nr 8 z 19 lutego 1984 r.) przynosi — skoro już jesteśmy w czasach okupacji — artykuł Krzysztofa Drozdowskiego o wykonaniu wyroku śmierci na Igo Symie.

AKTOR IGO SYM

przypomniany został niedawno w filmie o Hance Ordonowej. Był synem leśniczego z dóbr żywieckich, pół-Austriakiem, nazywał się Karol Juliusz Sym, a występował w teatrze i filmie jako Sym. Przyjął folkslistę i jako pierwszy otrzymał koncesję na zabawianie „obywateli Generalnego Gubernatorstwa”. W 1940 roku został dyrektorem Teatru Miasta Warszawy, który mieścił się w gmachu Teatru Polskiego. Zarządzał też kinem „Helgoland”, które przed wojną nosiło nazwę „Palladium”. Tajnym ZASP kierował w tym czasie Dobiesław Damiński. We wrześniu 1940 roku ZASP „wydał swym członkom bezwzględny zakaz występowania w oficjalnych, nadzorowanych przez Niemców, teatrach”.

Natomiast Igo Symem „zajął się wywiad ZWZ. Osobiście „opiekę” nad zdrajcą objął Roman Niewiarowicz, pracujący, za zgodą organizacji w jednym z warszawskich teatrzyków”. Wyrok na zdrajcę wydał Wojskowy Sąd Specjalny. Był to wyrok śmierci. Wykonać go miał ppor. „Zawada” — Roman Rozmiłowski. Ustalono, że Igo Sym wyjeżdża na stałe do Rzeszy 7 marca 1941 roku.

„Sym mieszkał na czwartym piętrze domu przy ulicy Mazowieckiej 10 — opowiadał w czasie Powstania Warszawskiego Władysławowi Bartoszewskiemu ppor. „Zawada”. — Gdy o godzinie 7.10 zapukaliśmy do drzwi, otworzyła nam kobieta — jak się później okazało — szwagierka zdrajcy.

— Czy możemy prosić pana dyrektora Syma? — zapytałismy. — W tej chwili — odpowiedziała i rzeczywicie po chwili wyszedł do przedpokoju Igo Sym, już ubrany do drogi.

— Czy pan Igo Sym? — Tak, czym mogę panom służyć?

W tej chwili wystrzeliłem, mierząc z Visa prosto w serce... Strzał był celny”.

Wyrok wykonany na zdrajce wstrząsnął Warszawą. Niemcy odpowiedzieli represjami. Ale to już nie mogło powstrzymać coraz silniej rozwijającej się walki na śmierć i życie, walki o przyszłość polskiego narodu.

LUCJAN BOGUSZ

Minał tydzień

W MOSKWIE

nowo wybrany sekretarz generalny KC KPZR — Konstantin Czernienko spotkał się z czołowymi politykami świata zachodniego i państw socjalistycznych, którzy przybyli do Moskwy na pogrzeb Jurija Andropowa. Wiceprezydent USA George Bush i premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher po spotkaniu z Konstantinem Czernienką oświadczyli dziennikarzom, że jeszcze jest za wczesne na spotkanie na szczycie między USA a ZSRR. Tym niemniej dziennikarze zachodni akredytowani w Moskwie uznali te spotkania za „początek odmrażania stosunków radziecko-amerykańskich”.

Konstantin Czernienko wypowiedział się w przemówieniu na nadzwyczajnym posiedzeniu KC KPZR i na pogrzebie Jurija Andropowa za rozwiązywanie wszelkich konfliktów i rozładowanie napięć drogą równoprawnych i konstruktywnych rokowań. Związek Radziecki — powiedział — opowiada się za współpracą z wszystkimi państwami w obronie i utrzymaniu pokoju na świecie.

Konstantin Czernienko spotkał się z delegacjami państw socjalistycznych, które przebywały w Moskwie.

JAVIER PEREZ DE CUELLAR

prezentowany jest przez prasę w związku z jego wizytą w Polsce. Urodził się w styczniu 1920 roku w Limie. Jest prawnikiem z wykształcenia. Już w czasie studiów zaczął pracować w dyplomacji. Był sekretarzem ambasady peruwiańskiej w Paryżu, Londynie, Boliwii i Brazylii. Był ambasadorem Peru w Szwajcarii oraz w ZSRR i PRL, jak też stałym przedstawicielem Peru w ONZ.

Sekretarzem generalnym ONZ został 1 stycznia 1982 roku. Javier Perez de Cuellar objął funkcję sekretarza generalnego ONZ w bardzo trudnej dla tej organizacji sytuacji. Jest ona krytykowana za swoją bezsilność, za niemożność zapobiegania i rozwiązywania wielu konfliktów zbrojnych. Javier Perez de Cuellar przyznaje, że istotnie ONZ nie jest w najlepszej sytuacji, a Rady Bezpieczeństwa powinna być bardziej stanowcza i aktywniejsza, ale też nie można pominąć pozapoliptycznej działalności ONZ, która wcale nie jest taka mała i dlatego nie powinna być lekceważona.

Dziennikarze, którzy znają bliżej Javiera Pereza de Cuellara twierdzą, że jego manery są wytworne, a dowcip wytrawny. Jest on mężem Marceli Temple, ojcem dwojga dzieci z pierwszego małżeństwa.

INDIRA GANDHI

w wywiadzie udzielonym Krystynie Szelestowskiej-Maksymowicz z „Trybuny Ludu” i Danucie Walewskiej-Rudzikiej z „Rzeczypospolitej” powiedziała:

— „nasza dewiza działania jest: — Tam, gdzie jest przyjaźń, pogłębiać ją. — Tam, gdzie jest obojętność, przekształcać ją w zainteresowanie. — Tam, gdzie jest nienawiść, zlagodzić ją”.

Wierzymy we współistnienie. Świat jest dostatecznie duży dla wszystkich, niezależnie od ras i przekonań politycznych. Nie jest jednak dostatecznie duży, abyśmy mogli przeżyć jakiegokolwiek wojnę, w której zostałyby użyta broń nuklearna. Indie nie będą szczędzić wysiłków, aby zapobiec wojnie i popierać pokojowe negocjacje.”

Obserwując różne poczynania polityków zmierzających do tego, aby wszelkie nieporozumienia rozwiązywać w drodze rokowań, rodzi się nadzieja, że może nie przyjdzie ludzkości ginąć w nuklearnej katastrofie.

W ŁODZI

zdarzyła się niecodzienna historia. Oto Rada Osiedla „Obywatelska” złożyła rezygnację. Zdarzyło się to w chwili negocjowania rozbieżności, jakie powstały między Radą Osiedla „Obywatelska” a kierownictwem Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Zdarzyło się — co dziwniejsze — podczas negocjowania ostatniego punktu z wielopunktowej listy problemów, co do rozwiązania których znaleziono sposoby i terminy. Ostatni punkt dotyczył formy dzierżawienia lokali dla przedszkola mieszczącego się przy ul. Pieknej 41/43. Doszło do użycia ostrych słów. Przedstawiciele ŁSM opuścili salę, a członkowie Rady Osiedla rozwiązali się. I co teraz?

SPÓR O BYŁY „DOM OBUWIA”

mieszczący się przy ul. Piotrkowskiej (róg Piotrkowskiej i ulicy Juliana Tuwima). Spór powstał po decyzji prezydenta Miasta Łodzi — Józefa Niewiadomskiego, przeniesienia tego domu na galerię sztuki. Okazało się, że uprzednio dom otrzymało przedsiębiorstwo „ARPIS”, które przygotowuje go na sklep zabawek dla dzieci. „ARPIS” ma już dokumentację techniczną, wyprawa-dziło lokatorów, rozpoczęło prace, wydało na ten cel 2110 tys. złotych. I teraz dowiedziało się, że „Dom Obuwia” i budynek po-broczny przy ul. PKWN otrzymało Muzeum Sztuki w Łodzi, które jak wiadomo dusi się ze swoimi zbiorami w budynku przy ul. Włockowskiego. A co ze sklepem z zabawkami dla dzieci?

Zdaniem „Głosu Robotniczego” decyzja „o przekazaniu budynku sztuce jest trafniejsza”, a jednocześnie „ARPIS” powinien „zyskać zwrot poniesionych kosztów i otrzymać inny obiekt”.

Trudno się z tym nie zgodzić. Jednocześnie rodzi się dwa pytania: 1. Czy koniecznie muszą zapadać sprzeczne decyzje? 2. Czy wszystko w Łodzi musi być na ulicy Piotrkowskiej?

OD STUDENTÓW NADSZEDŁ LIST

— a ściśle od Rady Uczelnianej ZSP — do którego dołączono 3-4 numer pisma ZSP „Contra”. W piśmie tym znajduje się artykuł Zbigniewa Kubińskiego pt. „Czarna... rozpacz” ostro krytykujący niektóre publikacje „Odgłosów”. Studenci przysyłając nam numer „Contry” piszą: „Mamy nadzieję, iż słowa krytyki zawarte w naszym artykule będą przez Wasze pismo przyjęte i opublikowane”. Zawsze deklarowaliśmy, że wszelką krytykę przyjmujemy z wdziękiem.

A co nie podoba się studentom, a ściślej Z. Kubińskiemu? Nie podoba mu się „Czarna wdowa”, publikacja R. Całopałka oraz Z. Nienackiego „Raz w roku w Skirolawkach”.

Zadziwiające, że student Z. Kubiński jest zgodny w swoich opiniach z kilkoma bardzo starszymi panami, którzy boją się „Odgłosów” stały się pośmiewiskiem poważnej prasy. Nie potrafia przy tym dostrzec, że różnie sąwattownie nakład „Odgłosów”. Może to krasnoludki wykupują je z kiosków. A poza tym nann-wie krytycy poza gołą d... nic innego nie potrafia już dostrzec?

A. B. SEKATOR

Dokończenie ze strony 1

Alberta F. Pollarda. W książce o Henryku VIII, wydanej po raz pierwszy w 1902 roku, czytamy: „Zaden rząd, niezależnie od jego formy czy kwalifikacji, nie może stać się przetrwałym, jeśli nie ma w sobie, w każdym narodzi, w każdym człowieku, ma taki rząd, na jaki zasługują i jakiego chce...”

Jeśli z tej obrazoburczej dla narodów tezy usunąć słowo „zasługują” i zastąpić je określeniem neutralnym moralnie, to można jej, przy pewnych zastrzeżeniach, teoretycznie bronić. Władza polityczna (rząd) jest bowiem składnikiem i korelatem całości społeczeństwa, a z logiki całości (systemu i struktury) wynika, że właściwości i tożsamość każdego elementu społecznego zależą od układu, w którym funkcjonują. „Prawdziwym bytem rzeczy — jak uczył Hegel — nie jest rzecz sama w sobie, lecz dopiero jej stosunki z innymi rzeczami”. W odniesieniu do społeczeństwa oznacza to, że charakter ludzi, obyczaje, gospodarka, prawo, wiara i świadomość społeczna wzajemnie się warunkują, mają pewne wspólne cechy i tworzą organiczną całość. Dlatego rząd, o ile nie jest siłą narzuconą z zewnątrz, stanowi e-

W „Biuletynie Informacyjnym” Armii Krajowej z 3 czerwca 1942 roku kiedy pisał: „O potęgę państwa decyduje nie tylko ustrój, lecz głównie charakter narodu”. Nieadekwatny charakter może uczynić nieefektywnym nawet najlepszy ustrój społeczny.

Najciekawszy i chyba najbardziej wiarygodny obraz polskiego charakteru narodowego przedstawili nasi wybitni psycholodzy: Eugeniusz Brzeziński, Antoni Kepiński i Kazimierz Dąbrowski. Z koncepcji ich wynika, że Polacy są narodem trudnym do rządzenia, ponieważ odznaczają się labilnością psychiczną i przez to reagują w sposób nieobliczalny. Niezależnie od trudnych warunków, natomiast rozkładają się i postępują lekkożylnie w okresach powodzenia. Przeciwny Polak jest wrażliwym, odczuwającym od życia idealistą, który myśli życzeniami i buja w obłokach. Jest samowolnym indywidualistą, szybko zapalającym się do dzieła i równie łatwo zniechęcającym się. Bardzo dba o opinie innych i dla aplauzu otoczenia gotów jest do brawury i poświęcenia życia. Z braku własnej i trwałej hierarchii wartości, stale ogląda się na innych, łatwo zmienia zdanie i przechodzi z jednej roli do drugiej. Nie angażuje się w nic zbyt głęboko, zachowując gdzieś w środku „uroczą bez-

partii jest 8,5 proc. dorosłego społeczeństwa — co ósmy mężczyzna i prawie co dwudziesta kobieta. Jednocześnie aż 71 proc. Polaków było przeciwnych powstaniu jakichś nowych partii politycznych poza PZPR, SDiZSL. Społeczeństwo chciało wówczas nowych, demokratycznych wyborów, lecz w większości akceptowało istniejący system partyjny.

Aby odzyskać autorytet w społeczeństwie, partia winna całkowicie zmienić styl swego działania. Szuszy jest bowiem paradoks księcia Saliny: „Jeśli chcemy, by wszystko pozostało tak jak jest, to wszystko musi się zmienić”. Tylko zasadnicze zmiany mogą być podstawą hasła: ta sama, ale nie taka sama. Zmiany stylu i form mają szczególne znaczenie dla pozyskania młodego pokolenia. Organizacja rewolucyjna nie może istnieć bez młodzieży. „A partia typu naszej PZPR — co trafnie zauważył bezpartyjny socjolog — pozbawiona zaufania młodzieży, jest podcięta i zdana na łaskę wiatrów. Przez młodzię partia wrasta w naród”. (Jan Szczepański).

W jakim kierunku partia powinna przekształcać system władzy politycznej, uwzględniając przy tym charakter społeczeństwa? Niektórzy sądzą, że nasze skłonności indywidualistyczne i anarchiczne wymagają rzą-

Glosa do „audiencji generalnej”

Już po raz trzeci rzecznicz prasowy rządu, podsekretarz stanu Jerzy Urban zwołał konferencję prasową dla dziennikarzy krajowych, urządzoną na wzór i podobieństwo cotygodniowych spotkań z korespondentami zagranicznymi w centrum „Interpressu” — to znaczy, że na tych konferencjach można pytać o wszystko, nie na żaden określony z góry temat.

Uczestniczyłem we wszystkich dotychczasowych spotkaniach w Biurze Prasowym Rządu; cieszę się one znaczną popularnością wśród dziennikarzy — ostatnio, jak obliczyli koledzy z telewizyjnego „Monitora Rządowego”, było nas tam osiemdziesięciu. Nie tylko z agencji, dzienników i tygodników centralnych, czy radia i telewizji — także z regionalnych dzienników partyjnych, tygodników wojewódzkich, a nawet gazet zakładowych. To bardzo cenne, albowiem konferencje u ministra Urbana (wszystkie, nie tylko „audiencje generalne”) są aktualnie jedyną płaszczyzną równego traktowania wszystkich środków masowego komunikowania, jednakowego dostępu do informacji. Gdzie indziej praktyka kręgów wjaśnienia, dzielenia na równych i wyższych kwitnie w najlepsze...

Konferencje ogólne są odpowiedzią ministra Urbana na szuszy skądinąd zarzut, podnoszony nie tylko przez środowisko dziennikarskie, ale m.in. na liczących zebraniach partyjnych czy w sondażach opinii publicznej, że o polskich sprawach nasze społeczeństwo dowiaduje się dzięki pośrednictwu zachodnich korespondentów. No cóż, istotnie czytelnicy publikowanych w „Rzeczpospolitej” stenogramów ze spotkań rzecznicza rządu z zagranicznymi dziennikarzami dostarcza informacji, innymi drogami niedostępnymi, o różnicach incydentalnych na ogół wydarzeń w kraju. Ale budowanie obrazu Polski dziełszszej w oparciu o informacje o głodówce paru więźniów politycznych, schudnięciu innego skazanego o kilka kilogramów czy kryminalnej aferze mecenasa Bednarkiewicza jest procederem niegodnym myślenia obywatela.

O tym specyficznym obrazie Polski w zachodnich środkach przekazu była mowa na konferencji przed tygodniem. Minister Urban wspominał, że w ciągu dwóch ostatnich lat nastąpiła pewna ewolucja w zakresie środków wyrazu — od przedstawiania makabrycznych wizji tysięcy więźniów marznących na stadionach i setek rozstrzelanych na ulicach do dzisiejszego wyszukania drobniejszych. Ale „filozofia” kształtowania obrazu Polski jest na ogół taka sama: wedle większości środków przekazu na Zachodzie Polska jest nadal krajem nieustannego konfliktu między miłującym wolność całym społeczeństwem a sadystryczną, narzuconą z zewnątrz władzą. Dopiero od niedawna — pod naporem już odcyfrowanych faktów — pojawiają się publikacje obiektywizujące polskie sprawy.

„Ale” — mniemam znacznie bardziej, niż obraz Polski w świecie, interesuje obraz Polski w Polsce, dlatego pozwolę sobie skomentować parę kwestii podniesionych w wypowiedziach rzecznicza rządu.

Jedno z kluczowych pytań tej konferencji dotyczyło ciekawego problemu: czy rząd zdaje sobie sprawę, że w „terenie „wraca nowe” — pod postacią starych układów, znanej od dawna arogancji i ignorancji aparatu władzy itp. Minister Urban stwierdził, że pytanie to jest bardziej złożone niż realne. Przecież znakomita większość ludzi w administracji została zmieniona, a i obywatel już nie taki, że da sobie chodzić po głowie. Poza tym ustawa o radach narodowych i zarządzone właśnie wybory do tychże dają społeczeństwu lokalnym szansę wzięcia swoich spraw we własne ręce i rozpedzenia kilku...

To wszystko prawda, ale nie ze wszystkim. Problem bowiem nie polega na zmianach kadrowych, ale na trwałym wyeliminowaniu z życia publicznego ludzi nieudolnych, skompromitowanych i skorumpowanych. Tymczasem nader często, przedstawcy byt naczelnikami, sekretarzami czy dyrektorami, pojawiają się oni na fotelach prezesów, działaczy wszelkiego autoramentu itp. Czyli klasyczna, opisywana wielokrotnie, karuzela kadrowa trwa w najlepsze — znam liczne przykłady. W tej sytuacji zupełnie nowi ludzie znacznie łatwiej mogą się zdemoralizować, a obawa ministra Urbana przed reewidacją wszechwładzy układów jest całkiem uzasadniona.

Drugi problem dotyczy środowiska lekarzy. O toż rząd wcale nie uważa, że nastąpiło zjawisko ogólnokrajowego kryzysu etyki zawodowej w medycynie, albowiem na 700 tys. pracowników służby zdrowia (w tym 84 tys. lekarzy) sądy skazały tylko 40 osób rocznie, a 100 — komisje kontroli zawodowej. Na 300 milionów porad jest tylko 5-6 tys. skarg. W tej skali odniesienia należy ująć nie tylko nieuczciwe przypadki, nadmierne — zdaniem rzecznicza rządu — spopularyzowane przez prasę; stał wrażeń, że kryzys w tej dziedzinie jest znaczny, a opinia publiczna interesuje się nim nie bez przyczyny.

Nie chcę wprowadzić kwestionować podanych przez rzecznicza leżby, ale twierdząc, że rząd ułatwia sobie zbawienie problemu, przyjmując obraz statystyczny jako rzeczywisty. W tej samouspokajającej procedurze intelektualnej zapomniano o znanym w kryminologii zjawisku tzw. ciemnej leżby, czyli o stosunku faktów ujawnionych do rzeczywistej ilości naruszeń porządku prawnego (i w tym wypadku — moralnego). Twierdząc, że na płaszczyźnie etyki lekarskiej stosunek ów jest przerażająco wielki, a świadomość tego jest powszechna — stąd tak ogromne zainteresowanie opinii publicznej.

Wyjaśnienie też jest proste i narzucające się z przerażającą brutalną siłą. Otóż sytuacja, w której dochodzi do łamania etyki lekarskiej i prawa, dotyka na ogół zdrowia, czy wręcz życia ludzkiego. W powstającym konflikcie wartości chyba wszyscy byłibyśmy skłonni poświęcić nie tylko nieograniczone ilości dóbr materialnych, ale i takie dobra jak elementarne poczucie sprawiedliwości, nawet godność ludzka i honor. Wiedzą o tym pacjenci i ich rodziny, wiedzą lekarze — toteż pierwsi placą bez szemrania, a drudzy (wiem, że nie wszyscy — ale fluiz luminarzy medycznych tak robi!) czynnie wykorzystują ową specyfikę konfliktu między zdrowiem czy życiem, a normami moralnymi. Znakomitej większości takich przypadków nigdy nie da się ujawnić. Ale to nie znaczy, że rząd może się samouszukiwać paroma sugestywnymi wskaźnikami.

Władza a charakter społeczeństwa

nację społeczeństwa — w sposobach jego działania znajdują odbicie wady i zalety obywateli.

Podczas dyskusji na temat wydarzeń sierpniowych, Włodzimierz Pawluczuk przypomniał „niemiłą” tezę, iż społeczeństwo zasługują na swe rządy i wskazał na związek między etosem narodowym w danym okresie a osobowością i zachowaniem przywódców politycznych. Oto jego charakterystyka lat siedemdziesiątych: „Sympatyczne to były te rządy fachowców. A więc fachowość, otwarcie na Zachód, takie społeczeństwo działające sprawnie za nacisnięciem guzika. Natomiast niesympatyczne było to, że było to społeczeństwo opętane manią kradzieży, złodziejstwa. Jeśli sobie przypomniemy teraz uczucie, o czym się mówiło na chrześniach, na imieninach i na spotkaniach z kolegą, może w naszych kręgach mniej, ale w kręgach populistycznych, to punktem węzłowym każdego takiego wieczoru było: jak kto kradnie. To były złodziejstwa akceptowane powszechnie. To był program narodowy. I rątem okazało się, że okradli naród i że trzeba ich rozliczyć. Lud żąda, żeby przykładowo ukarać i powiesić. Jest to taki akt ofiary, że ktoś powinien być powieszony, ażebyśmy byli czystszy”.

Nie sposób chyba zaprzeczyć, że istniał związek między demoralizacją władzy a deprawacją społeczeństwa, chociaż trudno rozstrzygnąć, co było przyczyną, a co skutkiem. Faktem jest, że władza rekrutująca się z ludu ulegała znacznej demoralizacji, i że społeczeństwo również było zdeprawowane.

Nawiasem mówiąc: zjawisko degeneracji elity z ludu poznały także inne kraje. W napoleońskiej Francji sławni dowódcy armii i dawni działacze rewolucyjni — synowie chłopów, drobnych rzemieślników, sklepikarzy, oberżystów — przeobrażali się w butnych oderwanych od nas bogaczy, grzeszących w bagnie małostkowego egoizmu, obłudą i oszustwa. Bardzo popularne i znane wśród różnych warstw i narodów jest powiedzenie, że nie ma nic gorszego, jak z chłama zrobić pana. Bohater powieści Solochowa „Cichy Don”, Grigorij Melechow, powiada: „Nie ma gorszego tyrana, jak z chłopów panów Oficerowie są paskudni, ale jeśli taki od gnoju zostanie oficerem — kładź się i zdychaj, przecież — gorszego nie znajdziesz”. Podobną myśl spotykamy już, notabene, w biblijnej Księdze Przysłów, pochodzącej z V wieku przed naszą erą.

Być może więc szybki awans przedstawicieli ludu nieuchronnie prowadzi do pewnych niekorzystnych zjawisk. Trzeba jednak ograniczać niepożądane dewiacje i stwarzać określone zabezpieczenia prawne, co wielokrotnie postulowano w dyskusjach nad przyczynami kryzysów w Polsce. Zgłaszano również często wnioski, aby dostosować system władzy do kultury i charakteru naszego narodu. Z upodobaniem powtarzano i śpiewano, żeby Polska była Polska. W tym tautologicznym sloganie zawarta była sugestia, że przyczyną naszych kryzysów jest obcy, niepolski system władzy i ustroju. Zakładano, że wystarczy zmienić instytucje polityczne i odsunąć od władzy komunistów, aby wprowadzić kraj na drogę postępu.

Inni natomiast głosili, że to wcale nie ustrój i władze są winne, lecz zło leży w społeczeństwie, w polskim charakterze narodowym. Od dawna już zresztą, w kraju i za granicą, niektórzy sądzą, że Polacy nie potrafili się rządzić. Ten sposób myślenia dobrze ilustruje wypowiedź pewnego Niemca z powieści Mariana Turwida „Noc nad Doliną”, wydanej w 1961 roku. „Przecież wy Polacy — czytamy — byliście i jesteście nieodpowiedzialni jak dzieci. Albo jak szaleńcy. Nie umiecie ani rozsądnie myśleć, ani porządnie gospodarować i nie umiecie pracować pod własnym polskim kierownictwem. Więc przedź czy później wasza przysłówiowa „polsche Wirtschaft” zrobi swoje. Doprowadzi do krańcowego kryzysu. A wtedy wy, specjaliści od anarchii i powstań taki spowodujecie rozgardiasz, taki arcy-polski balagan, że nawet najlepszy ustrój i rząd nie nie zdołają poradzić”. Przytoczony fragment z 1981 roku wyglądał na zdumiewająco trafne proroctwo sprzed dwudziestu lat. Zaskoczeni czytelnicy po kilka razy upewniali się, czy na pewno książkę wydano już w 1961 roku.

Gdzie zatem należy upatrywać głównej przyczyny naszych niepowodzeń: w ustroju politycznym, czy w charakterze narodowym? Wydaje się, że rację miał autor artykułu redakcyjnego

skę”. Lubi bardziej używać życia, niż pracować i podejmować wysiłki.

U różnych autorów, polskich i obcych, spotykamy opinie, że Polacy mają silne skłonności anarchiczne i nie szanują władzy. W „Biuletynie Informacyjnym” AK z 28 maja 1942 r. „odnotowano stałą nienawiść Polaków do obcego jarzma — jako cechę pozytywną, ale za ujemną uznano: „Warcholstwo — przejawiające się w systematycznym buntowaniu się przeciw ustanowionej władzy”. Autor artykułu, prawdopodobnie Aleksander Kamiński, za negatywne uznał też to, że w obawie przed władzą absolutną, Polacy utrudniają działalność każdemu wybitnemu przywódcy państwa. Skrajnie krytyczne zdanie na temat naszego charakteru miał Stanisław Ignacy Witkiewicz. Utrzymywał on, że jesteśmy narodem „nadeptym na wielkość nierobów”, z którym nie poradzi sobie nawet genialny przywódca. I stąd bierze się — jego zdaniem — „polowa nie spełnionych czynów Piłsudskiego”.

W przedsięwzięciach politycznych charakter społeczeństwa należy traktować jako element dany i względnie trwały. Jest to w istocie składnik bytu społecznego, wpływający niezależnie od woli ludzkiej na świadomość społeczną i determinujący zachowania i działania. W charakterze społecznym przejawia się podłoże historyczne każdego ustroju, stwarzające lepszą lub gorszą szansę rozwoju i postępu.

Nie ulega raczej wątpliwości, że charakter Polaków nie odpowiada wymogom systemu socjalistycznego. Zastane typy osobowości znacznie odbiegają od pożądanych wzorów. Charakter ten w zbyt długim czasie, w porównaniu z krajami zachodnimi, kształtowały warunki ustroju feudalnego i tradycja szlachecka. Stosunkowo krótko zaś formowały go surowe rygory gospodarki kapitalistycznej i tradycji mieszczańskiej. Dlatego obecnie istnieje potrzeba przebudowy struktury naszego charakteru. Nasuwają się jednak przy tym dwa doniosłe pytania. Czy taka przebudowa jest w ogóle możliwa? I w jaki sposób ją przeprowadzić?

Możliwość zmiany charakteru społeczeństwa, i to zmiany zasadniczej, dowodzą fakty historyczne. Wystarczy choćby podać przykład przejścia od tzw. postawy tradycyjnej do kapitalistycznego etosu gospodarczego, które w czasach nowożytnych odbyło się na zachodzie i północy Europy oraz w Stanach Zjednoczonych. W Anglii jeszcze w XVIII wieku dominował zupełnie inny wzór osobowości, aniżeli znany nam z końca XIX stulecia i współczesności. Istotna metamorfoza dokonała się tam w warunkach epoki wiktoriańskiej. Ale dla Polaków najciekawszy jest przykład Hiszpanów, ponieważ mieli kiedyś podobny do nas charakter. Hiszpanie slynili z wielkiej dumy, szaleniczej odwagi, adoracji kobiet i fanatycznej religijności, a równocześnie wyróżniali się niezarnością życiową i pogardą do pracy (szczególnie wobec zajęć mieszczańskich). Cechy te później zderzyły się z wymogami rzeczywistości gospodarczej. „Od bezmiernej dumy Hiszpanów, od ich wygórowanego poczucia honoru — pisze historyk — silniejsze okazały się jednak niewzruszone prawa ekonomiczne, którym w końcu uległ musiał ten naród żołnierski i awanturniczo polityczny, życiowo mało zaradny i gardzący pracą”. W nowych czasach błędne rycerstwo stało się niemożliwe i śmieszne.

Także Polaków okoliczności zmuszają do porzucenia „rycerskiego próżniactwa” (Engels) i przejmowania nowoczesnych wzorów życia i pracy. Proces ten jednakże postępuje zbyt wolno. Wciąż dzieli nas duży dystans od krajów wysoko rozwiniętych i chyba jeszcze nie do końca zmyliśmy hańbę „polskiego Wirtschafft”, a co dopiero mówić o postawach socjalistycznych.

W celu przyspieszenia przebudowy polskiego sposobu życia i charakteru narodowego należałoby w sposób radykalny zreformować wszystkie trzy systemy społeczne: gospodarkę, politykę i świadomość społeczną. A siłą napędową tych reform w naszych warunkach może być tylko partia, ponieważ skupia ludzi najbardziej zainteresowanych budową socjalizmu. Partia jednak — jak uczył Lenin — musi mieć poparcie społeczne, gdyż sama stanowi niewielką część społeczeństwa.

Po Sierpniu 1980 r. odeszło z PZPR aż 30 proc. członków i u progu 1984 r. należało do niej 2.186 tys. osób. Oznacza to, że obecnie w

dów dyktatorskich. Inni zaś twierdzą, że polskie umiłowanie wolności wyklucza dyktaturę i wymaga szerokiej demokracji. Rozwiązanie tego dylematu może być następujące: trzeba równolegle zwiększyć demokrację i umocnić państwo jako jej narzędzie. Między silnym państwem i szeroką demokracją jest w istocie pozorna sprzeczność. W demokratycznym i samorządnym systemie państwo winno być miejscem, gdzie spotykają się i są optymalnie kojarzone interesy szczególne i ogólne.

Państwo silne to takie, które swoją moc czerpie z różnego rodzaju samodzielnych i samorządnych instytucji, ale które nie dopuszcza, aby instytucje te były państwami w państwie. Silnym państwem jest dalej to, w którym obywatela są rzetelnie informowani i mają świadomość, że coś od nich zależy. Tylko podmiotowy, masowy udział partyjnych i bezpartyjnych w budowie socjalizmu może ostatecznie utrwalić ten ustrój w Polsce. Warto przypomnieć tu zdanie Lenina: „Socjalizm nie utworzy się zarządzeniami z góry. Duchowi jego obcy jest urzędowo-biurokratyczny automatyzm; żywy, twórczy socjalizm — to dzieło samych mas ludowych”.

Łatwo jest, oczywiście, postulować demokratyczny system władzy i ustroju, lecz trudno przedstawić praktyczne wskazówki, jak go bezpiecznie urzeczywistnić. Trzeba liczyć się z tym, że na drodze poszukiwań teoretycznych i praktycznych nieuchronnie są błędy i koszty. „Nie raz jeszcze — jak pisał Lenin — wypadnie nam uzupełniać, poprawiać, zaczynać od początku”. Należy jednak odważnie ryzykować i podejmować próby wprowadzenia szerokiej demokracji, gdyż socjalizm niedemokratyczny stanowi contradicцію in adiecto.

Ale z drugiej strony, nie można mieć złudzeń, że demokratyczny ustrój socjalistyczny uda się szybko zrealizować. Do takiego systemu niezbędna jest pewna dojrzałość społeczeństwa. „Ustrój bowiem — pisał Hegel — nie jest czymś sztucznie tylko zrobionym; jest rezultatem pracy pokoleń, jest ideą i świadomością pierwotną rozumową, w tym zakresie, w jakim rozwinięta się w danym narodzie. Zaden ustrój nie zostaje przeto stworzony przez same tylko jednostki. Ustrój, który Napoleon dał Hiszpanom, był rozumniejszy niż ten, który mieli oni przedtem, a mimo to odrzucili go jako coś im obcego, gdyż kultura ich nie doszła jeszcze do tego. Naród musi odnosić się do swego ustroju z takim poczuciem, że ustrój ten jest jego prawem i wyrazem stanu, w którym się znajduje; w przeciwnym razie ustrój uprządkuje zewnętrznie istnieć, ale nie ma wtedy żadnego znaczenia i żadnej wartości”.

Ale demokrację trzeba, moim zdaniem, wprowadzać wbrew wszelkim przeciwnościom. Naród musi stopniowo uczyć się jej. A mamy przecież społeczeństwo zdolne, szybko uczące się i bardzo podatne na wpływy. O plastyczności polskiej natury wypowiedzieli się Władysław Łoziński, Kazimierz Dąbrowski i inni. Rzecz tylko w tym, żeby tworzyć „szkoły” demokracji. Ponadto dla Polaków niezwykle ważne jest jasne określenie celu i zasad postępowania. Polacy muszą mieć jakąś wielką IDEĘ, którą mogliby „oddychać jak powietrzem”. (Zeromski).

Pierwszą wzorcową instytucją polskiej demokracji socjalistycznej można by uczynić Sejm i terenowe sejmiki w postaci rad narodowych. Zacząć od Sejmu byłoby tym łatwiej, że jest to obecnie instytucja polityczna ciesząca się największym autorytetem. Z badań nad postawami studentów wynika, że 60 proc. respondentów uważa działalność Sejmu za korzystną dla Polski i Polaków, 20 proc. za obojętną i jedynie 7 proc. za szkodliwą. Sejm zresztą — historycznie biorąc — jest narodową instytucją Polaków, silnie związaną z naszą tradycją i jakby odbitą w naszym charakterze.

EDMUND LEWANDOWSKI

TOMASZ SAS

Historyczne przeznaczenie i klasowy charakter Radzieckich Sił Zbrojnych zostały ściśle sprecyzowane w dekretych Rady Komisarzy Ludowych z 28 stycznia 1918 r. Wybitną rolę jako organizatora sił zbrojnych państwa socjalistycznego, stratega i wodza armii nowego typu odegrał Włodzimierz Lenin. Przywiązywał on wielką wagę do wysokiego poziomu świadomości robotników i chłopów kraju zwycięskiej rewolucji. „W naszym pojęciu — mówił — państwo jest silną świadomością mas. Państwo jest silne wówczas, kiedy masy o wszystkim wiedzą, o wszystkim mogą wyrażać sąd i wszystko czynią świadomie”.

Swoją chwałę bojową Armia Czerwona rozpoczęła 23 lutego 1918 r. w bitwie pod Narwą i Pskowem broniąc dostępu do Piotrogradu. W latach 1918—1922 prowadziła krwawe walki z inwazją 15 państw międzyimperialistycznego imperializmu i z siłami wewnętrznego kontrrewolucji. W toku wojny domowej rosły jej szeregi i doskonalili się jej kwatermistrzowie. Na jesieni 1920 r. Armia Czerwona liczyła ok. 6 mln żołnierzy. W jej szeregach walczyło ponad 300 tys. żołnierzy — internacjonalistów. Wśród nich jako najliczniejsi — 120 tys. Polaków, ok. 80 tys. Węgrów, ok. 10 tys. Czechów i Słowaków. Polacy byli wśród szturmujących Pałac Zimowy i moskiewski Kreml, byli marynarzami Floty Bałtyckiej i czarnomorskiej, walczyli pod Pskowem i Narwą w 1918 r., pod Carycynem w 1919 r. i na Krymie w 1920 r.

Oceniając wyniki pierwszych lat istnienia władzy nowego typu, Lenin mówił: „Naszymi zasługami w dziedzinie politycznej i wojennej mamy prawo się szczycić. Przeszły one do historii jako osiągnięcia epokowe, które wydadzą szersze owoce we wszystkich dziedzinach”.

Armia Radziecka stała się niezawodnym obrońcą zdobyczy rewolucji socjalistycznej, napawała nadzieją miliony uciskanych ludzi pracy krajów kapitalistycznych. Rolę Armii Radzieckiej jako gwaranta pokoju w Europie pojmowali już wówczas niektórzy działacze burżuazyjni. Na przykład jeden z generałów francuskich pisał w 1922 r.: „Nad konferencją w Genewie unosiło się widmo Armii Czerwonej”. Świadczy to, że imperialiści nie mogli się nie liczyć ze zwycięstwem Związku Radzieckiego w wojnie domowej i jego armia jako siła przeciwstawiająca się agresji imperialistycznej.

Armia Radziecka doskonaliła się w organizacji wojsk i rozwoju sztuki wojennej posiadając wielu utalentowanych dowódców i teoretyków takich jak: M. Frunze, S. Gusiew, M. Tuchaczewski, B. Szaposznikow, K. Woroszyłow i inni. M. Frunze przewidywał, że przyszła wojna będzie miała charakter zdyscyplinowany i bezkompromisowy, że będzie to walka na śmierć i życie, że wciągnie ona w swój wir całe narody i wielomilionowe armie. M. Tuchaczewski pisał o zdolności manewrowej armii, o opanowaniu i wykorzystaniu nowej techniki. Uważał, że początkowo

okres wojny powinien być przewidziany, oceniony i przygotowany — jako warunek powodzenia.

W 1934 r. na czele Ludowego Komisarzatu Obrony ZSRR stanął K. Woroszyłow, którego zastępcą mianowano M. Tuchaczewskiego. W rok później K. Woroszyłow i M. Tuchaczewski otrzymali stopnie marszałków Związku Radzieckiego. Rosły szeregi armii, która w 1936 r. liczyła 1.100 tys. ludzi. Istniało 12 akademii wojskowych i 75 szkół wojskowych, w których kształciło się ponad 80 tys. słuchaczy. W najbliższych latach powstały dalsze 32 szkoły wojskowe, a liczebność Armii Czerwonej osiągnęła stan ponad 2 mln żołnierzy.

W latach 1936—1939 dowództwo radzieckie skrupulatnie a-

Interesującą ocenę Armii Radzieckiej dał zastępca Szefa Sztabu Generalnego armii francuskiej, gen. Loiseau: „Widziałem potężną, godną uwagi armię, znakomicie wyposażoną technicznie i o wysokim morale. Jeśli chodzi o czołgi, to uważałbym za słuszną postawić armię Związku Radzieckiego na pierwszym miejscu. Desant spadochronowy, który widziałem pod Kijowem, uważam za fakt, nie mający precedensu w świecie”.

Hitlerowski generał i teoretyk H. Guderian zwrócił uwagę na „działające w głąb grupy bojowe”. „Masa sil pancernych — pisał — powinna być organizowana w korpusy bojowe, tak jak ma to miejsce w Rosji”. Guderian tworząc niemiecki wariant teorii głębokiej

przez hitlerowców, desantów powietrznych — stwierdził, że „jest to karta wydarta z księgi Armii Czerwonej, bo taki kunszt ona jako pierwsza zademonstrowała na manewrach w 1936 r.”.

W latach 1937—1938 w wyniku nieuzasadnionych oskarżeń usunięto z armii znaczną ilość wybitnych dowódców i pracowników politycznych za sprawą hitlerowskiego wywiadu. A wśród nich m.in. marszałka Związku Radzieckiego M. Tuchaczewskiego. Wielu później rehabilitowano. Była to wielka strata dla sił zbrojnych Związku Radzieckiego. Przededniu II wojny światowej. Poziom radzieckiej teorii wojennej w tym czasie odpowiadał na ogół wy-

tanek W. Churchill, przemawiając w radio wieczorem 22 czerwca 1941 r. oświadczył: „Nikt nie był w ciągu ostatnich 25 lat bardziej zawziętym przeciwnikiem komunizmu ode mnie... ale obecnie wszystko to usuwa się na drugi plan w o-

blizcu rozwijających się wydarzeń. Niebezpieczeństwo zagrażające Rosji to niebezpieczeństwo zagrażające nam i Stanom Zjednoczonym”. Następnego dnia na konferencji prasowej prezydent F. Roosevelt oświadczył: „Jest oczywiste, że zamierzamy udzielić Rosji wszelkiej pomocy, jaka będzie potrzebna”.

Srednio na froncie wschodnim od 22.06.1941 do 8.05.1945 r. znajdowało się w walce ponad 270 dywizji niemieckich i państw satelickich. Siły te średnio liczyły ok. 5 mln ludzi, około 45 tys. dział i moździerzy, ponad 5000 czołgów i dział pancernych oraz 3000 samolotów.

Od początku napaści Niemiec

hitlerowskich na ZSRR do kon-

ca wojny główny ciężar walki

działała Armia Radziecka.

Zmobilizowano w ZSRR 15 mln

żołnierzy. Wschodnioeuropejski

teatr działań wojennych obejmował

obszar do 19 mln km². Długość

linii frontu wynosiła

do 6 tys. km, a głębokość do 2

do 3 tys. km. Pod tym względem

przewyższał on wszystkie

pozostałe teatry działań II woj-

ny światowej.

W początkowym okresie woj-

ny Armia Radziecka znalazła

się w trudnym położeniu, po-

nosząc duże straty w ludziach,

w sprzecie bojowym i uzbro-

jeniu. W celu wyrównania

strat Armii Radzieckiej po-

trzebny był sprzęt techniczny i

uzbrojenie. Przemysł w tym

czasie przechodził reorganizację,

tworząc zakłady na Ura-

lu, ale znaczna jego część zna-

lazła się w rękach wroga bądź

uległa zniszczeniu.

Jesienią 1941 r., rozpoczęły

się dostawy do ZSRR materia-

łów wojennych z USA i W.

Brytanii. Były to jednak nie-

wielkie ilości zważywszy na po-

trzebny. Do końca 1941 r., pa-

ństwa zachodnie dostarczyły oko-

ło 900 samolotów i około 700

czołgów. Mimo tej trudnej sy-

tuationi Armia Radziecka stawia-

jąc zacietliwy opór na całym fron-

cie, wyczerpuje siły przeciwni-

ka i do końca kampanii letnio-

-jesiennej 1941 r., wojska nie-

mieckie zostają związane pod

Leninem, zatrzymane pod

Moskwą, gdzie ponoszą pierw-

szą klęskę i odepchnięte spod

Rostowa.

Niepowodzenia Wehrmachtu

od jesieni 1941 i na początku

1942 r., były jego kolejnymi

przegrany w zmaganiach na

Wschodzie. Ogółem od czerwca

1941 do kwietnia 1942 r. Armia

Radziecka zadała Niemcom stra-

ty: zabitych, rannych i zag-

inionych było ponad 1,5

mln żołnierzy. Przeciwnik stracił

w sprzecie: około 4 tys.

czołgów i dział pancernych i

około 7 tys. samolotów. Zwycię-

stwo wojsk radzieckich pod Mo-

skwą i na innych frontach o-

znaczało załamanie się hitle-

rowskich planów wojny błyska-

wicznej przeciwko Związkowi

Radzieckiemu oraz utwierdziło

narody w przekonaniu, iż przys-

mił o niezwykłości armii

niemieckiej.

Po tej porażce Niemcy przechodzą do zmiany planów strategicznych. Nowy ich cel, to opanowanie naftowych rejonów na Kaukazie, rolniczych obszarów Donu i Kubania oraz zdobycie Stalingradu, jako ważnego punktu strategicznego i węzła komunikacyjnego nad dolną Wolgą. Natarcie wojsk niemieckich na południe ZSRR rozpoczęło się 28 czerwca 1942 r. Przez 200 dni i nocy toczyły się zacietliwie boje, aż do 2 lutego 1943 r., na kierunku stalingradzkim i pod Stalingradem. Przeszło 2 mln żołnierzy po obu stronach toczyło zacietliwy bój. W rezultacie 300-tysięczne zgromadzenie wojsk niemieckich i satelickich zostało okrążone i zniszczone. Ogólne straty wroga na tym kierunku wynosiły ok. 1,5 mln żołnierzy. Zwycięstwo Armii Radzieckiej pod Stalingradem zmieniło nie tylko sytuację strategiczną na korzyść Związku Radzieckiego, ale cały bieg wojny.

Niemieccy generałowie po niepowodzeniach — wręcz klęsce pod Stalingradem, przygotowali się do ponownego uchwycenia inicjatywy i przechrzelenia biegu wojny na swoją korzyść. Nadzieje swoje wiazali z powodzeniem operacji „Cytadela”. Tak więc w powodzeniu pod Kurskiem, Hitler upatrywał ponowne uderzenie na Moskwę i bezwzględne rozprawienie się z Rosjanami.

Himmler przemawiając w Charkowie do oficerów korpusu pancernego SS, oświadczył: „Właśnie tu, na Wschodzie decydują się losy... Właśnie tu Rosjanie powinni być uwięzieni jako ludzie i jako siła militarna, tu powinni utonąć we własnej krwi”.

W bitwie na łuku kurskim, która rozegrała się w lecie 1943 r., z obydwu stron uczestniczyło ponad 4 mln żołnierzy, użyto 70 tys. dział i moździerzy, ponad 13 tys. czołgów i dział pancernych oraz 12 tys. samolotów bojowych. Wehrmacht wprowadził do walki ponad 100 dywizji w tym 20 pancernych i zmotoryzowanych. Pomyślnie dla Armii Radzieckiej starcia pancerne były wielkim tryumfem oręża radzieckiego w II wojnie światowej. W toku dwumiesięcznych walk rozbitych zostało 30 dywizji przeciwnika. Straty w ludziach wynosiły około 500 tys. żołnierzy. Tak więc nie ziszczyły się marzenia kierownictwa III Rzeszy, o zwycięskim rozegraniu operacji „Cytadela”. Jeśli bitwa pod Stalingradem zwiastowała zmierzch niemieckiej armii, to bitwa pod Kurskiem postawiła ją w obliczu katastrofy.

Prezydent Roosevelt pisał do szefa rządu radzieckiego: „W ciągu gigantycznych walk wasze siły zbrojne, dzięki swemu mistrzostwu, męstwu, poświęceniu i nieustannym wysiłkom, nie tylko zatrzymały natarcie niemieckie, lecz rozpoczęły zwycięską kontrofensywę, przemieniając w następstwie Związek Radziecki słusnie może być dumny ze swych bohaterskich zwycięstw”.

W połowie 1943 r., w szeregach Armii Radzieckiej było około 2 mln członków partii i 2,5 mln komсомольców. Co drugi żołnierz Armii Radzieckiej

HENRYK DOBIEGAŁA

„Widziałem potężną godną uwagi armię...”

nalizowało rezultaty szkolenia wojsk i wielkich manewrów okręgów wojskowych, jak również doświadczeń z walk nad jeziorem Chasany i rzeką Chaldzin-gol, a także rozpatrywano operacje wojskowe w wojnach lokalnych prowadzonych przez imperializm w Etiopii, Hiszpanii i w Chinach. Przedmiotem analizy były również agresywne akty faszyzmu zagarnięcia Austrii, Czechosłowacji i Albanii.

operacji, skopiował wiele założeń radzieckich.

Obecny na manewrach angielski generał A. Wavell, meldując swemu rządowi o użyciu przez Rosjan wielkiego desantu powietrznego powiedział: „Gdybym nie widział tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył, że podobna operacja jest w ogóle możliwa”.

Po kilku latach jeden z amerykańskich komentatorów woj-skowych podsumowując użycie

Niemcy hitlerowskie, naruszając układ o nieagresji niespodziewanie, bez wypowiedzenia wojny skierowały swe uderzenie na Związek Radziecki. Agresja hitlerowska przeciwko ZSRR wywołała wielki rezonans polityczny w skali światowej. Narodził się w tym czasie prządki reorganizacji, tworząc zakłady na Uralu, ale znaczna jego część znalazła się w rękach wroga bądź uległa zniszczeniu.



Zdobyczne sztandary wojsk hitlerowskich podczas Parady Zwycięstwa w Moskwie 1945 r.

Na SP — czyli działającą we wczesnych latach powojennych organizację „Służba Polsce” wyłano już niejedną kibel pomył. Czy służba? Biorąc pod uwagę niewątpliwą ułomność organizacyjną elementu przysmusu, dość brutalne zetknięcie się młodzieży (szczególnie ze szkół średnich) z rzeczywistością — można powiedzieć: nie dziwnego! Wspomnijmy jeszcze, że w owych czasach część społeczeństwa sprzeciwiała się nowym porządkom programowemu. Druga część, nastawiona wyczekującą czy nawet pozytywnie, też śledziła co się dzieje, gotowa wystawić nowościom znaczne surowe cenzury, niż by się należało. A przyjmijmy jeszcze, że współczesnymi socjologami, że socjalizm bywa przez niektórych traktowany jako możliwość „urządzenia się” i swojej rodziny „według potrzeb” nie zawsze adekwatnych do wkładu pracy, że — niestety — postawa bracia, a nie dać jest dość powszechna — przez dziesiątki lat nie możemy w naszej psychice przełamać apoteozy układów (to nie Kazan wymyślił to rzeczywistości).

Ten spłot okoliczności i postaw sprawił, że o SP mówi się na ogół źle. Mimo to, bez złośliwości, zalecił bym naszej sfrustrowanej i „bez perspektyw” młodzieży ze dwa turnusy ze szpadem w ręce. Coś w tym było...

Dla przypomnienia: SP była organizacją paramilitarną przysmusową i skierowaną przede wszystkim na uzyskiwanie efektów produkcyjnych w najbardziej zaniedbanych okęgach kraju, gdzie nie było rąk do pracy. A więc Nowa Huta, Lublin, Ziemia Odyskane, Szczecin, Gdańsk, dawne Prusy Wschodnie...

Nie! Nie byłam szczęśliwym w momencie otrzymania wezwania. Bo przecież to 6 tygodni wyrzniętych z wakacji, chyba że ktoś okazywał się na tyle młody, aby walczyć z lekarskim do niczego nieprzygotowany. Ja takich możliwości nie miałem i — obiektywnie rzecz biorąc — niczego mi nie brakowało.

Tak więc wraz z kolegami w dniu 4 lipca 1951 roku trafiliśmy do 33 Brygady SP w Józefowie koło Elbląga. Józefów — to mała wówczas wioska, położona w pobliżu olbrzymich torowisk. Oprócz zakładu przetwórczego torfu (na tzw. torf ogrodniczy) — kilka budynków, grupka stałych mieszkańców.

Podróż: kilkanaście godzin wagonami wołowymi „46 ludzi albo 8 koni”. Zderzenie z rzeczywistością dla takich szczawików z „dobrego” gimnazjum i liceum ogólnokształcącego — okropne! Obok przetwórcy — rzędy namiotów 8-osobowych z demobilu amerykańskiego, budynki komendy, baraki kuchni i świetlicy, wysoki maszt na placu apelowym.

Umundurowanie (a więc ostateczne pożegnanie się z „cywilnym”), ciuchy robocze — obrydlawe, wyjściowe — lepsze. Komenda — to jeden zawodowy wojskowy (parający się z upodobaniem polowaniem w otaczających obszarach), kilku cywilów i „kadra dowódcza”, przeważnie ze wsi. Ustawiona na „walkę klasową” ze zgniłą inteligencją, co szybko jednak się skończyło.

Oprócz zajęć typu przysposobienia wojskowego i porządkowych — 8 godzin pracy na torowisku w przetwórcy. Nikt nas nie rozpieszcał!

Muszę przyznać, że otoczenie obozu było bardzo ładne. Długa droga do torowiska, wiodąca przez las, potem szeroka przestrzeń z trawą i na wprost bagienka roślinnością... Prostopadłe, zalane wodą doły po wydobytych torf, dużo, bardzo dużo torfu jeszcze do wykopania... Wzdłuż całego torowiska kolejki z wagonikami o napędzie ludzkim. Do przewożenia torfu i zaopatrzenia!

Pobudkaaaa... pobudkaaaa! Szybkie śnianie łóżek, mycie w ocykowanych korytach, śniadanie i wymarsz od pracy. Droga — o ile mnie pamięć nie zwodzi — około 2 km. Na miejscu przystają stanowiska gwizdek i — do roboty. Pracuję się dwójkami i dwoma, wystraszonymi jak

brzytwa narzędziami: jeden junak zdejmując nakład (trawa, humus itp.) oraz specjalnym nożem na metalowym trzonku (1,5 m długości) odcina pionowo „kolumny” torfu, drugi junak w gumowych butach, stojąc z reguły w wodzie (w miarę pogłębiania wykopu) — wycina szpadem „cegłki”. Cegłki muszą mieć wymiar 10x15x25 cm.

„Nierozłączne siostry dwie —

W torcie znajdują się niezupełnie zgnite korzenie i gałęzie. Cegłki muszą być całe, normy wyznaczone! Rzecz w tym, aby odcinać szybko i skutecznie. Czasem przeto wraz z czubkiem gumowego buta i palcem. Wyrzucone z wykopu i ociekające wodą cegłki układają się w przemysłne kupki celem wstępnego przeschnięcia. Potem — po kilku lub kilkunastu dniach — w zależności od pogody — dwa następni junacy zabierają je na tzw. „nosiki” i układają w „sztable”, to jest budowle przypominające wyglądem i wymiarami dzisiejsze tunele foliowe.

Normy dzienne dotyczyły odrębnie dwójki „wycinającej” i dwójki „noszącej”. Brygady „sztablowe” mają coraz lepsze wyniki, a my nie możemy nadążyć z wycinaniem. Coraz mniej jednak na polu nosilek! Co za dziwny zbieg okoliczności! Miejscowy Sherlock Holmes ustalił, że większość nosilek znajduje się miśternie obudowana wewnątrz sztabli, tworząc wygodne

meliny na czas deszczu i nie tylko. Afera — niewykonanie planu! groźba zatrzymania na następny turas; jednak po jakimś czasie na skutek zwiększonych obrotów braki zostają nadrobione. Kadra przestaje się „odrywać” i zrywać. Następuje powszechny PAX!

Codziennie dwójka wybralców bierze jeden wagonik i udaje się około 10 do kuchni po

konwie z czarną kawą (nie słodzoną). Drugie śniadanie — fasujemy rano i każdy drużynowy bierze je z sobą, mając obowiązek uczciwie rozdzielić na miejscu. Jakże to śniadania? No cóż... rogu obfitości nie było. Trochę chleba, czasem kiełbasa często wędzone ryby, którymi latano ubogim jadłospis. Ryby liczono na sztuki, czasem więc ostateczny wynik mógł budzić wątpliwości; dowódca na przykład ogłaszał: „Chłopaki — dziś pięciu śledzi na szóstki”. I dzieli tu człowiekiem!

Pisząc o wszystkim miał zaszczyt być drużynowym (jedyną, najniższą funkcją, nie zaliczającą się do „kadry”). Z tej to racji załadowałem kiedyś do menażki przydzieloną ilość koszek boczku na drugie śniadanie. A pilnowałem go jak oka w głowie! Tymczasem — w czasie biegu do kanwy z kawą — menażka otworzyła się, boczki zaś wpadły do rowu z wodą! Trzeba było widzieć, jak drużyna zastopowała i soli-

był członkiem partii, lub kom-somolcem. Taka ilość komuni-stów w armii miała zasadniczy wpływ na przebieg działań bo-jowych i morale wojsk.

Według danych niemieckiego Sztabu Generalnego, w ciągu dwóch lat wojny ze Związkiem Radzieckim Wehrmacht stracił w zabitych, rannych i zaginio-nych około 4,2 mln ludzi. W tym czasie musiano wciąć 3,9 mln nowych żołnierzy i ściga-nać siły z zachodnich frontów. Powołano pod broń nie tylko 16-18-letnich chłopców, ale i 60-letnich mężczyzn.

Niemiecki wywiad prowadził na szeroką skalę tajną wojnę przeciwko ZSRR. Liczba nie-przyjacielskich szpiegów i agen-tów w początkowym okresie wojny rosła. Przenikali oni do szeregów Armii Radzieckiej, zrzucając na tyły frontów i głębokie zaplecze. Radzieckie organa bezpieczeństwa i kontr-wywiad zaangażowały potężne siły ludzkie i materialne do walki z obcym wywiadem i dywersją. Tylko w 1943 r. u-nieszkodliwiono na froncie i zapleczu ponad 15 tys. nieprzy-jacielskich agentów.

W 1943 r. przemysł radziecki był już w stanie produkować dla swej armii 35 tys. samolo-tów, prawie 10 tys. więcej niż Niemcy oraz 24 tys. czołgów i dział pancernych, tj. ponad 13 tys. więcej niż Niemcy łącznie z okupowanymi krajami. Fran-cuski historyk J. Vidalenc słuź-nie podkreślał, że w 1943 r. „Rosjanie rzeczywiście dokonali cudu przemysłowego, wyposaża-jąc w sprzęt i uzbrojenie uszy-szkie rodzaje swych sił zbroj-nych”.

Przygotowania Armii Radzieckiej do nowych walk obejm-owały także uzupełnianie fron-tów nowo wyszkoloną kadra dowódców, polityczną i inżynie-ryjno-techniczną. Korpus ofic-erski AR na początku 1943 r. zwiększył się do ponad 1 mln osób. W czasie wojny szkoły wojskowe i akademie radzieckie wyszkoliły ponad 2 mln ofic-erów.

Zgodnie z danymi przytocy-nymi przez W. Churchill'a, w okresie od 1 stycznia 1943 r. do 1 stycznia 1944 r., na wszystkich teatrach II wojny światowej walczyło od 19 do 24 dywizji Imperium Brytyjskiego i od 15 do 22 dywizji amerykańskich. Były one rozrzucone na ogrom-nych obszarach w różnych czę-sściach świata, a ich wysiłek był rozproszony i prowadził prze-ciwno słabym ugrupowaniom przeciwnika. Natomiast Związek Radziecki w tym czasie prowa-dził pełną walkę z głównymi ugrupowaniami Wehrmachtu i jego europejskimi sojuszników, siłami od 425 do 489 dywizji.

W 1943 r., w Armii Radzieckiej zakończono formowanie dywizji artylerii rakietowych. Salwa ogniowa takiej dywizji, licząca 3456 pocisków rakieto-wych, ważyła około 320 ton. W tym czasie w składzie wojsk radzieckich działało 13 armii lotniczych, każda z nich posia-dała od 800 do 1200 samolotów bojowych. Od listopada 1942 do końca 1943 r. Armia Radziecka rozbiła 218 dywizji przeciwnika i odrzuciła go na zachód od 500 do 1300 km.

Nic! Nikt dziś nie może ani

podważyć, ani przekreślić tego faktu, że w tamtych ciężkich latach, losy ludzkości decydo-wały się w strategicznych bi-twach pod Moskwą i Leningra-dem, pod Stalingradem i Kur-skiem, na całym olbrzymim froncie od Oceanu Lodowatego po Morze Czarne. Armia Ra-dziecka prowadziła zwycięskie kampanie w 1944 i 1945 r., za-kończyła swoją wyzwolenia-misję w stolicy III Rzeszy Ber-linie, niosąc upragnioną wol-ność narodom 10 krajów Euro-py, w tym i narodowi polskie-mu.

Tak jak podczas Rewolucji Październikowej i w obronie młodej władzy radzieckiej wal-czyli liczni Polacy, tak i w cza-sie II wojny światowej nie za-brakło ich w szeregach Armii Radzieckiej. U boku Armii Ra-dzieckiej na szlaku bojowym od Mierel do Łaby walczyli rów-nież żołnierze Ludowego Woj-ska Polskiego, które dzięki po-mocy ZSRR rozrosło się w 400-tys. armię. Wyzwalało ono kraj ojczysty w granicach Odry, Ny-sy, Łużyckiej i Bałtyku, by wrzeszcze jako czwarta siła koa-licji antyhitlerowskiej i jako jedyną z koalicji razem z Armią Radziecką wziąć udział w ber-lińskim triumfie.

Na froncie wschodnim Armia Radziecka rozgromiła ponad 680 dywizji faszystowskich, wvelmi-nowała z walki ponad 12 mln żołnierzy, zniszczyła ok. 170 tys. dział i moździerzy, blisko 50 tys. czołgów i dział pancernych, ok. 80 tys. samolotów i 2500 okrętów wojennych. Na zachod-zie Niemcy stracili 178 dywiz-jii i ok. 3,5 mln żołnierzy.

Decydująca rola ZSRR i Ra-dzieckich Sił Zbrojnych w roz-biciu faszystów i tym samym uratowaniu ludzkości od niewoli i zagłady, które groziły naro-dom Europy. Azji, a także Ameryki, okupionej ofiarą 20 mln żołnierzy i obywateli ra-dzieckich, spowodowała wzrost politycznego i militarnego zna-czenia ZSRR i jego niezwykłe-zonej armii nie tylko w Euro-pie, ale i w świecie.

Kroniki dzieł ludzkości niewiele znają dat, których czas nie zacięra w pamięci naro-dów świata. Do takich zali-czyć wypada zwycięski dzień Armii Radzieckiej na gruzach stolicy III Rzeszy i zakończenie II wojny światowej w Euronie. Pod względem gigantycznej ska-li działań bojowych wojna ta nie miała sobie równych w ca-łej historii świata. Wciągnęła ona w swe śmiertelne żarło ar-mię wielkość ludzkości kuli ziem-skiej, spowodowała straty w ludziach wynoszące 55 mln za-bitych i 90 mln rannych i oka-leczonych. Wojna ta pochłonęła 4 tryliony dolarów.

Armia Radziecka — to głów-na siła obronna socjalistycznej wspólnoty. Stanowi potężny czynnik powstrzymujący agre-sywne i zimnowojenne poczyn-ania wrogów socjalizmu. Wspólnie z państwami Układu Warszawskiego w 66 rocznicę swego istnienia, czynnie strzeże bezpieczeństwa i pokoju w Eu-rope i świecie.

Bohater to jest Ktoś ...

IWONA SOKÓŁ

Człowiek odznaczający się wielkim męstwem, odwagą, ofiar-nością, wyjątkowymi zasługami dla innych, waleczny, dzielny, odważny, rycerski. W Słowniku Języka Polskiego znajdziemy je-szcze kilka podobnych przymiotników, a wszystkie określają tę samą postać.

Kim ona jest?

— Kiedyś to tych bohaterów było, pani, pełno. Jeździł sobie w zbrojach i nie bał się nikogo. Jeden taki to nawet rękawiczkę lwu sprzed nosa zabrał, żeby się pannie przypodobać. Dzisiaj każdy powiedziałby — wariat.

— Bohater — to mój dziadek, sam już nawet nie pamięta, w ilu wojnach brał udział. Znałem też kiedyś jednego takiego, co to dzieciaka z pożaru uratował, ale jak przyjechali wręczyć mu medal, to właśnie łudził po pijanemu żonę.

— To Kuba, pani wie? On wczoraj skoczył z balkonu i wca-le nie skreślił sobie karku, a jego siostra mówiła, że nawet nie ryczał, jak go tata prał.

— Czytałam o tych odważnych, filmy też się ogląda, ale na własne oczy nie widziałam. Kto to ma dzisiaj czas na jakieś tam „wielkie czyny”? — praca, kolejka, dom i tak w kółko...

Stanisław Paliński — pilny, pracowity, interesuje się wszech-stronnie swoim zawodem, uczynny wobec kolegów, dobry or-ganizator pracy...

1942 r. — łapanka przy ulicy Kilińskiego, dwa tygodnie wię-zienia i skierowanie do Arbeitsamtu. 14 lat i sześć klas szkoły podstawowej, to już wystarczająco dużo, aby podjąć pracę.

Przydzielono mnie do grupy remontującej linie telefoniczne. Pierwszy wyjazd w okolice Głogowa — zimno, nie mam czapki, buty spadają z nóg, a tu trzeba wejść tak wysoko — wicheru pożywała druty. Marzną ręce, żeby chociaż dali coś do jedzenia. Zamiast tego guz na głowie — majster przypomina, że w robocie się nie myśli.

Przez następne trzy dni to samo — śpiemy w stodole, o piątej pobudka i do wieczora oglądamy tłustą buziunię naszego do-zorcy. Najbardziej cieszy się, kiedy może przyłożyć któremuś tym swoim pejszem-wychowawcą — już on zrobi z nas ludzi.

Kiedy pojedziemy do domu?

Najpierw trzeba wymienić kilka słupów — ciągniemy, szar-piemy, a efekty wciąż mizerne. Polamane paski nie pozwa-lają zasnąć. Słucham opowieści jednego z nas (żołnierza) — be-dziemy wolni, jeszcze tylko kilka dni. On wierzy w to, pewnie dlatego nigdy się nie rozbiera — czeka na cud i chce mieć w nim swój udział. Zanim tak się stanie zdajemy jeszcze odmo-rzić sobie ręce i nogi, dokładnie będziemy liczyć kopniaki, który-mi majster zachęca nas do pracy. Obmyślanie zemsty na nim nie jednak nie przyda — nasz kapo ucieknie dwa tygodnie przed wyzwoleniem.

19. I. 1945 — Łódź wolna — zaminowany budynek przy al. Kościuszkis zabezpieczony przed wybuchem, tymczasowa siedziba o-biera tam minister poczty i telegrafów. Wracamy do pracy, od-gruzowujemy zniszczone urządzenia telefoniczne i sieć kablową. W kilka dni później telefony działają już w komendzie miasta i elektrowni. Praca w dzień i w nocy — chcemy, żeby to „lepsze” nadeszło jak najszybciej. Pierwsza wypłata po czterech miesia-cach — można kupić za nią dwie paczki papierosów, na szczę-ście działa kuchnia polowa.

Po pracy uzupełniam braki w wykształceniu: najpierw szkoła podstawowa i zawodowa, kiedyś przyjdzie czas i na technikum. Staram się jak mogę — w pracy dyrektor sprawdza dzienniczki. Pracuję tak jak dawniej, ale nikt już nie bije i nie krzyczy, często zdarzają się „wyjazdówki” — wielodniowe naprawy po-zrywanych linii, brakuje odzieży ochronnej, narzędzi. Na Ba-lutach powstaje nowa centrala — zakładamy instalację, stawia-my słupy, kopujemy rowy. Liczy się jakość, estetyka — każda dzia-ła w ścianie musi być załatwana w kolorze tynku. Sprawdzam

instalację, wyliczam z materiałów. Nie wszyscy kochają kontrole-ra — czepiam się podobno.

W domu też nie jestem lepszy — znikam na całe tygodnie, wracam umorusany, śpię, a potem wszystko od początku. Tra-fiam wreszcie do Oddziału Konserwacji i Remontów — kieruję ludźmi, którzy siedzą tu „za karę”. Z własnej woli nikt tu nie przyjdzie — płace niskie, a praca brudna, ciężka. Ktoś jednak musi grzebać w studzienkach, odkopywać stare kable i wymie-niać je na nowe. Trzeba uważać na przewody gazowe, które nie zawsze są szczelne. Co tu dużo mówić — czarna robota, czarna ręce i takie same myśli.

Chciałaby pani usłyszeć pewnie o jakiejś mroźnej krew w ży-lach przygodzie — nie z tego. To wszystko jest bardzo nudne, ale jak można mówić interesująco o rozkopywaniu ziemi, polero-waniu żarzewiałych drutów? A może opowiedzieć o pradach błędzących? Nie wszyscy wiedzą, co to takiego — przenikają one z trakcji tramwajowej, niszczą nasze przewody, odpowie-dnie urzędzenia kierują je z powrotem.

Praca w tej dziedzinie również mnie nie ominęła, a wspominam ją najchętniej — pomiary uziemień słupów kablowych, współpraca z laboratorium, to sielanka w porównaniu z zżyfową robotą w Oddziale Aparatów Wrzutowych. O tym też nie trzeba wiele mówić, wystarczy wyjść na ulicę i policzyć ile mamy spraw-nych automatów telefonicznych.

Kiedyś wymieniliśmy słuchawki we wszystkich aparatach przy ulicy Narutowicza, a następnego dnia trzeba było robić to samo. Ciężkie pieniądze to wszystko kosztuje, ale co to kogo obcho-dzi?

Dziwna rzecz — rzadko zdarzają się nam podobne naprawy w prywatnych mieszkaniach, za to w biurach powyrwane kable, poluczone telefony to „normalka” — nerwy tylko człowiek sobie szarpie.

Pracuję teraz jako kontroler robót inwestycyjnych i denerwu-ję się wcale nie mniej. W czasie robót musimy nieraz zmieniać projekt, bo wykopujemy jakiś stary przewód. Trzeba uważać na kable, które przesyłają fale świetlne, naprawa takiego „światło-wodu”, to robota zegarmistrzowska i duże pieniądze. Warunki pracy o wiele lepsze niż kiedyś — nowoczesne urządzenia i odzież ochronna. Żeby tylko pracownicy nie sprzedawali jej na rynku. Przychodzi taki zimny w półbutach i po kilku godzinach może już iść do lekarza z piękną grypa.

Coś w tym wszystkim nie gra — inaczej się kiedyś pracowało, majster to był ktoś, kogo należało słuchać. Nie, nie tęsknię za tamtymi czasami — było przecież o wiele trudniej, brakowało mi tylko tamtego zapachu, tamtych chęci. Krew, mnie, zalewa, kiedy widzę robotę „na podczepnego”. Kiedyś uczyłem się, przez dwa tygodnie wbić gwoździe w ściany miekkie, twarde i to było równie ważne, jak wszelkie naprawy, konserwacje. Koledzy mó-wią, że za bardzo się tym wszystkim przejmuję, pewnie mają rację.

Chciałbym trochę odpocząć — pracuję już od czterdziestu dwóch lat, ale do emerytury zostało jeszcze dziewięć. Może to i dobrze, bo co ja bym w domu robił? Nie jestem przyzwyczajony do siedzenia przed telewizorem. Po godzinach dorabiam, jako konserwator, bo pensji ciągle nie wystarcza do pierwszego.

Zawodu nie wybierałem sam, zmuszono mnie kiedyś do tej pra-cy, a teraz nie mogę już sobie wyobrazić, jak to byłoby gdzie indziej. Dostałem nawet kilka nagród, dyplomów, złotą odznakę — widocznie jestem tu potrzebny. Nic wielkiego nie zrobiłem, książki nikt o mnie nie napisze, bo na każdej stronie trzeba by pisać to samo.

— Bohater? — to jest Ktoś! O takim można nawet film na-kreślić, wszyscy go podziwiają, wiedzą, że bez niego coś tam by się zawałilo.

darmie łowiła swoje drugie śniadanie! O dzi-wo — nikt jakoś do mnie nie miał specjalnych pretensji. A buczek smakował jak niedzi!

Dostąpiłem któregoś dnia zaszczytu pojecha-nia po kawę Romantyczna niemal wycieczka wśród drzew i rozśpiewanego lasu... Mnie! Na-tomiast romantyczne było zbliżenie się do okien obozowej kuchni, które przyciągnęło naszą uwa-

mlodość i SP!

ge wydobywajacym się smrodem! Zajrzeliśmy dyskretnie. Zobaczyliśmy szefa kuchni, który wraz z pomocnikami polewał wrzaca woda po-lówkę krowy. Cel zabiegu — wiadomy. Głównie byłem się zajął, że gdyby nie to — że była to półówka krowy, to chyba przyszłaby ona z Elbląga sama (w Elblągu była rzeźnia szaf chłodniczych nie znano...). W tym dniu smako-witego gulaszu na obiad nie jadłem.

A jednak jakoś żyliśmy i pracowaliśmy. Cze-sto z humorem czasem żli. Jak w dniu kiedy pogrążeni po uszy w czarnej robocie zobaczy-liśmy na wzgórkach koło torfowiska postać w pseudowojakowym mundurze, buty z cholewa-mi, mapnik. W rękach notatnik... postawa nie-mal napoleońska! To znany nam Andrzej O., parający się wówczas korespondencją do prasy młodzieżowej. Reakcja nasza była zgodna, a wy-różniał się w niej Andrzej S., później znako-mity bas operowy. Pozwólcie jednak, że tekstów nie przytoczę! Ale i tak nie nie pomogło; po

kilku dniach mogliśmy o sobie przeczytać, jak to dzielni junacy kopią torf itd. Autor sym-patii naszych jednak i tak nie pozyskał.

Zespół był dobry, początkowo animozje szyb-ko gdzieś zniknęły.

Na pewno wiele postaci godnych jest odnoto-wania. Ale przede wszystkim Robert G., które-go zacięcie w pracy nad odbudową PRL było odwrotnie proporcjonalne do możliwości fizycz-nych. Zdał się, że Robert chciał coś tam ko-muś udowodnić. W efekcie nabawił się chorób-ska i stał prozajcznym memento o siłach i za-miatach!

O., najlepszy znawca motyli wśród inżynie-rów, Andrzej K. (medyk), moja podpora w bry-gadowej działalności kulturalnej! A propos — aby wykluczyć osadzenie, że SP interesują ty-lko wyniki produkcyjne — zorganizowano w Operze Leśnej w Sopocie przegląd zespołów artystycznych z różnych brygad. Komenda o terminie wiedziała dużo wcześniej.

Kto był sprężyna — nie wiem. A może sam przewidywałem profity w postaci zwolnień od prac porządkowych do „zadań specjalnych”. W każdym razie któregoś dnia wyznaczono mnie rozkazem na kierownika chóru brygady i ka-zano przygotować program artystyczny. Ogło-siliśmy przez radiowęzeł termin posłuchania (chętnych było multum, tak to chłopcy chcieli „robić za artystę”). Po odrzuceniu takich, któ-rym słoń zupełnie wyraźnie nadepnął na ucho — zaczęliśmy ćwiczyć piękną pieśń masowa p.t. „Wykonaj Plan”. A ze względu na to, że oprócz organek w całej brygadzie był tylko jeden in-strument — akordeon (własność kogoś z kadry) — decyzja była prosta: wystąpimy „a capella”. Już pierwsze próby odarły nas ze złudzeń, że będzie można stworzyć arcydzieło wykonaw-stwa lecz o wycofaniu się z imprezy nie było mo-żliwe — komendant przedstawił swoje stanowis-ko w tym względzie krótko, dosadnie i w spo-sób nie nadający się do cytowania.

W tym trybie zostaliśmy „wewnętrznie za-kwalifikowani”. Z tą jedyną pozycją repertua-rowa.

Zbliża się termin występu. Dostaję gorączki, trochę z przeziębienia, trochę ze zdenerwowa-nia. W dniu „D” obozowy fryzjer rozrabia mi-chę mydła, gołi kilkudziesięciu „artystów” po niskiej cenie a dyrygenta bezpłatnie. Potem załadunek na dwie przyczepy do „Ursusa” i jaz-da do Sopotu! Po drodze — bo jednak taki wyjazd to frajda — śpiewy, wygładzający zza opiótków ludzie. Niechym przegrupowanie wojsk!

Opera Leśna. „Ano — zatrzymajcie się w tamtym kącie. Jak przyjdzie czas, to was wy-puścimy (na scenę)”. Moment ten wkrótce nad-szedł, co gdy nastąpiło — szef-kapelmistrz, czyli ja, po ustawieniu się „ansambła” — wy-chodzi na scenę na nieco ignający się no-gach. Salutowanie, powrót na bok sceny dys-kretnie podanie tonu na „kadrowym” akordeo-nie, „trzy-cztery” i śpiew, tej sztandarowej, ładnej przebie a obrzydzonej przez zbyt czę-ste powtarzanie pieśni „Wykonaj Plan”. Śpiewamy nawet dość czysto. Koniec, nieco marne oklas-ki, zejście ze sceny, oczekiwanie na wyniki obrad jury (nie pamiętam) i w późnych godzi-nach nocnych powrót do bazy.

A następnego dnia normalka: Pobudka, gwizdek, „piąciu siedzi!”, itd. Czas kultury się skończył. Żadnych profitów, do roboty!

Co jeszcze? Jakaś zabawa w sąsiedniej wsi, kapela składająca się z trabki, klarnetu i beb-na, bokiem patrzące chłopaki ze wsi że im ju-nacy podrywają dziewczuch (wiadomo — „mias-towe” a jeszcze w mundurze), jakiś łomot, po-spieszny powrót do obozu „na skróty”. No i szef który po pierwszych dniach walk klaso-wych ze zgniała inteligencja zmienił się i na swój sposób dał się lubić. Miał ostatecznie tę świadomość, że oceniał go za wyniki naszej pracy...

W ostatnim dniu przed „demobilizacją” — ge-neralne sprzątanie obozu, aby przygotować te-ren dla następnego turnusu (a jakże — przy-jechali! Wystraszone chłopaki!). Potem powrót do cywilnych ciuchów, powrót na drogę, po-żeganie z „wodzami!” i — do pociągu lokal-ego, bo wracać mógł każdy z bezpłatnym bi-letem — jak! chęta!

I chwila refleksji: jeśli po 32 latach tak do-brze spisuje się pamięć, to czy było tak źle, czy tak dobrze? Chyba ani tak, ani tak!

Po pierwsze — mam świadomość aby nigdy nie negować tych żądań w wyniku produk-cyjnych, bo to autentycznie moja praca i gdy-bym jej nie szanował — nie szanowałbym sie-bie. Zresztą — kto w tych czasach miał na tamtych terenach pracować?

Po drugie — w tych trudnych, a na początku nawet nieprzyjaznych warunkach sprawdziliśmy sami siebie!

Jestem zwierzęciem stadnym i nie lubię się, abyś w krytycznych sytuacjach mógł być „Zo-sia-Samosia!” I aby tylko nie przekroczyć tej magicznej granicy, od której zaczyna się układy — miło wiedzieć, że gdyby kiedyś... to pamięć podpowiada imiona Andrzeja, Roberta, sprawdzonych kolegów, z którymi przeżyło się znaczące parę tygodni, których widziałem w róż-nych sytuacjach i wiem, co o nich myśleć na co ich stać.

Jeśli więc nawet pamiętam też tę półówkę krowy — co to ma za znaczenie?

WITOLD AFELT

Zuwaga przeczytałem artykuł Roberta Glutha o samobójstwach nie tylko dlatego, że jest świetnie napisany, ale również dlatego, że wynika z niego kilka wniosków. Autor rzuca, stawia diagnozy i bada przyczyny w sposób przekonujący, i to w szerokim, socjologicznym, psychologicznym i historycznym kontekście. Czasami pozwala sobie wprawdzie na niewinne, kazuistyczne chwytły, mające przekonać czytelnika, że krzywa samobójstw rośnie, i to zarówno w Polsce, jak i we wszystkich innych krajach tkniętych szponem cywilizacji i postępu technicznego, ale owa kazuistyka nie wynika bynajmniej ze słabości dziennikarza, tylko ze słabości statystyki, do której Gluth, jako człowiek sumienny i ambitny, postanowił się odwołać.

Statystyka podkazuje, podskakuje i nagle spada, Gluth, żeby sobie z tym jakoś poradzić, nazywa to po prostu wahnięciem, po którym tak czy owak nastąpi dalszy wzrost samoumieszczeń.

Nie wierząc statystyce, wierzę Gluthowi. Gluth ma rację. Krzywa naprawdę rośnie, a moda na samobójstwa rozprzestrzeniła się bezczelnie.

Toteż artykuł Glutha należałoby przyjąć bez zastrzeżeń; jest potrzebny, alarmujący i jeśli czegoś mu brak, nie obciąża to w żadnym wypadku autora, lecz formę wyrazu, jaką się autor posłużył, publicystyką, ma bowiem to do siebie, że już się ją oczami i zapomina, natomiast reportaż wycelowany w konkretny przypadek pozostaje w pamięci ludzkiej na długo. Być może Gluth wróci jednak do tematu, który go dziś jest ze wszelkich miar pociągająca, i traktując swój pierwszy artykuł jako esejistyczny wstęp, obdarzy nas paroma reportażowymi kawałkami.

Chciałbym, żeby tak było, ale jeśli nawet tak nie będzie, nie zmienia to faktu, że jestem Gluthowi wdzięczny.

Coś nie mogę się jakoś dzisiaj tego faceta nachwalić, ale jak Boga kocham, jest za co! Do tej pory wszyscy psychiatry, literaci i znawcy przedmiotu, z którymi na temat samobójstw miałem okazję porozmawiać, forsowali z uporem teorię, że na życie targnąć się może jedynie osobnik, o tak zwanych deficytach umysłowych, jakiś debil, paranoik, schizofrenik, idiota lub imbecyl, w żadnym jednak wypadku człowiek, który ma w głowie po kolei.

Człowiek, który ma w głowie po kolei — twierdzili wszyscy ci psychiatry, literaci i znawcy przedmiotu — nigdy świadomie i dobrowolnie nie podeszł do samobójstwa, ani nie założy stryczka na szyję, choćby był nie wiem jak desperowany, zmęczony życiem i zawiedziony w miłości, choćby wyrządzono mu nie wiem jaką krzywdę w szkole, w pracy lub w domu.

Gluth, w którego artykule znać ślady trudnych lektur, i który raz po raz odwołuje się do licznych przykładów zarówno z rodzimego, jak i obcego podwórka, udowadnia, że jest inaczej, że samobójstwo jest nie tyle wynikiem i skutkiem choroby, co chorobą samą w sobie, przypadłością mającą ścisły związek z warunkami życia i pracy, z rytmem czasu, który wymaga od człowieka stałej i bezwzględnej walki, z obciążeniami szkolnymi i kompleksem niższości i nie zaspokojonym kompleksem wyższości, z trwogą przed kataklizmem wojennym, wreszcie... z narkotykami, alkoholem, lekami przed cierpieniami i samotnością oraz, na ostattek, ze zwierzęcym buntem przeciwko konieczności umierania, co można by wyłożyć w dwóch słowach: jak mam umrzeć jutro, wolę to zrobić dziś.

Nie jestem znawcą przedmiotu i nie mam w ogóle takich ambicji. Głos zabieram jedynie jako amator i tak zwany obserwator obyczajów. Nie sprzeczą mi się więc z Gluthem, kiedy pisze, że spośród wszystkich kregowców tylko człowiek jest zdolny na podstawie decyzji własnej pozbawić się świadomości życia. Nie sprzeczą mi się, aczkolwiek kilka lat temu poważne agencje prasowe doniosły o zbiorowym samobójstwie wielorybów gdzieś na wschodnim czy też zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Próbowano je ratować, spychano je na powrót wszelkimi możliwymi sposobami w głębinę oceanu, ale wracały uparcie na plażę i zdychały.

Interesowałaby mnie w tej mierze opinia autorów naukowych, nasuwa się bowiem prosty wniosek: albo wieloryb jest istotą myślącą i popełnił samobójstwo wskutek pomieszania zmysłów, czy też w imię protestu przeciwko bestialskiemu zatruciwaniu mózgu i oceanów przez człowieka, albo też nie było to w ogóle samobójstwo. Jeżeli nie, to jak to w takim razie określić?

Albo zostawmy wieloryby w spokoju. Chcą rozstać się z życiem, proszę bardzo. Szkoda ich wprawdzie, bo to bardzo dziwne, piękne i wielce rzadkie już ssaki, ale w końcu ostateczna decyzja należy do nich. Zastanawia mnie jednak, choć jest to oczywiście zwykłym zbiegiem okoliczności, fakt, że wieloryby postanowiły popełnić samobójstwo na wybrzeżach Ameryki Północnej. Zrezygnujmy z kazuistyki, mającej za sobą lekturę „Dnia Szakala”, „Dnia Meduzy” i kilku innych sensacyjnych dni, mogłoby na tej podstawie napisać wstrząsająca powieść, która byłaby nie tylko dowodem na to, że szare komórki nie są już wyłącznie własnością homo sapiens (powstała już taka książka o delfinach i orkach), lecz że Stany Zjednoczone są jako mocarstwo złym duchem współczesnego świata i do ogólnych protestów przeciwko nim przyłączyły się ostatnio wieloryby, istoty nie tylko obdarzone głębokim rozumem politycznym, ale również niezwykle czułym sumieniem i wrażliwością.

Fakt, że wieloryby popełniły samobójstwo w Ameryce, działa na moją wyobraźnię dlatego, iż Stany Zjednoczone były do niedawna i są być może w dalszym ciągu, jedynym cywilizowanym krajem, w którym zamach samobójczy nie podlegał karze, a więc był tym samym aktem legalnym, praworządnym i dozwolonym. Cóż za zdyscyplinowane zwierzęta z tych wielorybów! Na marginesie przypominam mi się hasło rzucone przez pewnego pisarza i nie odnoszące się już, niestety, do rzeczywistości amerykańskiej: Obywatelu, każdy dzień twojego istnienia zwiększa deficyt twojej kochanej ojczyzny!

Tak czy siak, większość ludzi ma całkiem prawidłowe odruchy zachowawcze i lubi ży-

cie, bez względu na wszelkie jego udręki i zmo-ry. Zamachy samobójcze wciąż robią na nas ogromne wrażenie, aczkolwiek do indeksu wymienionych przez Glutha samobójstw, czy też raczej motywów samobójczych, można by jeszcze dopisać właśnie samobójstwo dla samego wrażenia (palną sobie w łeb, a świat zapla-chez!) oraz samobójstwa spekulacyjne (ściśle: wyspekulowane) i związane, czyli takie, których autor nie tylko obliczył dokładnie skutki swego kroku, ale w dodatku, decydując się na śmierć, powodowany był równocześnie kilkoma imperatywami, i liczył na korzystne i równocześnie załatwienie kilku nieobojętnych mu spraw.

Przykładem niech będzie chociażby niedawny skok pewnej kobiety z wieży katedry Notre Dame w Paryżu — zawiodło ją życie, zawiodł kochanek, zawiodły ambicje, postanowiła więc ze sobą skończyć, ponieważ jednak nie wyzbyła się doszczętnie pragnienia sławy i wielkich nagłówków w gazetach, nie sięgnęła po brzytwę i truciznę, po sznurek czy pistolet, tylko wykonała właśnie ten obliczony na efekt skok.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Stryk

Nie miałaby chyba nic przeciwko temu, żeby urwać po drodze część kościelnego dachu i współzabić na chodniku ze trzy-cztery osoby. Wrażenie byłoby wtedy jeszcze większe, gdyż oprócz znamion samobójczych nawiazałyby w prostej linii do czynu Herostratesa.

„Zawsze miałem ogromną potencję seksualną — oświadczył w prasie amerykańskiej Murray, przywódca samobójczej sekty religijnej, która samoumieszcziła się w Ameryce Środkowej, budząc zgrozę całego świata. — Mogłem kochać się z kilkunastoma kobietami kilkanaście razy dziennie. Ale już mnie to znudziło. Teraz, jeśli mnie coś obchodzi, to tylko wielki orgazm grobu”.

Kilka lat wcześniej czytałem oryginalny, nieco podobny w treści list, skierowany przez młodą dziewczynę do chłopa, przy czym sprawa dotyczyła Polski, konkretnie: Łodzi. Oto jego brzmienie:

„Rzadko się zdarza, aby żywi potrafili kochać martwe rzeczy bez odrobiny fałszu i snobizmu. Żywym brak wiary w niezawodną przyszłość przedmiotów. Najczęstszym powodem ich smutku i zalamania jest strach podświadomy przed nienawiścią i pogardą do martwoty, która pomaga wierzyć we własne siły. Jeżeli pokonał wszystkie ludzkie słabości, to... ale zaraz, przecież ty już... nie, tak... tak, teraz, tak!”

Mówił ci przecież, że każdy człowiek po-

trafi się śmiać, jeśli wyciągnie rękę po narkotyk. Każdy, nawet taki jak ty. I właśnie tak, jak robisz to teraz, szczerze i bez wysiłku. To nieważne, z czego się śmiesz, ważne tylko, jak. Nie, nie mam do ciebie zału, że cieszy cię moja wykrzywiona twarz i nóż sterczący śmiesznie z mojej piersi. Nie mam zału, że to ty go włożyłeś. Jest zupełnie odwrotnie, bawi mnie to, nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Pomyśl! Tyle wysiłku, tyle lat mojej nauki i moich pragnień spełniło się w tej malej chwili. Cudownie! — nauczyłeś się śmiać, bo pokochałeś to, co jest moją słodką tajemnicą, nie, teraz już naszą tajemnicą. Cudownie... Muszę się spieszyć... Mam ci tyle, tak dużo do powiedzenia, a tak mało czasu”.

To są właśnie początki tej idiotycznej mody, tego kretyńskiego snobizmu, tych tandetnych, komiksowych i płaskich wygłupów, których nie sposób jednak lekceważyć, bo życie ludzkie jest krucho: jedna pigułka więcej, jeden krok dalej, jedno żartobliwe z pozoru posunięcie i... rzeczywistość! Wiele lat pracy i nauki, wiele zmarnowanego trudu rodziców i ich bez-

tuja! Skoczę z okna, ale tylko z pierwszego piętra — przeżyję! Lyknę dziesięć proszków nasennych, albo otworzę gaz, bo zaraz i tak przyjdzie mama, tata lub mąż i wszystko zakończy się dobrze, a jakże mnie będą odgryszanować i kochać, jakże będą się o mnie troszczyć!

Pewnego dnia człowiek piastujący w mieście kilka wysokich i odpowiedzialnych funkcji, wrócił późnym wieczorem do domu i zniechęcony, wspomniany dzień był bowiem bardzo męczący i pechowy, położył się do łóżka z nadzieją, iż długi i zdrowy sen złagodzi trochę jego stresy.

O północy obudził go telefon. Kobiety, do brze mu znany głos (równie dobrze znała ten głos jego żona) mówił sennie i cicho, ale nie bez pewnego patosu:

— Zostawcie wszystko tak, jak jest. Nic nie zmieniajcie.

I połączenie zostało przerwane.

Nie był to pierwszy telefon tego typu. Senny głos kobiety już kilkakrotnie straszyl po nocach różnych ludzi, między innymi człowieka pełniącego odpowiedzialne funkcje społeczne i jego żonę.

Jakkolwiek alarmy zawsze były fałszywe, funkcjonariusz (że tak go odąd zaczęły określać dla wygody) zdenerwował się. Był, jako się rzekło, zmęczony, zniechęcony i śpiący, ale był również dobrym, wrażliwym na niedolę ludzką człowiekiem, i myślał o tym, że mógłby z powrotem zapasać w sen, nie przyszła mu nawet do głowy, tym bardziej, że telefon w domu kobiety o sennym głosie nie odpowiadał.

Klnąc, zaczął się więc ubierać, tak samo zresztą, jak jego na dobre już rozbudzona i zdenerwowana żona. Wprawdzie z góry byli przekonani, że alarm i tym razem jest fałszywy, nurtowała ich jednakże obawa: a jeśli nie? Jeśli tym razem ta idiotka naprawdę otworzyła gaz albo założyła sobie pętlę na szyję?

Szli pieszo i było już w okolicach pierwszej, kiedy załomotali do znajomych drzwi.

— Kto tam? — zapytał męski głos ze środka. Odpowiedzieli:

— My.

Mężczyzna, który coś tam sobie wypił, ale niedużo, i nie miał widocznie nie przeciwko temu, aby wypić sobie trochę więcej w miłym towarzystwie, ucieszył się serdecznie:

— Zaczekajcie — powiedział. — Włóż spodnie i już otwieram.

I otworzył. Weszli, nieco zdeprymowani. W mieszkaniu panował ład i porządek, ale drzwi od kuchni, skąd wiało smętną muzyką Beethovena, były zamknięte.

Funkcjonariusz dopadł do nich i otworzył je z hukiem. Piątka Beethovena była teraz głośniejsza. W kuchni, na stole, płonęła tylko mała lampka rzucając nastrojowe refleksy na ścianę. Przy stole, w sukni, która również dobrze pasowała do ołtarza jak do trumny, siedziała nad butelką wódki trzydziestoparoletnia kobieta. Butelka była wysuszona, a to, co zostało, wylało się na serwetę. Gaz był zamknięty. Puls kobiety, jakkolwiek lekko przyspieszony, był równo i zdrowo. W kahuży alkoholu pływał list:

„Dalej już tak żyć nie mogę...”.

I koniec. Życie nie może, ale wypić, owszem... Kiedy stali tak nad nią, zgorszani i oburzeni, otworzyła ostrożnie jedno oko, żeby zbadać, czy zaczęli już płakać i załamywać ręce.

Rozbrali ją i cisnęli do łóżka, po czym, zostawiając ją pod opieką męża, wrócili do domu.

Funkcjonariusz był wściekły. Mówił do żony:

— Już nigdy nie dam się nabrać!

— Dasz, dasz! — pocieszała go żona. — Za pół roku znowu zadzwoni.

— Nie pójdę!

— Pójdiesz!

— Dobra — powiedział funkcjonariusz. — Ale, powiedzmy, że nas nie będzie wtedy w domu, i że ona naprawdę będzie potrzebowała pomocy, że, szlag z samobójstwem! dostanie nagle bólów stenokardialnych, albo ataku wzrostu robaczkowego, albo zobaczy, że w mieszkaniu wybuchł pożar. Powiedzmy, że tak będzie, i ona wtedy sięgnie po telefon i zadzwoni o pomoc do kogoś innego, a ten ktoś odłoży spokojnie słuchawkę, uśmiechnie się i po-

wie: — Ta idiotka znowu sobie wypija i robi głupie kawały.

Nie uwierzą. Wszyscy będą odwróceni, żeby zacytować raz jeszcze Marka Hłaskę. Wyczerpała już kredyt zaufania, gdyż na co dzień jest kobietą normalną, wesołą, żwawą i przywiązaną do swojej ziemskiej egzystencji. Są rzeczy, z których nie wolno żartować i słowa, których nie wypada rzucać na wiatr. Są samobójstwa, które przepełniają nas głębokim smutkiem i trwogą — samobójstwa tragiczne (któs się w tym momencie wykrzywił i pomyślał, że każde samobójstwo jest tragiczne. Otóż — nie!), umotywowane, wynikające z konkretnych przyczyn życiowych lub z realnej choroby psychicznej (niekoniecznie zresztą psychicznej), samobójstwa, nad którymi pochylamy w milczeniu głowę.

Albo są również samobójstwa idiotyczne, kretyńskie, dokonane z tak zwaną molojecką fantazją po to, żeby zadziwić świat, albo po to, żeby zemścić się na rodzinie, na przyjaciółach i zaspokoić miłość własną. Wiem, że majestat śmierci wymaga milczenia, i że do każdego zgonu należy odnieść się z najgłębszą powagą. Tym niemniej muszę powiedzieć, że są takie samobójstwa, które, gdyby się jeszcze dało, można by poprzedzić reprimendą:

— Chcesz się zabić, kochany? W porządku. Ale przedtem oddaj dług, ureguluj rachunki za gaz, światło, komorne i telefon. Nie masz pieniędzy? No to poczekał jeszcze trochę. Jeszcze trochę popracuj, wykup sobie miejsce na cmentarzu, zarób na pomnik trumnę i kwiaty. W ciężkich czasach żyjemy, kolego, więc pomóż nam trochę!



Dokończenie ze strony 1

stare książki, szafa grająca i wiele innych pamiątek.

Przychodził do redakcji wcześniej i tego wymagał od nas. Kolumnę miejską — ostatnią stronę w gazecie — trzeba było oddać o godzinie 14. Na biurku miał maszynę z włożoną czystą kartką, a w zasięgu lewej ręki telefon. Na pierwszy dźwięk dzwonka podnosił błyskawicznie słuchawkę i wcisnął czerwony guzik. Telefon mieliśmy bowiem wspólny. Specjalizowaliśmy się nawet w wyprzedzeniu szefa, bo każdy telefon mógł oznaczać ciekawą informację. Ale rzadko nam się to udawało. Miał zresztą swoje kontakty i swoich informatorów, którymi nigdy się nie chwalił. Nie pozostawialiśmy mu w tym dłużni. Był dziennikarzem „starego typu”, który wszystko potrafił. Był samoukiem, ale miał rozległą wiedzę. Zaczął pracować jako korektor przed wojną w „Kurierze Łódzkim”, pisywał wiersze i opowiadania, był reporterem, depešzowcem. Po wojnie był współtwórcą „Wolnej Łodzi”, współpracował z „Głosem Ludu” i „Rzeczpospolitą”. W „Głosie Robotniczym” był sekretarzem redakcji. Od 31 sierpnia 1955 roku zaczął pisać felieton „Ze środy na piątek”. Felieton ten miał swoich zapalonych zwolenników.

Pamiętam kiedyś na spotkaniu z czytelnikami wstał starszy człowiek i zapytał dlaczego nie ma tu „Hendryka”, bo on go bardzo lubi i wszyscy powinni tak kawałki pisywać jak „Ze środy na piątek”. Prosił, żeby pozdrowić „Hendryka”.

Kiedy odszedł na emeryturę nie zaprzestął pisania. Nadal pisywał „Ze środy na piątek”. Az do samej śmierci. Nagłej i niespodziewanej.

Henryk Pawlak napisał we wspomnianym katalogu „HENDRYK czyli życie i działalność Henryka Rudnickiego”:

„Gdyby wszystkie felietony teraz przestudować, a powinny one moim zdaniem ukazać się w książkowym wydaniu, to mielibyśmy niezwykle barwny opis czasu, w którym powstawały. Zapisal w nich bowiem i życie miasta, i życie kraju, snuł rozważania natury ogólniejszej, zawarł w nich niezliczoną liczbę wiadomości z różnych dziedzin nauki, historii, biografii ludzi mu współczesnych itd., itd.”

Przychylił się do zdania Henryka Pawlaka. Te felietony powinny ukazać się w wydaniu książkowym. Są one bowiem nie tylko dokumentem czasu, w którym powstawały, ale i dokumentem, który wiele mówi o ich autorze. Byłby to piękny wyraz uznania dla pamięci o „Hendryku”.

2.

Był dziennikarzem, który rozumiał czym jest kontakt gazety z czytelnikami. Kontakt polegający nie tylko na tym, że czytelnik czyta gazetę, ale oczekuje od niej jakiejś konkretnej pomocy. W dziennikarskim żargonie nazywa się to akcją. Na ogół wspomina się tylko niektóre akcje Henryka Rudnickiego. A więc apel z 1964 roku: „Każdy niewidomy posiada aparat radiowy”, budowę Tysiąclatki ufundowanej przez dzieci łódzkie, akcję „Dym”, czyli walkę o czyste powietrze, o likwidację lamp naftowych w mieście, czy o odbudowę pomnika Tadeusza Kościuszki na Placu Wolności.

„Ale było też wiele innych, które trudno spamiętać. Był w Klubie Dziennikarza koncert kapel podwórkowych i szaf grających. Była też próba odkrycia tajemnic lochów w „Parku Siedzia”.

Po roku 1956 Henryk Sroczyński — pracujący wówczas w dziale miejskim — prowadził na łamach „Głosu Robotniczego” bardzo popularną i zjednującą gazecie czytelników — akcję zmierzającą do odkrycia tajemnic bunkrów i hał podziemnych w Konewce koło Spały. Tajemnicy wprawdzie nie odkrył, a złośliwi powiadają, że jej tam po prostu nie było, ale gazeta zdobyła popularność.

Henryk Rudnicki chciał ten numer powtórzyć w wiele lat później, ale i czas już był nie ten i o popularność gazeta nie musiała walczyć. Akcja niezbyt się udała, „Hendryk” wszakże rozumiał, że gazeta musi stać czymś intrygującym, zaciekawiającym, zmuszającym czytelnika do tego, aby czekał na nią z zainteresowaniem i ciekawością, a nie tylko kupował ją z przy-

zwyczajenia. Stąd stale szukał czegoś ciekawego, wymyślał akcje, próbował szukać tajemnic, aby je wspólnie z czytelnikiem i przy jego pomocy rozwiązywać.

4.

Było to chyba w drugiej połowie roku 1962, a być może na początku wiosny 1963 — dokładnie już nie pamiętam i nie to jest istotne. W ZPB im. J. Marchlewskiego otwierano pierwszą w Łodzi stację maszyn liczących. W małym budynku montowano czeskie maszyny liczące, nie żadne komputery, a maszyny matematyczne mechaniczne. Henryk Rudnicki powiedział mi wtedy:

— Idź pan do „Marchlewskiego” i napisz pan o tym, co tam robią.

Poszedłem. Długo mi tłumaczono, o co tu chodzi, jak to działa i po co. Chciałem to przystępnie wyjaśnić czytelnikowi, wymyśliłem więc Adama Nowaka, któremu te mądre maszyny miały wyliczać płace. Wyszedł wcale niezły kawałek. Dumny więc z siebie zaniosłem go szefowi. Przeczytał i pyta:

— A jak się nazywa dyrektor „Marchlewskiego”?

— Nie wiem — przyznałem się bez bicia.

— Ano właśnie — powiada na to „Hendryk”.

— On się nazywa Nowak, tylko na imię ma Stefan. Wymyśl więc pan coś innego.

Wymyśliłem, ale też wziąłem sobie głęboko do serca, że należy zawsze dokładnie rozpytać się o wszystkie nazwiska. Niedługo poszedłem

Przepraszam, ale ja inaczej...

znów do „Marchlewskiego”, aby napisać o otwarciu stacji maszyn liczących. W pokoju na pierwszym piętrze, w budynku administracji zbierali się goście. Usiadłem koło postawnego mężczyzny i pytam go cicho, kto tu jest z ważnych gości. Wymienia mi kolejno nazwiska, a ja notuję, mówiąc przy niektórych: — znam — lub patrzę po sali, żeby sobie skojarzyć nazwisko z fizjonomią i zapamiętać na zawsze.

— I jest tu — powiada mój rozmówca — komendant milicji Henryk Stabczyk.

— Znam — powiadam machinalnie.

— A może mi pan pokazać, który to jest? Podnoszę głowę, patrzę po sali i mówię:

— Pan się myli, nie ma go tu, bo nie ma nikogo w mundurze.

Na to mój rozmówca podnosi się i wyciąga rękę do mnie mówiąc:

— Stabczyk jestem!

Z tej wpadki nie zwierzyłem się już Henrykowi Rudnickiemu. Opowiedziałby o niej niechybnie innym i pośmiałby się sobie ze mnie.

5.

Miał też swoje niechęci, nienawiści, fobie. Nie cierpiał obłudy, głupoty, braku szczerości, kombinatorstwa. Wszystkie te ujemne, a jemu obce cechy nazywał „syfem”. Kto by wziął opowieść o „syfie” dosłownie, popełniłby błąd. Co nie znaczy, że tego czy owego nie podejrzewał o lekkie odchylenia od normy, „zajoby”, co też nazywał „syfem”, a to mogło mylić.

Ktoregoś popołudnia byliśmy razem w naszym pokoju redakcyjnym. „Hendryk” i ja. Skończyłem pisać i zbierałem się do domu.

— A wiesz pan, że jest sposób na „syfa”.

Spojrzałem na „Hendryka” zaskoczony.

— Widzisz pan, na wszystkim jest sposób. Nadal patrzyłem ze zdziwieniem. Milczałem.

„Hendryk” uśmiechał się tajemniczo.

— Nie wierzy pan?

— Nie, dlaczego, ale jaki to sposób? — zapytałem wreszcie. A on jakby tylko na to czekał.

— Stuchaj no pan! To prosty sposób. Trzeba wszystkich zaszczyć tyfusem. Ulica po ulicy, dom po domu, rodzina po rodzinie. Jak ich tak wszystkich wytrzęsie gorączka, to i wszystkim „syf” przejdzie.

Zbierałem się. A Henryk Rudnicki uśmiechnął się i wyszedł. I do dziś nie wiem, zakpił ze mnie, czy poważnie myślał, że tylko tyfusem można z ludzi wszelkie zło wypędzić. Ej, chyba jednak zakpił...



Kronika kulturalna

TEATR NOWY wystąpił z premierą przedstawienia M. Bułhakowa „Mieszkanka Zojki” w przekładzie reżysera spektaklu, Pawła Dągla. Scenografię przygotowała E. Nowicka-Ogińska i Paweł Ogiński. Muzykę — J. Stoklosa. Grają m.in. Teresa Makarska, Danuta Rynkiewicz, Józef Zbiróg, Piotr Krukowski, Dymitr Holówko.

W MINIONY piątek i sobotę, w sali Teatru Wielkiego, Bogusław Kaczyński przedstawił monodram „Chłopiec z Sosnowca”, będący opowieścią o niezwykłych kolejach życia Jana Klepury i Marty Eggerth. W programie odtworzone zostały najpiękniejsze arie, pieśni i piosenki nagrane przez tę parę solo i w duecie.

19 BM. w Teatrze Wielkim odbył się wieczór jubileuszowy Marii Foltyn. Koncert-spotkanie prowadził dyr. Sławomir Pietras. Artystka śpiewała m.in. arie operowe W. A. Mozarta, P. Mascagniego oraz pieśni hiszpańskie. Śpiewacze towarzyszyli: Antoni Duda (fortepian) oraz dwie uczennice: Barbara Rusin (sopran) i Ryszarda Racewicz (mezzosopran). Czynną była także w foyer teatru wystawa poświęcona 35-leciu pracy Marii Foltyn.

W SALONIE Fotografiki ŁTF otwarta została niedawno kolejna wystawa pt. „Fotografia miesiaca”. Składają się na nią fotografie o jednakowym formacie, będące plonem comiesięcznego konkursu organizowanego przez Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne. Konkurs „Fotografia miesiaca” odbywa się w ŁTF co miesiąc, w każdy pierwszy wtorek. Mogą w nim brać udział wszyscy fotografujący — zarówno członkowie ŁTF, jak i nie zrzeszeni. Składanie prac, ich wystawa, plebiscyt publiczności, jawna ocena oraz rozdanie nagród odbywają się w ciągu jednego wieczoru. Za najlepsze fotografie przyznawane są nagrody w postaci materiałów fotograficznych.

20 BM. w Teatrze 713, odbyła się przedstawienie kabaretu satyrycznego „Krzysz”. Autorami przedstawienia są: Marcin Wolski i Andrzej Zaorski. W programie udział wzięli aktorzy Teatru im. S. Jaracza: Alicja Krawczyńska, Ewa Mirowska, Małgorzata Rogacka-Wiśniewska, Andrzej Herder, Stanisław Jaroszyński, Marek Kołaczowski i Stanisław Kwaśniak. Grał zespół muzyczny Janusza Szumlały.

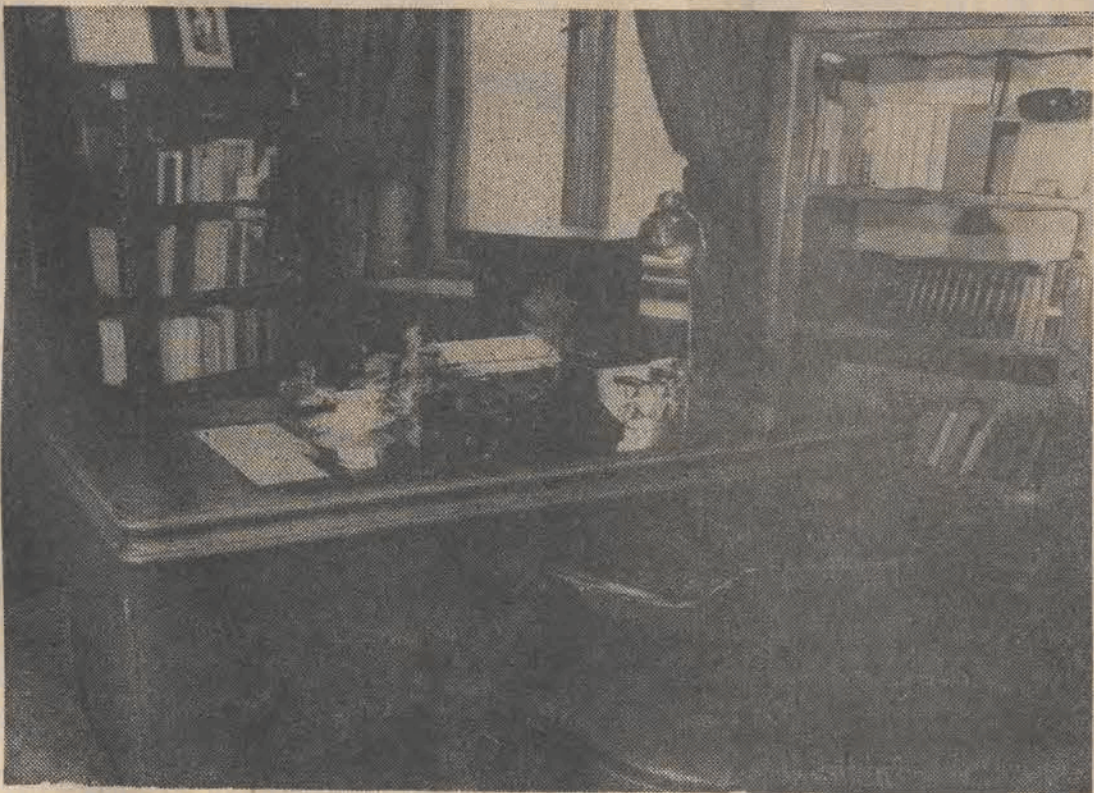
PO dwuletniej przerwie redakcja „Zwicia Literackiego” wznowiła przyznawanie dorocznych nagród. W tym roku przyznano je także po raz pierwszy za wybitną krytykę artystyczną o wyróżniających się walorach literackich. W bieżącym roku nagrody te otrzymali: Aleksander Jackiewicz za książkę „Moja filmoteka” oraz Leszek Buzajski za książkę „Nastenni” i „Pokolenie Beatlesów”; w dziedzinie publicystyki i reportażu: Jan Ptaszński za „Pierwszy z trzech zwrotów czyli rzecz o Władysławie Gomułce”; Wiesław Górnicki za tom szkiców publicystycznych z lat 1969—1980 „Rzecz miłotna”; Andrzej Mularczyk za zbiór szkiców reportaży „Czym ja żyłem żyłem” oraz Ewa Owsiany za tom reportażu „Linia pod napięciem”.

PRZYZNANO nagrody im. Jędrzeja Cierniaka za podejmowanie i realizowanie inicjatyw społeczno-kulturalnych w środowisku wielkim. Laureatami konkursu zostali: Tadeusz Górny, Stanisław Kolbusz, Maria Korsak, Stanisław Szymczyk i Władysław Wieteska.

W DNIACH od 18 do 25 listopada odbywać się będą I Targi Sztuki Krajów Socialistycznych. Organizacją targów zajmie się z upoważnienia Ministerstwa Kultury i Sztuki Przedsiębiorstwo Państwowe „Sztuka Polska”.

W DNIACH 21—25 lutego we Wrocławiu trwać będzie XIV Festiwal Polskiej Muzyki Współczesnej. Wystąpią tam znani polscy artyści, jak: K. A. Kulka, T. Zmudziński, J. Rane, J. Gadulanka oraz gość z ZSRR, znany skrzypek G. Zislin.

NA okres remontu swej stałej siedziby przy ul. Konenika „Teatr Pionki” korzysta z gościnu Domu Kultury ZPB im. J. Marchlewskiego przy ul. Odrodowej 18, dając w sali widowiskowej DK otwarte przedstawienia dla publiczności.



Miejsce pracy „Hendryka” odtworzone na wystawie w Muzeum Historii Miasta Łodzi. Foto: Grzegorz Galanciak

LUCIUSZ WŁODKOWSKI

Z cyklu „Mapa pogody”

1. Mari mossi to znaczy morza poruszone
Nie patrz na tamtą na północną stronę

Przyjdiesz jeszcze w czas ciemny na żelazny balkon
i wiażysz mnie za rękę spojrzysz na płomienie
którymi dymy w nocy Etna biała
przyjdiesz biała jak Etna i zimna jak śniegi
popatrzyć

Razem się spojrzysz na noc jak na wieczność
na morze pod stopami jak na wir istnienia
i westchnie się zapachem grobu i mimoz
wieczności i krążenia gwiazd i moich wierszy

Przyjdiesz w nocy na balkon i spojrzysz
razem słuchać będziemy gwiazd i pór szelestu
którymi sześciokrzydły serafin szeleści
pod kopułą gwiazdami wybitych bezdeni
Słuchaj mnie to ja mówię
i on mówi we mnie

4. Pośrodku tryska wysoka fontanna
nie wierz pozornej pogodzie regionu

podskórnie płynie krew i stygnie w żyłach
ale ma owoców tu nie ma słów pięknych

tesknoty także nie ma tu rozpacz króluje
jakże tęsknota może się opierać?

wianuszek kwiatów oparzone wodą
kamienie nad grobnie w stare monumenty

woda zimna ciachu twojemu będzie zimno
podziemie nie zachowa róż ani narcyzów

Rozpacz pogodę wróży dla regionu
słyszysz jej ciche słowa w tych soplach
nagrobnych

6. O fru! O banany! — o słodka jezynie!
wygnane z wód jeziora które szaro błyszczą

ta fontanna to topór który ścina głowy
i która krew czerwona ścina w srebrne lody

8. Nie kufaj się kiedy koncha & la Botticelli
Wynurzy się z jaskrawoniebieskiej kąpieli
Z kardynałem w mantii malinowej czy
z Heleną w białej

Barwa pogód nie niesie raczej tylko wzmag
Szale wicherów i żagli wzdętych nierozwaga
Uniesie cię do miejsca gdzie wiatr łodem
smaga

Maszy jak gniazda świątyni dźwigają
szlondary
I szmaty vera ikon pływających jak żary
Drzew dźwigających boskich ócz ciężary

Ach nie ufaj pogodom. Zawsze najpewniejsze
Ze wszystkich szczęść i wielkich i małych —
najmniejsze

7. „Stronami deszcz, stronami pogoda...
(ze starego kalendarza)

Stronami deszcze stronami pogoda
stronami czarno stronami zielono
stronami stępy a stronami woda
może różowo może purpurowo.

Stronami choro a stronami zdrowo
stronami śmiešno do łez czasem śmiešno
czasami pod nogami a czasem nad głową
czasem na Marszałkowskiej a czasem na
Lesznie.

Czasami w twoim ręku czasem w moim słowie
czasami na Stawisku czasem na Sycylii
czasem na ciemnej stronie lub w jasnej połowie
czasem wszystkich oszuka najczęściej nikogo
nie zmyli

8. Pogoda lasu niechaj będzie z tobą
promień przedarty przez dwa liście dębu, pta-
szek Zygryda, co opowiadał o śpiącej dziew-
czynce, szmer galezi, szmer lasu Liszta i Wag-
nera, lasu sztylowieckiego, gdzie zabito Adzia,
dębu, co wisi u nas nad fortepianem, pogoda
lasu
pogoda pogoda

Pogoda wody niechaj będzie z tobą
wody stawu i wody jeziora, które tak lubisz,
strumyka spod Kozłostej i strumyka spod Czar-
nego Stawu, gładka powierzchnia zatoki Paler-
mo i słaby przybój pod Sopotami, pogoda wody
pogoda pogoda

Pogoda burzy niechaj będzie z tobą
pogoda sinej chmury i zielonych żarnic, żagli
zerwanych, pogoda Mirandy, pogoda nawalnicy,
jeziora Genezareth niech cię ucieszy
pogoda pogoda

Pogoda nieba niechaj będzie z tobą
przepaski Oriona, blasku Plejad, śpiewu la-
będzia leżącego w górze, obszaru galaktyki, ob-
jętości mgławicy, antymaterii, pogoda nicości
pogoda pogoda

Pogoda czasu niechaj będzie z tobą
twojego czasu i czasu gwiazdnych zegarów, po-
goda kiepsdyry, która odwraca sędzia Joanny,
przeprzeżenie od nas do nas, zaćmienie do zać-
mienia, czasu skurczonego w sprężynie i czasu
zebranego w gasnącym słońcu
pogoda pogoda

Pogoda domu niechaj będzie z tobą
jasnego pokoju, nakrytego stołu, białego sera,
mleka, kawy, piwni, drobnych przedmiotów,
których pochodzenie my tylko znamy, fotogra-
fię, o których my tylko coś wiemy, Irenka,
Tadzio, pani Wodzińska, twarze, które z na-
szego biurka zjeżdża do podreżników i już na
zawsze, pogoda roślin pokojowych, choinek
aloesów, pogoda naszych pieszków,
pogoda pogoda
Pogoda ziemi niechaj będzie z tobą...

ODGŁOSY 8

Spśród wielkich nazwisk an-
gielskiej dramaturgii, tak lic-
nych w epoce elzbietańskiej i
latach bezpośredniego następują-
cych, ani Middleton, ani tym
bardziej Rowley nie są, nawet
ze słyszenia, znani polskiemu
widzowi. Wiedzą u nas o ich i-
stnieniu historycy literatury czy
teatrolodzy. Może jednak po-
wyższe zdania należałoby te-
raz wyrazić w czasie przeszłym,
najnowsza bowiem premiera w
Teatrze Powszechnym, czyli
wyłom w dotychczasowej sytua-
cji i zapoznanie nas z dziełem
autorskiej spółki — Thomasa
Middletona i Williama Rowley'a
„Zwodnica”.

To zresztą głównie Middleton
nawiązywał owocną autorską
współpracę z innymi dramatur-
gami, jak na przykład Thomasem
Dekkerem („Cnotliwa lada-
cznica”), a ten rodzaj twórczej
kroplej był w poszepekpiro-
wskiej Anglii w modzie. Zró-
dziem literackim „Zwodnicy”
jest dydaktyczna opowieść Johna
Reynoldsa pt. „Triumf zemsty
bożej nad krzyżaczem i oby-
dnym grzechem umyślnym, z
premedytacją dokonanego mor-
derstwa”.

Pragnąłbym przy tym poin-

że piękna Beatrice ma format
psychologiczny i moralny lady
Mackbeth. Nasza bowiem boha-
terka, mając na względzie wy-
łącznie zaspokojenie własnych
pragnień, posługuje się chłó-
wie mordercą, któremu ponadto
nie zamierza dotrzymać słowa.
Tamta natomiast pcha męża do
zbrodniczego czynu dla niego
samego przede wszystkim i ła-
czy swój los z jego losem przez
wspólną odpowiedzialność za
czyn. Brak gotowości Beatrice
do poniesienia osobistego ryzy-
ka i chęć całkowitego zatajenia
prawdy przed ukochanym, a je-
szcze posłuszenie się dworką w
noc poślubną, przemawia za
tym, iż osobowość bohaterki bli-
ska jest temu, co współcześni
nam Anglicy określają terminem
moral insanity — wrodzony
brak poczucia moralnego. Jest
to zarazem różnica formatu au-
torskiego pomiędzy Szekspirem
a Middletonem. Niemniej jednak
Beatrice stanowi postać inter-
sującą, dostarczającą aktorze
dużych możliwości w rozwijaniu
tego spłotu namiętnych uczuć
z odruchami bezwzględnej, po-
zbawionej skrupułów okrucień-
stwa, co też w znacznej mierze
udało się EWIE SONNENBURG.

propozycja, omalże po strind-
bergowsku nowoczesna, jest u-
motywowana usposobieniem Be-
atrice, jej metamorfoza uczuć o-
wa w stosunku do zleniawidzo-
nego początkowo De Floresa.

Jeśli wymienię na początku
akurat te postaci i te role, a
nie inne, to dlatego, że jak mi
się wydaje, przez ich scenicz-
ną realizację uświadczniała się
najlepiej koncepcja reżysera,
który jak gdyby próbował zna-
leźć spójną konwencję dla po-
godzenia dość odmiennych ży-
wiołów — z jednej strony tra-
gicznego, nasyconego namiętno-
ściami, z drugiej farsowo-bla-
zeńskiego. Oba one zresztą spła-
tają się w sytuacjach które dziś
uznaliśmy za życiowo niepra-
wopodobne. Otóż wydaje mi
się, że owym spójnem miała
być stylizacja gry aktorskiej na
sposób pantomimiczny, oparty
na wyrazistym przerysowaniu
póz i gestów, postaw i ruchów.
Co swoje zwycięstwo znalazło
w finałowym, żalobnym po-
chodzie tych, co przeżyli trage-
die. Na przykładzie tej sceny
było akurat widać, że zamysł
ten nie ze wszystkim spraw-
dził się w wykonaniu i kto
wie, czy nie przydałoby się tu

W cieniu Szekspira

formować, iż angielski tytuł
sztuki „The Changeling” był
już tłumaczony jako „Przebie-
raniec”, bo, jak wiadomo, „chan-
ge” znaczy m.in. „przebierać
się”, nie zaś „zwozić”. W sztu-
cie, co prawda, dworka Dian-
ta przebiera się za panią wyre-
czając ją w lożnicy w noc po-
ślubną, dzięki czemu właśnie
zwozi pana młodego. Ale zwo-
dnica jest jednak Beatrice
więc może oba tytuły są je-
dnako uzasadnione...

Wypada tu przypomnieć, że
nie tylko w owym czasie, i nie
tylko w Anglii dramaturgowie
bezczeremonialnie obchodzili się
z cudzymi pomysłami, przeno-
sząc żywym do swoich utwo-
rów cudze wątki fabularne, nie
istniało więc w dzisiejszym ro-
zumieniu pojęcie plagiatu. Nas
dzisiaj powinno chyba intereso-
wać co oryginalnego wnosi do
literatury Middleton, główny
sprawca tej sztuki.

O jego utworach pisze się, że
łączyły w sobie wątki tragi-
czne z komediowymi, a nade
wszystko charakteryzowały się
ostrością satyrycznego spojrze-
nia zarówno na szlachtę, jak i
na mieszczaństwo — na ich ka-
rierowiczostwo, pozostaw-
czość, chciwość, tak podobno zamię-
nane dla życia ówczesnej, poel-
zbietańskiej Anglii, której do-
tychczasowym swobodnym oby-
czajom poczynali zagrażać pu-
rytańskie rady Jakuba I (co
skończy się w połowie XVII
stulecia całkowitym zakazem u-
prawiania sztuki teatralnej, ja-
ko „gorszącej”).

Ale przecież, powiedziałby
ktos miejscem akcji „Zwodnicy”
jest Hiszpania, nie zaś Anglia
i wśród bohaterów Anglika nie
znajdzie się na lekarstwo. Co
więc oznacza ta hiszpańska sce-
neria? Biorąc pod uwagę ów-
czesną wrogość społeczeństwa
angielskiego do Hiszpanów, po-
tęgowaną przez prohiszpańską
politykę Jakuba, wolno chyba
uznać, że nie dla pozyskania
przychylności widza dla swoich
bohaterów ubrał ich autor w
hiszpański kostium, lecz uczynił
tak dlatego, by ich utępne ce-
chy wydawały się widzowi jeszcze
bardziej odrażające (niezależnie
od tego, jak się rzeczy mają
w powieściowym pierwowzorze).

Sztuka osadza najsurowiej (bo
nie wzbudza współczucia dla
winowajczyń) zbrodnię popeł-
nioną czy raczej inspirowaną
przez główną bohaterkę dla u-
sunienia przeszkód na drodze
do połączenia się z ukochanym.
Nie podzielam zresztą poglądu,

Być może jednak najciekaw-
szą postacią sceniczną i dosko-
nałą przez aktora rozegraną jest
diaboliczny De Flores mający
świadomość nikczemności po-
pełnianych czynów, jak i zwią-
zanego z tym ryzyka, gotów je-
dnak do złożenia krwawej ofi-
ary u stóp ukochanej. W tej
roli BRONISŁAW WRÓCŁAW-
SKI z dużą konsekwencją ry-
sował główne cechy osobowości
bohatera, niezwykle umiejętnie
przechodził od słów sciszonej
namiętności i cynicznych ra-
chub do pełnych żaru miłosnych
tyrad, jak zwykle przy tym, im-
ponującą sprawny w działa-
niach fizycznych, dzięki czemu
możliwa była tak karkołomna
(o symbolicznej wymowie) ero-
tyczna wspinaczka w objęciu z
partnerką po stronach schor-
dach. Ale — jako iż co za du-
żo, to niedźwiedź — pewne znie-
cierpliwienie, a wreszcie i we-
szołość na widowni musiało
wzbudzić turanie się kochan-
ków z powrotem na dół i skóra
cierpa na myśl, że poprobują
jeszcze raz pod górę.

Bardzo też interesującą, choć
chyba nie do końca przeprowad-
zoną, propozycją roli Antonia
udającego matola dał MACIEJ
KORWIN, trochę w stylu sen-
timentalnego Pierrota zakocha-
nego w powabnej i mocno chu-
tliwej Izabelli, której rolę z
temperamentem i muzycznym
śpiwem wykonała RENATA
FRIEMAN-KRYŃSKA. Sporo
pola do popisu dostarczyły
aktorom typowo komiczne, utrzy-
mane w stylu blazenady role
zramolatego Alibiusa, męża I-
zabelli (TADEUSZ SABARA) i
jego pomocnika Lolia (AN-
DRZEJ FOGIEL). Podobnie jak
pociekła im postać Jasperina
(MICHAŁ KRET) wyszły obaj z
tych zadań obronną ręką, choć
jest to rodzaj humoru, który
dziś mało kogo bawi, zwłaszcza
jeśli teksty dowcipów są na o-
gół płaskie i mało finezyjne w
porównaniu z szekspirowskimi,
choć przecież i tamte miały za-
pewne bawić także plebejską
publiczność.

Może najciekawszą sprawą
jest jednak owa mistyfikacja w
noc poślubną, która w sposób
smiały i literacko chyba odkry-
wczy, podkreśla rolę wyobraźni.
Jako głównego czynnika erotycz-
nych przeżyć. Co prawda Stary
Testament, czytany w prote-
stanciej już wówczas Anglii,
zawiera jakby pierwowzór tej
sceny w postaci nocy poślubnej
spędzonej przez biblijnego Ja-
kuba nie z ukochaną, piękną
Rachelą, lecz z podstawioną na
jej miejsce szpetną siostrą Lea,
ku najwyższemu zadowoleniu
nieświadomego obliwieńca, Inna

konsultacja choreograficzno-
pantomimiczna dla uzyskania
większej spójni stylistycznej w
produkcji wielce zabawnej
grupy pomyślników, z której na-
leżałoby wszystkich tu wymie-
nić.

Wymienię jednak role, które
sprawiły chwilami wrażenie,
że pochodzą z nieco innego,
bardziej realistycznie traktowa-
nego przedstawienia, a więc
postaci normalne w każdym
świecie — ani zbrodnicze, ani po-
myślne. Godnego niczym pol-
ski szlachcic Vermandera, ojca
Beatrice zagrał JERZY KOR-
SZTYN, braci de Piracque —
starszego Tomasza i tragiczne-
go Alonza grali: ANDRZEJ ŁA-
GWA i LUKASZ PIJEWSKI.
Zakochanym w Beatrice z
wzajemnością Alsemerem był —
stałe na nucie romantycznego
umieszczenia — TADEUSZ PAR-
DOWICZ, bardziej bohaterki
w śpiewie, niż w aktorskich
działaniach (doskonale wypadł
duet zakochanych na początku
I aktu). Powiernicę Izabelli,
Dianfante, której przypadły w
zastępstwie pani słodkie mal-
żeńskie służby, odegrała ze zro-
zumiałym zapalem BARBARA
SZCZESNIAK.

Słowem, czy „Zwodnica”, czy
„Przebiekańcem” ochrzczmy sztu-
kę Thomasa Middletona i spółki,
stwierdzić należy, iż rzecz
warta była teatralnej realizacji,
o czym przekonało nas niejako
namacalnie przedstawienie Te-
atru Powszechnego, na co zło-
żyła się zarówno wyobraźnia
reżysera, jak i oszczędna, suro-
wa w wyrazie scenografia oraz
zmysłowa oryginalnie brzmią-
ca muzyka.

Wróć więc przedstawieniu
duże wzięcie.

JERZY KWIECIŃSKI

Thomas Middleton i William
Rowley „Zwodnica” orzekł
adaptacja Krystyna Berwińska.
Reżyseria — Daniel Bargiełow-
ski, scenografia — Barbara
Jankowska i Grzegorz Morczyń-
ski, muzyka — Bogdan Pawło-
wski. Prapremiera polska w Te-
atrze Powszechnym w Łodzi w
dniu 4.II.1984 r.

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA
LITERACKO OBYCZAJOWA

SYNTEZA GENIALNOŚCI

Jak zostać genialnym poetą, choćby na polski,
partykularny użytek, zastanawiali się raczej po-
mniejsi twórcy, nie pozabawieni zresztą krytycznej
spostregawczości czytelnicy. Takim czytelnikiem
współczesnej mu literatury był Stanisław Jaszowski
(1803—1842), który w wierszu „Jeniusz” (Zabawki
rymowocze. Tomik I. Lwów 1826) trafnie po-
patrzył charakterystyczne cechy twórczości dziesię-
ciu poetów polskiego Oświecenia:
Komu taskawie szczerą naturą użył
Z wdziękami Krasickiego moc Naruszewicza,
Kto, jak Trembecki, język pod swe stopy zgina,
Ma dowcip Węgieńskiego, przyjemność Kłaczyni,
Kogo z Karpieskim powab natury przenika,
Z poprawą Felińskiego ma śmiałość Węjka,
Kto, jak Kropiński myśli i maluje kłiwie,
Kto skrzydłami Koźmiana wlatuje szczęśliwie,
Kto uczył się trafności u Niemcewicza wozie,
Ten jeniuszem wieków nazywać się może.

Wiersz powstał między rokiem 1816 a 1820 i Ja-
szowski nie wiedział jeszcze, że właśnie w odleg-
łym Wilnie inny młody człowiek przelewał na pa-
pier szkolnych seksterów słynne niebawem „Ba-
lady i romanse”, noszące wszelkie znamiona praw-
dziwego geniuszu.

NAGROBEK

Tuż leży Jan parobek
Ja, pan jego, ten nagrobek
Wystawiłem ku pamięci,
Niech go strzegą wszyscy święci!
Ktoś, kto przeczytał powyższy napis, przekreślił
go, umieszczając poniżej wiersz następującej treści:
Gdyś go darzył tym nagrobkiem,
On już nie był twym parobkiem,
Wiele nie byłoś jego panem,
Caliżże go w ...

Ten, skądinąd interesujący wiersz wynotowałem
z krakowskiego „Bociana” (1912 nr 3), nie wiedząc,
że ukazał się w tym samym piśmie 12 lat wcześ-
niej (1900 nr 20).

KOTEK O DUSZY
CHRZEŚCIAŃSKIEJ

Zygmunt Szczyński Feliński (1822—1895), bratanek
głośnego poety pseudoklasyka Alojzego, na krótko
przed wybuchem Powstania Styczniowego został po-
wołany na metropolitalną stolicę arcybiskupią w
Warszawie. Zasadniczo przeciwny nastrojom rewo-
lucyjnym związał się z obozem „białych”, usiłując
doprowadzić do ugody z carem. Zawieszony w
czynnościach arcybiskupich, skazany został na wy-
gnanie do Jarosławia nad Wołgą, gdzie spędził 30
lat życia. Po powrocie z deportacji osiadł w Galicji,
poświęcając się kontynuacji rozpoczętych na za-
słaniu pamiętników. Na odpowiedzialność pamięt-
nikarza przytaczam z nich fragment dotyczący sto-
sunków panujących w prawosławnej Rosji:

„Pewna bogata i bezdzietna wdowa miała nie-
słychana słabość do kotów, których liczna zgrom-
adziła w swoim domu, lecz wyjątkowo sympatją
darzyła ulubionego swego Filusia, który ani na
krok jej nie odstępował. Otóż ów faworyt zachor-
ował i pomimo najczulszej pieczy samej pani i ca-
łego fraucymery, w bolesnych dachy wyzionął.
Nieutulona w swym żalu wdowa sądziła, że po-
chodzą religijne ulgę jej przyniosła, wezwwała ojca So-
fronia, swego proboszcza i zaproponowała mu, by
nieodwołalnie jej Filusia z całą cerkiewną pa-
radą, na cmentarzu pochował. Pop się zraził opie-
rał, tym się składając, że za takie zgorszenie wła-
dza duchowna pobawi go nie tylko parafii, ale i
charakteru kapłańskiego. Gdy jednak starszuszka
osiadła się z gotowością zapłacenia za pogrzeb
dziesięć tysięcy rubli, paroch nie oparł się po-
kusie i zabrał się niezwłocznie do żalobnego obrę-
du. Trumienka już była gotowa włożono więc do
niej Filusia i umieszczono zwłoki na katafalku,
mnóstwem świec otoczonym, śpiewana panichida od-
prawiono, naprzód w domu, a następnie w cerkwi,
gdzie nieboszczyka na noc zostawiono. Nazajutrz
przy udziale bractwa kościelnego i licznej ludz-
ki, z krzyżem i chorągwiąmi odniesiono procesjonal-
nie do murowanego grobu, gdzie złożono niebosz-
czyka na wieczny odpoczynek. Wieść o tym wy-
padku doszła do archidiecei, który wezwał nie-
zwłocznie winowajcę przed swój trybunał i groźnie
go zapytał, czy to prawda, że kotu chrześcijański
pogrzeb sprawił.

— Prawda — odrzekł zagadnięty — ale czy po-
wiedziano Waszej Przewielebności, że kot ten miał
dużę chrześcijańską?

— Jak to chrześcijańską? — z niedowierzaniem
zapytał archierej.

— Przed śmiercią kot ten uczynił testament, w
którym i Waszej Przewielebności legował pięć ty-
sięcy rubli.

Mówiąc to, przebiegły paroch dobył sporą paczkę
dwiestorublowek i wręczył ją swemu zwierzchni-
kowi.

— A testament pobożne legaty... to co innego...
A mnie powiedziano, że to był kot zwracający.
Wróć do parafii, a gdyby cię blachocznym tur-
bował, to go do mnie przysyłaj!”

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Zdarzenia i zwierzenia

Lucjan Rydel

Czy gdyby Lucjan Rydel nie zaprosił na swoje wesele Stanisława Wyspiańskiego, ostatecznie w literaturze? Na pewno tak, ale chyba zainteresowanie tą postacią ograniczyłoby się do grona specjalistów, i w ogóle — Rydel odaty z legendy „Wesela” zajęłby miejsce wśród drugorzędnych pisarzy swojej epoki.

Takie opinie formułują się

współcześnie: „drugorzędny dramaturg, zapomniany poeta, niedoceniony krytyk i poprawny popularyzator kulturalnej wiedzy”. Z tymi poglądami polemizuje Lesław Tatarowski, który dla Biblioteki Narodowej „Ossolineum” opracował najnowszy „Wybór dramatów” Lucjana Rydla.

Tatarowski ma swoje racje, które wyklada w obszernym, e-

rudycyjnym wstępie. Nie godzi się z opinią, że „Wesela” i bojowska „Plotka o Weselu” zabili Rydla-pisarza, zaśmieszyły go... I zapewne teoretycznie słuszność jest po stronie Tatarowskiego. A mimo to sądzę, że bez owego „Wesela”, bez „Plotki o „Weselu” hasło „Lucjan Rydel” brzmiałoby o wiele bardziej pusto, gdyby tej legendy nie było, choć go trochę ośmieszała.

I dlatego uważam, że plotka o „Weselu” pracowała bardziej na rzecz Rydla, niż na jego niekorzyść. Oczywiście ta plotka kształtowała literacką opinię w określonym kierunku, ale przynajmniej ożywiła samą postać pisarza, bez której (plotki, oczywiście) pozostałby Rydel

dla późnego wnuka jako stetryczny dziadziś-modernista, o którym nikt nie wie.

Dla późnego wnuka piekielny Stach Przybyszewski mógłby nie napisać swoich — umarłych — pełnia — dramatów, ale jego legenda istnieje i nie zmienia jej najdłuższe nawet oceny i konstatacje historyków literatury.

To właśnie dzięki plotce i legendzie Lucjan Rydel funkcjonował przez prawie pół wieku w literaturze. Przecież w okresie powojennym nie ukazał się drukiem żaden jego dramat. Wydanie Tatarowskiego jest pierwszym wyborem tekstów dramatycznych Rydla od czasu przygotowanych przez autora i wydanych w roku 1902 „Utwó-

rów dramatycznych”. Jest to zatem pierwszy krytyczny, zwerifikowany naukowo i historycznie, wybór tekstów Rydla. Za to Tatarowskiemu chwała. Jeśli natomiast chodzi o twórczość poetycką autora „Zaczarowanego koła”, to Tatarowski wypowiada się raczej skromnie. Przypomina postulat Stefana Skwarczyńskiego, aby „spójrzeć odważnie na sztukę literacką modernizmu...”, i myślę, że jest to postulat kierowany do redaktorów PIW-owskiej serii poematów zapomnianych, w której znalazły się wybory wierszy Siońskiego, Niemojewskiego czy Obertyńskiego.

Jak sądzę, Lesław Tatarowski jest historykiem i edytorem na tyle kompetentnym, aby taki

wyбір wierszy zapomnianych) Rydla opracować. Na koniec refleksja zwykłego czytelnika: bardzo dobrze się stało, że po kilkudziesięciu latach wydano wreszcie wybór utworów dramatycznych Lucjana Rydla. Dobrze się stało również, że wydano je w wysokim, jak na dzisiejsze czasy, nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy. Nie zmienia to jednak faktu, że twórczość Lucjana Rydla przypomina dziś piękna secesyjną patkę, która kiedyś służyła do podawania owoców, a obecnie wiesz się ją na ścianie, jak ładny, ale nieco bezużyteczny biłbelot.

JERZY WILMAŃSKI

Fascynacje starszych braci

Niedawno, podczas mojej codziennej, acz nieskutecznej pogoni za dobrymi książkami w księgarniach zwróciłem uwagę na „W skali wyobraźni” Zbigniewa Bieńkowskiego. Jest to pokazany tom szkiców krytycznych o literaturze światowej, wydany w serii „marmurkowej” Czytelnika. Bieńkowski, poeta, tłumacz i krytyk starszego pokolenia zebrał w nim swoje eseje, publikowane na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat w „Twórczości”. Jednak nie o książce Bieńkowskiego chciałbym mówić w tym felietonie. Raczej na marginesie książki, o jej zawartości. Już w księgarni mnie tknęło, kiedy zacząłem czytać spis treści. Czegoż tam nie ma: Saint-Exupéry, Kafka, „Ulisses”, powieść amerykańska, Hemingway, Faulkner, egzystencjalizm, Sartre, Camus, „nowa powieść” francuska, wreszcie „Pod wulkanem”. Toż to istny katalog mód literackich sprzed ćwierćwiecza. I rzeczywiście. Taka jest ta książka. Szkice Bieńkowskiego mają w większości wartość historyczną. Inaczej dziś się pisze o Sartrze czy Hemingwayu. Niemniej „W skali wyobraźni” ma walor literackiego gabinetu figur woskowych czy albumu rodzinnego. A może cmentarnej alei zasłużonych? „Oto leżą nasi drodzy zmarli, pochowani przed nieśmiertelnością”. Nagrobki są oryginalne, a czasów kiedyśmy jeszcze o nich pamiętali. Ale do albumu rodzinnego, do albumu minionych mód literackich przyjemnie czasami zajrzeć. Warto zaznajomić się z fascynacjami starszych braci. Warto przypomnieć, jak to przed ćwierć wiekiem młody człowiek w czarnym swetrze referował dziewczynie uczesanej w koński ogon, w kawiarni przy kawie „Drogi wolności” Sartre’a czy „Ulisses” Joyce’a. Warto z tezką w oku wyobrazić sobie te czasy. Związane dzisiaj, gdy czarna kawa rzadziej bywa katalizatorem procesów myślowych, częściej sądowych.

Przełom październikowy był łaskawszy dla kultury niż przełom

sierpniowy. Polska zachłystnęła się kulturą Zachodu. Choćby biednie na stole, znalazły się pieniądze na zakup książek, filmów, sztuk teatralnych. Ale z drugiej strony było z czego wybierać. Polska była odcięta od wpływów kulturalnych Zachodu przez ponad 15 lat. Przez ten czas wiele zdążyło się uzbierać. Z obóznieniem i w pośpiechu trzeba było przeżywać w sztuce całe epoki. Tymczasem w latach siedemdziesiątych, gorzej czy lepiej, jakiś tam kontakt z kulturą Zachodu utrzymywaliśmy. Był to okres łaskawy zwłaszcza dla zachodnich filmów. Teraz te filmy możemy polczyć na palcach. Dlatego tak trudno z dzisiejszej perspektywy wyobrazić sobie ożywienie kulturalne w 1956 roku. Mimo wszystko spróbujmy.

Po pierwsze „Ulisses”. To skandalizujące w owym czasie dzieło awangardy mocno dzisiaj omezało. Raz okrzykane arcydziełem nie mogło ująć swojemu losowi. Wygnano je do kompanii „Boskiej komedii” i „Wojny i pokoju” na półkę tzw. nudnych arcydzieł. Owszem, „Ulisses” wypada mieć, ale nie ma potrzeby go czytać. Stał się ozdoba półki i jednocześnie lokata kapitału — w antykwaracie kosztuje 1200 zł.

Powieść amerykańska ostała się w naszej świadomości. Ale ostała się tylko w osobach Faulknera, Caldwell, Steinbecka. Natomiast przepadł ówczesni najwięksi: Hemingway, Dos Passos. W przypadku Dos Passosa nie ma czego żałować. Okazał się po prostu staroświecki. Nie wytrzymał próby czasu. Odstawiono go na półkę zapomnianych eksperymentów formalnych, razem z futurystami. Co innego z Hemingwayem. Tego autentycznie szkoda. Co prawda wyrok na niego został wydany nie przez czytającą publiczność, a przez giełdę literacką. Paradoksalne: Hemingway został ukarany nie za swoje książki, ale za sposób życia. Nawet nie tyle za sposób życia, ile za legendę, którą wokół siebie rozciągał. Legendę młodego mężczyzny, boksera, myśliwego i żołnierza. Paradoksalne — gdyż właśnie ta legenda pomogła mu zyskać tak ogromną popularność.

Albo skończył się czas typów hemingwayowskich. Przemięła moda, w myśl której Andrzej Brycht trenował boksy i chwalił się waleniem po mordzie pijaków. Literatura obrodziła pokoleniem drugowiosnym, szarobionym i krótkowzrocznym. Ci ogłosili Heming-

waya brutalnym, infantylnym i militarystą. Militarystą? Cóż w takim razie powiedzieć o wychwalanym Steinbecku, który z pokładu helikoptera strzelał z karabinu do Wietnamczyków? Prawdziwego Hemingwaya można odnaleźć tylko czytając jego powieści. Jak długo jeszcze ten neurotyk i w gruncie rzeczy dekadent będzie pisał za próbę dowartościowania swojej osobowości?

Czy egzystencjalizm był w Polsce modą literacką? Na ten temat można by dyskutować. Niewątpliwie miał i wciąż jeszcze ma poważny wpływ na rozwój literatury, ale poprzez postać Witolda Gombrowicza. Jest to wciąż wpływ potężny i niezbędny dla jej prawidłowego rozwoju. Natomiast egzystencjalizm, który przyszedł do nas z Francji? Pomimo pewnej masowości odbioru, a może właśnie z jej powodu, twórczość Sartre’a i Camusa została przyjęta dosyć powierzchownie. Z perspektywy czasu widać, że nie było to aż tak ważne, jak się wydawało dwadzieścia lat temu.

W chwili gdy Bieńkowski pisał swoje szkice „nowa powieść” francuska była właśnie największą literacką nowinką. I tym też pozostała w historii literatury: przebrzmiała nowością. Droga, po której kroczyli Robbe-Grillet, Butor, Sarraute okazała się ślepa uliczka.

Z tych rozważań wynika, że polska kultura jest odporna na wszelkie wpływy z zewnątrz. Ujmijmy to w następujący sposób: mogą one wywołać fale na powierzchni, ale nie zmieniają biegu koryta. Główny nurt płynie głęboko pod powierzchnią i jest niewrażliwy na zmiany. Obecne wpływy ograniczają się do roli mody, jednego sezonu. Mody te nie pozostawiają śladu. Czy to dobrze, czy źle? Dlaczego się tak dzieje? Czy jest to spowodowane przeżyciami i siłą tej kultury? Czy tym, że ma do załatwienia własne sprawy, ważniejsze od malowania innych? Czy też może przyczyną jest prowincjonalizm, zaściankowłość i niezdolność sprostanania światowym trendom? Odpowiedzi na te pytania zostawiam głębszym niż mój umysłom.

JANUSZ WOJDECKI

Zbigniew Bieńkowski, „W skali wyobraźni”, Czytelnik 88.

Kochanica Francuza?

Karel Reisz — na podstawie książki Johna Fowlesa — kręci film, a na planie, po obu stronach kamery, rozgrywa się podwójny romans — tak najładniej można przedstawić koncepcję obrazu „Kochanica Francuza”. Aktoży, odzwierciedlający główne role pary kochanków w kręconym właśnie filmie „z epoki”, nawiązują związek miłosny...

Chwył użyty przez scenarzystę — równoległe prowadzenie dwu wątków: „współczesnego” i „scenariuszowego” — jest nowy. Jego artystyczny rodowód wiodłby się zapewne z literatury, ze „zwierciadlanych” nowel „Dekameronu” czy „Opowieści konterberyjskich”.

Także mistrzowie dramatu przez całe wieki sięgali po efekt „teatru w teatrze”. I w obrazach filmowych niejednokrotnie

występował motyw „filmu w filmie”: bohaterami są aktorzy, a ich życie prywatne komplikowane jest perypetiami, związanymi z udziałem w filmie. Daje to pretekst do rozważań o sztuce, o pracy aktora, a także do zagładnięcia za — zawsze pełne intrygujących widza tajemnic — kultury filmu. W tej konwencji, choć na przeciwnych biegunach, utrzymany jest np. „Początek” Panfilowa czy oglądana na jesiennych Konfrontacjach komedia Pollacka „Toot-sie”.

W przeciwieństwie do tych dwuwątkowych obrazów, gdzie nacisk położony jest na współczesną warstwę narracyjną, w „Kochanicy Francuza” ważniejszą, bardziej eksponowaną i rozwiniętą jest „film w filmie”. Pełni on rolę komentarza do wątku współczesnego, uzupełnia go,

dopowiada, a jednocześnie stanowi jego antypodę: w scenariuszu „filmu w filmie” były dwa zakończenia: tzw. „szczęśliwe” i „nieszczęśliwe”, tworzy film do ostatniego ujęcia „nie mogą się zdecydować”, które z nich wybrać. I do ostatniej chwili nie wiadomo, jakie rozwiązanie przyniesie „prywatny” romans aktorów. A będzie ono inne niż to filmowe...

Na plakatach anonansujących „Kochanicę Francuza” przyciąga uwagę kinomana przede wszystkim nazwisko Meryl Streep, ostatnio mocno lansowanej na Zachodzie aktorki, zbierającej laury na główną rolę w filmie „Sophie’s Choice”, a informacje o tych wydarzeniach docierały do nas poprzez prasowe rubryki „Polonica zagraniczna”, bo właśnie temat tego filmu oparty był na motywach zawitych, polskich losów w zamętach historii.

Jaka jest Meryl Streep? — Wysoka, postawna, rudowłosa (przynajmniej w tym filmie), o regularnych, nieco surowych rysach twarzy. Ma w filmie podwójną rolę: współcze-

snej aktorki Anny i Sary, „kochanicy Francuza”, czy raczej — „francuskiego porucznika”, co w sumie okazuje się nie mieć znaczenia, bo tytułowy Francuz, porucznik Varguennes, w filmie nie pojawia się ani razu...

Meryl Streep z dużą łatwością przeistacza się z jednej postaci w drugą. Z dużym kunsztem kreśli skomplikowany rysunek psychologiczny Sary, która ma osobowość inną niż Anna — ale jest jej uzupełnieniem, rozwinięciem. To, czego nie powie Anna, robi Sara. Siła charakteru, jaką skrywa Sara, emanuje z Anny. Wspólny jest im „eskapizm”, niechęć mówienia wprost, uprzedzenia swoich zamiarów. Sara ma osobowość mitomafską, schizofreniczną. Nie waha się prowadzić tajemniczej gry, nawet jeśli z tego powodu naraża się na ostracyzm. Sama kreuje swój obraz — „Tragedia” — i realizuje te kreacje konsekwentnie. Opracowuje swoją rolę jak profesjonalistka — robi — dosłownie — szkice do własnego

portretu. Nosi czarne suknie malownicze peleryny. (Z wariacji Meryl Streep: gama wyszukanych póz i gestów).

Jeśli w XIX-wiecznej guwernantce czy pannie do towarzysztwa może być coś z wampa, kobiety fatalnej, z „Błękitnego Anioła”, to cechy te wykorzystywała dla swojej roli Sara Woodruff.

Młody przyrodnik o skłonnościach uczonog-badacza skamielin, Charles Smithson (Jeremy Irons), tak jak załozony profesor Unrath, przekreśla dla kobiety całe swoje dotychczasowe życie, naraża się na skandal towarzyski i potępienie opinii.

Inicjatywa, ster wydarzeń w obu warstwach narracyjnych trzyma kobieta. Ona narzuca bieg rzeczy, ona wywołuje niespodziewane perturbacje. Charles-Mike jest nieustannie zaskakiwany, zaciekawiany, nigdy niczego nie może być pewien. Obraz psychologiczny bohatera zarówno jednego jak i drugiego wątku jest prostszy, mniej skomplikowany od obrazu

partnerki, żeby nie powiedzieć — jest nieskomplikowany. Ani Charles, ani Mike, nie są równorzędnymi graczami dla swoich partnerek. Zawsze się spóźniają co najmniej o jeden ruch. A jeśli byli równorzędnymi dla nich partnerami — cała historia stałaby się jeszcze ciekawsza...

Niewątpliwą zaletą filmu są zdjęcia plenerowe. Natomiast, jeśliby chcieli obejrzeć scenki rodzajowe na temat „na planie filmowym” czy „z życia gwiazd” — można się rozczarować, jest to jedynie szkic, umowność — wszak wątki nie są równoważne. I dobrze, że można znaleźć tematyczną dominację, korzystnie to wpływa na strukturę kompozycyjną obrazu.

I tak — nic nie załami demo-na zmysłów w powabnym cielesary Woodruff, panny bez posagu...

EWA-KATARZYNA NOWAK

Nad poziomem morza

Przyszła nieoczekiwanie. Zapytała:

— Lubisz poezję?

— No... właściwie — bąknąłem, bo nie wiem, czy lubię poezję. Czasami coś mnie bierze, gdy czytam wiersze, czasami — nudzi. Nie znam się na poezji.

— Masz — powiedziała i położyła na stole niewielką, białą książeczkę. — Czytaj, może ci się spodoba.

Wypila herbatę i poszła. Zostałem sam. Biała książeczka leżała na stole. Wziąłem ją do ręki. „Czwarte dziecko” — przeczytałem. Autor: Andrzej Raczyński. Nie znam! Otworzyłem książeczkę na stronie 62.

„Zwiedzajcie Polskę do kraj folkloru”

Odwrociłem stronę. Ten rozdziałik wierszy nazywał się „Racje oborowego Krawczyka”. Niezłe to racje! Ale oto autor dedykuje coś „stanisławowi i janowi krzysztofowi adamkiewiczom tę pięć skończoną do końca”. Wszystko oczywiście małymi literami. I utwór dedykowany:

jadł
pił i spał
właściwie kanapa

Dobrze! Mam przyjaciela. Mówimy na niego „Niedźwiedź”. To zupełnie jakby dla niego. Pasuje. Zaczęło mi się to podobać. Żadne tam płacze nad dolą ludzką, żadne skomlenie bytu skrzywionego przez naturę, ludzi i cały wszechświat. Nic z tych rzeczy. Sam konkret. Hasła nawet. Na przykład „Kapitał” rodzice muszą

rozwiązać się wraz z dziećmi

Wspaniale!

Odwrociłem stronę.

romkowi chojnackiemu

popilnuj kieliszka na okragłej tacy

Genialne! Właśnie Gienek Gnacz przestał pić. Kupił sobie książkę Juliana Aleksandrowicza i Ireny Gumowskiej „Kuchnia

i medycyna” i przeczytał, że brak magnezu w organizmie powoduje bezsenność, zawroty głowy, wypadanie włosów, niemożność koncentracji i inne przykre objawy, a nade wszystko bardzo nieprzyjemne kace na drugi dzień po birbancie. Kace miał okropne, inne objawy też, więc podjął mąską decyzję, czym nas wszystkich wprowadził w niebotyczne zdumienie. Jemu mogliśmy zadedykować ten wiersz. Popilnowałby kieliszka i na kwadratowej tacy i bez tacy również. Jak na razie boi się pić. I bardzo dobrze!

Znów odwracam kartkę.

Wysza użyteczność

otwórz okno

wypadniemy przez nie

Nie, tego nie radziłbym robić. Ale to poezja. A poecie wiele wolno. On inaczej widzi i odczuwa świat. Inne głosi prawdy. Ale kiedy Olgierdowi Smoleńskiemu dedykuje taki oto wiersz, zupełnie się z nim zgadzam:

pacjent

któremu wszczepiono dwa serca

czuje się lepiej od lekarza

I w walce o ochronę przyrody też się zgadzam:

sprawiedliwość jest czyste powietrze

Albo ileż prawdy jest zawarte w tej propozycji:

jeśli jesteś kobietą

porozmawiajmy o brzydkich czasownikach

Można to wykorzystywać w rozmowie i pamiętka ani się spóstrzeże, że rozmawiamy wierszem. Niektórzy wprowadzają wolę do rozmowy działania, ale człowiek kulturalny nim pójdzie z panienką do łóżka powinien trochę pokonwersować. Poezja Andrzeja Raczyńskiego się do tego nadaje. Można na przykład rzucić taką oto prawdę:

pestika większa od owocu

Albo spóstrzeżenie

w pogodnie dni

wszystkie ławki na ruchliwych skwerach

są okupowane

Spóstrzeżenia tego autor dokonał 14 sierpnia, roku nie podał. Ale ponieważ wiersz zawarte w rozdziałku „Wagon do raju” powstały w latach 1977—1978, więc i tego spóstrzeżenia dokonał w sierpniu któregoś z tych lat. Widać szedł zmęczony do domu i chciał przysiąść na skwerku, ale wszystkie ławki były okupowane przez innych. Samo życie.

Kiedy indziej dokonał innego spóstrzeżenia, którego ani nie zacytował, ani nikomu nie zadedykował:

nie ma nic bliźniejszego od granic

Albo:

szczęśliwy mężczyzna wychodzi kiedy chce

Albo:

zmieniam mieszkanie którego nie ma

To najłatwiej! Też bym tak mógł, ale mam mieszkanie. Może nie najlepsze, ale zawsze. I nie mam ochoty go z nikim zamienić. To oczywiście moja sprawa. Nie jestem poetą. A Andrzej Raczyński pisze:

poezja

to najtrudniejsza kropla w morzu

Zgadza się!

Podoba mi się poezja Andrzeja Raczyńskiego. Wcale nie kpię. Można w niej znaleźć wszystko. Siedzę sam teraz w domu i nie nudzę się. Czytam na wrywki wiersze Andrzeja R. i jakbym z nim rozmawiał, słuchał jego rad:

jeśli chcesz być kimś ważnym

narysuj przed sobą koło

wyjdź w środek

Nie chcę być nikim ważnym. A poza tym nie mam kredy. Czym narysuję koło? A gdybym miał kredę to nie będę brudził podłogi. Stanowczo nie chcę być nikim ważnym!

Kim jest autor? Szukam więc informacji. Jest. Urodził się w 1944 roku w Krakowie. Od 1972 roku mieszka na stałe we Wrocławiu. Debiutował w 1966 roku. Drukował w „Tygodniku Powszechnym”, „Współczesności”, „Życiu Literackim”, „Nowym Wyrazie”. Ma na swoim koncie arkusz poetycki „Racje oborowego Krawczyka”. Jest to więc jego debiut.

Zaglądam do „Racji oborowego Krawczyka”. Oto 21 fragment życiorysu:

a to że tutaj trochę tańczę to normalne

Tańczący oborowy. Tego jeszcze nie było. Poezja otwiera przed nami nowe nieznane obszary.

Dzięki ci Urszulo, że przyniosłaś mi tę małą, białą książeczkę. Może wreszcie polubię poezję.

ZENON POROWATY

Dokończenie ze strony 1

Przez pierwszą godzinę wszystkich obserwowałem, każdego z osobą zagadną, jakby sondażem, z kim warto tej nocy pogawędzić. Wydawało się, że starszy pan z bródką o wyglądzie emerytowanego profesora, będzie jego dłuższym interlokutorem, gdy weszli na temat koni. Ale specjalista od „Warsu” szybko zapędził przeciwnika w koki róg. Zasypał go dosłownie lawiną szczegółów o jeźdźcach, stadninach, Służewcu, totalizatorze. „Profesor” w porę się wycofał, tłumacząc migreną i zagłębiając w „Szkice o literaturze skandynawskiej” Iwaszkiewicza. No i tak wypadło na mnie.

Odstawiliśmy butelczyny i przycisnęliśmy obok chrapiących podbródków — wydostali się na korytarz. Zaczęliśmy od moich „Carmenów”. Za oknem stał mrok, wagon dygotał na rozjazdach, przemknęły blade światła jakiejś miejsciny, a my wymienialiśmy stereotypowe teksty przypadkowych znajomych z pociągu.

Z uznaniem przytoczyłem „koński” pojedynek sprzed godziny, dodając, że miałem okazję poznać jednego z najlepszych naszych dżokejów, Stanisława Salaję. Wspominałem jego ciężki wypadek, po którym musiał się wycofać z wyścigów, reportaż, który wspólnymi siłami udało nam się upichcić. Ani się spostrzegłem, jak zacząłem opowiadać o innych swoich bohaterach, prezentujących nietypowe zawody, o życiowych oryginalnościach, zwirowanych pasjonatach, maniakach, ludziach po prostu innych.

Milczał wpatrując się w smugi papierosowego dymu błędzące po brudnej szybie. Z wydzielną przebiegłością jakiegoś osobowca. Odruchowo odskoczyliśmy do tyłu. Zamigotały koraliki oświetlonych okien, przewalili się kilka wagonów i czerwone lampy zniknęły w mroku nocy.

— Co tu gadać, masz pan fart, panie dziennikarzu — uśmiechnął się szczerze czymś rozbalwiony.

— Dlaczego?
— A co byś pan powiedział na faceta, który od sześciu lat każdą noc spędza w pociągu, jego domem jest przedział w wagonie, a w sumie przebył na żelaznych kołach ponad milion kilometrów?

— Na pewno chciałbym z nim porozmawiać.
— To masz go młodzieńcze przed sobą?
— Pan!??

— A co? Nie wyglądam na takiego wariata?
— Dlaczego wariata... Ale chwileczkę, po kolei; po co, w jakim celu?

— Czekaj pan, jak mamy sobie pogadać, to pociąginiemy jeszcze lyk, a ja zaczne od początku...

Skończyłem jak ryś do przedziału, złapałem oba „fule” łapczywie, aż zaczytany profesor zerknął w moim kierunku z dezaprobatą. Zatrzasnąłem też chyba zbyt głośno drzwi. „O rany, żeby to była prawda!” — przeleciało mi przez myśl. A globtrotter zaczął jak na powieździ.

— Żeby pan nie myślał, że sobie żarty stroję — sięgnął do kieszeni sportowej kurtki — oto mój dowód i „migawka”. Z pewnym niedowierzaniem zerknąłem w dokumenty: Romuald Brandt, urodzony — 1 stycznia 1926 roku, w Warszawie, tamże zameldowany. I bilet miesięczny a 3900 złotych uprawniający do przejazdu na wszystkich krajowych szlakach kolejowych w II klasie...

— Później się was wylegitymuje dokładnie, Brandt — zażartowałem, bo mi się głupio zrobiło nieco, że człowiekowi nie dowierzam — ale niech pan opowie, skąd ten niecodzienny pomysł?

— Będzie się pan śmiał, ale coś mnie gna, ciągnie w świat. Szukam wciąż bratniej duszy, gonie życie, które się tak szybko przez palce przesiewa...

— Kiedy to się zaczęło?

— Dokładnie 1 listopada 1977 roku. Pamiętam, poszedłem na Bródno, zapaliłem mamie świeczkę, a wieczorem wsiadłem bodaj w osobowy do Koszalina. I od tego czasu każda noc spędzam na żelaznych kołach.

— Przepraszam, nie ma pan domu, rodziny?

— Moim domem jest ta wysłuchana kapnka w przedziale. A rodzina? Cóż, właściwie jej nie mam. Powiedzmy ogólnie — wyrzekli się mnie. I niech pan nie przeprasza, dziś właśnie mam ochotę komuś to opowiedzieć...

Wagonem rzucało okropnie. Jedną ręką trzymałem się poręczy pod oknem, w drugiej wciąż tkwił papieros, których kurzył straszne ilości. Zapatrzyłem w przeciągającą za sobą noc — mówił. Poważny, zamyślony przeżywał ze mną jeszcze raz wszystkie zakręty swego życia. Czasem przerwał, gdy ktoś przepychał się korytarzem za naszymi plecami. Nie musiałem go ponaglać, wracał sam do przerwanego wątku, a ja zmuszałem zmnęcony umysł do rejestrowania nie chcąc nic uronić...

Chłopak urodzony na Woli, miał trzynaście lat gdy wybuchła wojna. Wówczas zginał ojciec, którego wspomina bez zbytejnego sentymentu, jako że nie pamięta — by był kiedyś trzeźwy. Przeżył okupację, przeżył Powstanie, w czasie którego przysypało go po wybuchu pocisku w kamienicy przy Krochmalnej. Ale wyżył się. Jesienią czterdziestego czwartego, przemknął wśród tłumów wypędzanych z miasta warszawiaków w kierunku Pruszkowa. Żył w sióstrach, a wyzwolenie zastało go w Żyrardowie. Parę dni szukał swoich w Warszawie, dowiedział się, że starsza siostra i brata wywieziono do Niemiec, mamę — gdzieś w okolicy Nowego Sącza. Któregoś dnia los go zetknął z panią Marią, starszą o prawie dwadzieścia lat pielęgniarzką...

Mimo różnicy wieku było nam bardzo dobrze, jesienią czterdziestego piątego wyjechałszy do Legnicy, gdzie otworzyliśmy maleńki sklepik z galanterią. Ale gdy dwa lata później powołano mnie do wojska, moja pielęgniarzka nie zamierzała czekać na powrót żołnierzyka. Nawet byłem zadowolony, wróciłem po 27 miesiącach służby na starą, dobrą Krochmalną. A potem? Cóż, przez sześć lat pracowałem w „Służbie Polsce” w kwaterymistrzostwie Komendy Głównej. Ożeniłem się, przyszedł na świat dzieci, najpierw Krzysztof, potem o rok młodszy Robert. Ale dziś stwierdzam ze smutkiem, że los nie był mi łaskawy, te 15 lat z panią

Balbina uważam za stracone, to było istne piekło...

— Niemożliwe? A jednak. Któregoś letniego poranka, doprowadzony do białej gorączki, wypadłem z domu tak jak stałem, w koszuli samej i do dziś tam nie wróciłem. Dzieci były małe, to forsa na życie wysyłałem, ale wrodziły się w mamunię, może dlatego nigdy tam nie wstąpiłem nawet.

— Przez trzy lata wędrowałem po kraju, pracując m. in. u zegarmistrza w Pile, ale ciągnęło mnie do Warszawy. Znalazłem się tam znów w sześćdziesiątym dziewiątym, zamieszkałem z mamą i siostrą, która niestety, przejechała po ojcu „ciągi” do wódki. Utrzymywałem obie dorywczych prac, przygotowywałem malarzom mieszkania do remontów. Grałem także na wyścigach, jeszcze od czasów gdy wyszedłem z wojska. Zawsze lubiłem tam wpaść, traktowałem Służewiec jak ośkoconie od szarej codzienności, a konie nigdy mi strat nie przyniosły, zwykle byłem na plusie.

Rok siedemdziesiąty czwarty wspomina w czarnych barwach. Umiera mama, a siostra, chcąc zatrzymać mieszkanie dla siebie, spro-

nymi trasami, najgorszymi składami, o twardej ławkach. Ale nie ma dziś stacyjki w tym kraju, przez którą bym choć raz nie przejechał. Ostatnio wybieram lepsze trasy, łączące duże aglomeracje. Korzystę podwójną — za jednym zamachem przemierzam pół kraju, no i tu lepsze wagony kursują, z wodą w toalecie i „Warsem”.

— Nie widziałem zbyt często wody w toalecie PKP, podobnie jak dziś tego „Warsu”...

— Wszystkie treningi, treningi. Piwo jest i woda także. Trzeba tylko wiedzieć do której isć toalety, no i trzeba mieć taki klucz.

Dyskretnie wyciągnął z kieszeni niewielki, nasadowy klucz z kwadratowym nacięciem. Teraz przypominałem sobie, że manipulowałem nim przy górnej półce, gdy wszedłem do przedziału na początku naszej podróży. Spytałem o to.

— Aa, drobiazg. Tam jest taka niewielka skrytka, której używam jako suszarki. Wie pan, kilka ciuchów przepiorę w ciągu dnia, potem ładuję do „suszarki” i rano mogę już przebrać się w świeże.

— Właśnie. Panie Romualdzie, to niedelikat-

W drodze, Twój Romeo...

wadza przyjaciela i w godzinę zmieniają zamki w drzwiach. Romuald Brandt zostaje „na lodzie”. Wyrodna siostra przeżywa matkę o trzy miesiące, ale on już mieszkania nie odzyska...

Stroniłem zacząłem od ludzi, chciałem żyć jak pustelnik, z dala od wszystkich. Schronienie znalazłem na działkach nad kanałem żerańskim. Dogadaliśmy się z panią Kazimierą — administratorką, która za uporządkowanie i zagospodarowanie jej polećka pozwoliła mi tam nocować. Bardzo mi to odpowiadało, cisza była, spokój, odludzie. Kamienie nosiłem, pielilem chwasty, sadziłem mojej „szefowej” pomidorki, a nawet jej taki prowizoryczny domek działkowy skleciłem.

— Długo pan tam mieszkał?
— Prawie czterdzieści miesięcy. Latem było

nie pytać, ale trzeba przede wszystkim gdzieś do pranie bielizny czy kąpiel uskutecznić...

— Ależ proszę pana! Codziennie rano w pociągu w toalecie mycie do pasa, po wojskowemu, golenie i czysta bielizna, koszula. A co drugi dzień gruntowna kąpiel, w łaźniach miejskich. Tak dobiegam trasy, by korzystać z tych, które szczególnie lubię ze względu na czystość. W stolicy, Gdyni, Krakowie choćby. Tam też pod prysznicem robię przepierkę, a w pociągu — do suszarki...

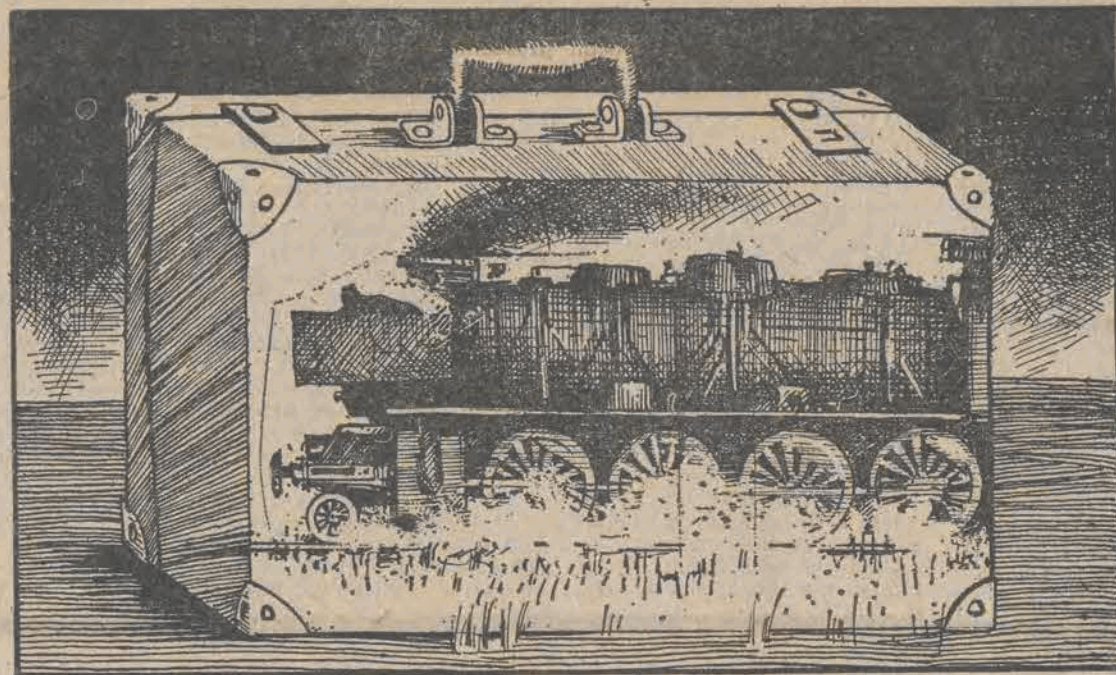
Nie ma tego dużo. Widzi pan, cała moja szafa to ta teczka.

— I od ponad sześciu lat rzeczywiście spędza pan każdą noc w pociągu?

— Bez wyjątku...

— Nie zdarzyło się, że pociąg ucieknie?

— Miałem chyba trzy czy cztery takie przy-



Rys. Janusz Szymański — Glanc

padki. Ale jak ucieknę mi bezpośrednie połączenie, to nie rezygnuję. Trudno, jadę okreśną drogą, z przesiadkami.

— A jak pan spędza dzień?

— Cóż, najpierw kąpiel i śniadanko. Zwykle w barze. Potem spacer. Zwiedzam miasto, czasem wpadnę do jakiegoś muzeum. W Sopocie idę na molo, w Zakopanem — do Strążyskiej czy na Gubałówkę. Potem muszę kilka listów napisać.

— Jakich listów?

— Do kobiet...

— Wyłącznie?

— Co, zaczynam panu przypominać Kalibabkę? Bez obaw. Ja piszę, by umysł ćwiczyć, a młodych jeszcze czegoś w życiu nauczyć. No, przykład z dzisiejszego dnia. Wysłałem w południe kolejną porcję moich listów i widzę, że paniąka przy okienku jakaś taka opryskliwa, niesympatyczna. Spytałem koleżanki jak ma na imię. A jutro z Wrocławia, bo tam chyba skoczę tym nocnym o 22.20, napiszę jej parę słów. Tak, urządził pocztowy, okienko numer dwa, pani Jola, dojdzie na pewno. Co napiszę? Zaczynam zawsze ostrzeżenie, no na przykład, że jak się nie chciało nosić w szkole teczki, to trzeba dźwigać z listami woreczki. Potem wytłumaczam, jak powinna się odnosić do klientów, że to tacy sami jak ona ludzie ciężko pracujący. A skończę jak zwykle sugestiami na temat mody.

— ???...

— Wie pan, ładna dziewczyna, ale bez sensu

w taki kok się czesze i paznokcie szarawymi poobgryzane. No i potem pozdrowienia z drogą, zaznacze kiedy się pokaże i podpis — „Romeo”.

— Kolejowy romantyk z pana, wierzy pan?

— Wierzę, codziennie na to liczę, choć powiem szczerze, że przez ten milion kilometrów jeszcze do stacyjki ludzi życzliwych nie dojechałem. Ale czekam.

— Ma pan zapewne masę ciekawych sposobów. Obserwuje pan przecież nieprzerwanie stan polskich kolei i jej pasażerów. Taki społeczny kontroler.

— Biletów nie sprawdzam, ale rzeczywiście przez te lata nagromadziło się masę uwag. Choćby podstawowa: fatalny stan pociągów, coraz gorsza obsługa, brudne dworce. O punktualności już nie wspomnę. A z drugiej strony, każdej nocy mam przed sobą siedem innych twarzy w przedziale, siedem odmiennych dusz, typów ludzkich. I z każdym muszę choć parę zdań zamienić, sprawdzić, kto zacy, ile jest wart: czy ja się od niego czegoś nauczę?

Pociąg zwalniał, włókł się przez chwilę koło za kołem, wreszcie stanął. Brandt uchylił okno, buchnęła mroźna ciemność. — Tu będzie-my stali około pół godziny, zawsze tak samo — stwierdził spokojnie — może siadziemy? Wsunęliśmy się w ciepłą czelusz przedziału. Sen zmorzył już wszystkich; „profesor” spał równie, dyskretnie pochrapując. Kokosze sapaly mniarowo, facet bez twarzy, śpiąc wciąż przyciskał do piersi służbową teczkę. Usadowiliśmy się pod oknem, lekko je uchylając, bo duchota była spora.

— Niech pan im się przyjrzy — kontynuował już ciszej mój globtrotter. — Rano będą jak przekręci przez wyżymaczkę. Mnie trzy, cztery godziny drzemki wystarczą, i będę jak szczygiel; nie można życia przespać.

— Ciekawa sprawa. Pociąg coraz bardziej są zatłoczone. Gdy zaczynałem swój doktorat non-stop, wyższej kolejowej szkoły jazdy, w święta było tłoczno, to prawda. Teraz każdego dnia tłumy, na każdej linii. I tak obserwuję: już w czwartek po południu jadą z pustymi torbami i siatkami. Znaczą się — na wieś, do rodziny, po zaopatrzenie. Poniedziałek wieczorem, wtorek rano — wracają, podjeżdżają, torby pełne, miny zadowolone. Panie, kiedy oni pracują? Tak sobie myślę, przecież wciąż wędrują; jak to mówią „za chlebem”...

— Panie Romualdzie, zapytam wprost: te migawki, śniadania, bujna korespondencja — kosztują jednak; jak pan zdobywa na to fundusze?

— Przede wszystkim gram na wyścigach, wspominałem panu. U mnie rachunki są proste: w listopadzie, gdy kończy się sezon na Służewcu, muszę mieć odłożone 76 tysięcy 600 złotych. Tyle potrzebuję do maja, gdy znów konie pojawiają się na padocku. Tyle kosztują mnie bilety, planuję też zakupy garderoby. O, właśnie, chyba pojutrze skoczę do Ustki, tam pani Lucyna w obuwniczym ma dla mnie ładne butki odłożone, też z nią korespondencję od roku. I te pieniądze praktycznie bez kłopotów zdobywam. No jasne, że mam pewną rezerwę, to piwo to właśnie z niej. A czasem lubię i na kawę do „Kasprowego” w Zakopanem wejść, a co...

— I to panu naprawdę wystarcza?

— No oczywiście, przecież ja nie muszę się kłopotać o jakieś przyziemne sprawy: meble, telewizory, lodówki. Nie interesują mnie podwyżki czynszów, kartki na mięso...

— A właśnie, przecież owe kartki gdzieś pan odbiera?

— Tak, w Warszawie, na Woli. Ale po co mi one do szczęścia potrzebne. Mam przyjaciela we Wrocławiu, żona go zostawia, sam wychowuje trójkę dzieciaków. Jemu oddaje tę kartkę, bardziej mu się przyda. Właśnie dziś go odwiedziłem, przywożem mu też dwa kilogramy grejpfrutów, które wystawałem bez kłopotów w Kielcach. Czasem ludziom pomogę, jak coś trafi, a to śledzi świeżutkich z Kołobrzegu dostarczę; znajomych mam w Bydgoszczy — zawsze im brzyndy i oscypkę z „Zakopca” przywożę. I jeszcze porządku w domu zrobię, że aż lśni.

— Tak pan lubi sprzątać?

— Żeby pan wiedział, nie noszę brudu, bałaganu. Jak wpadnę gdzieś do znajomych i szklanka brudna stoi — zaraz ruszam do zlewozmywaka i zakasuję rękawy. Jak się dobrze znamy, to i kurz zetrę i małą przepierkę zrobię. A szybki jestem jak burza. No, lubię wychodzić i widzieć ich zadowolone twarze, a wszystkie kąty w mieszkaniu aż pachną. Zaraz wiadomo, że był Romeo...

— Na jak długo zaplanował pan swą wędrowkę?

— Na razie — do „sześćdziesiątki”. Zobaczymy, czekam wciąż na tę jedną gwiazdę, która spadnie mi w ramiona. Starsza może być, po czterdziestce, taka wie pan, po kapitalnym remoncie, byle nie „do zakopania jeden krok”. I wtedy dam sobie założyć wędzidło, dam się zamknąć w czterech ścianach. Ale z gołymi rękoma nie przyjdzie, o nie! Wyborę się raz czy dwa razy na wyścigi i wtedy zagram. I przyniosę ten milion. To nie problem wygrzać, tylko po co mi teraz tyle forsy? Wiozę jej do szkatułki, niech ma moja gwiazda na drobiazgi, kosmetyki, te świecidełka różne, taki jestem...

— Zastanawiał się pan, ile to w sumie kilometrów spędzonych na szlakach PKP?

— Prosty rachunek: od pierwszego listopada siedemdziesiątego siódmego średnio 450—500 kilometrów w każdą noc, bez wyjątku. Jeśli się to panu przyda — niech pan liczy, ja przepraszam, trochę się zdrzemnę...

I po minucie już spał. Oparty na łokciu, na swej nieodłącznej teście z garderoby, łagodnie uśmiewał się. Pewnie śniły mu się jego „gwiazdy”.

Na stoliczku pod oknem leżała papeteria. Wystawał nieco jeden arkusik do połowy zapisany starannie kaligrafowanymi literami. Niedyskretnie zerknąłem na nagłówek: „Centralnie prześlizna, stylowo unikalna, klasyczna reprezentacyjna pani Janina...”

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Polemiki • Listy • Opinie

„PRZESYPKA”

Zastanawiam się, czy w artykule red. Ryszarda Binkowskiego pt. „Przesypka”, umieszczonym w „Odgłosach” z dnia 28.1. br. występuje: nierzetelność, nieumiejętność formułowania informacji. Refleksje moje wynikają z tego, iż mam względny zaszczyt być jednym z bohaterów wspomnianego artykułu. W artykule tym występuje pod inicjałami Krzysztof J., tak — to ten, który zapłacił 144 tys. zł. Pierwszą część tego artykułu (dotyczącą mojej osoby) pokrywa się z prawdą.

Natomiast zabolalo mnie wyssane z (brudnego) palca red. Binkowskiego stwierdzenie: „chciał ułatwić mechanikowi zdobycie karoserii, więc wystarał się o wycenę Polskiego Związku Motorowego na zużycie starej”. I tak z naiwniaka bezwiednie stałem się w ocenie piszącego artykuł i czytających — współnikiem hochszaplara. Dziwna to spółka — mój wkład (bez możliwości partycypowania w zyskach) wyniósł 144 tys. zł. Chcę wyjaśnić red. Binkowskiemu i nie tylko jemu, co skłoniło mnie do zawarcia umowy z Zakładem Mechaniki Pojazdowej, firmowanym przez Andrzeja Kostrzewskiego (dlaczego występują tylko inicjały przestępcy na równi z pokrzywdzonymi, czyżby w trosce o dobre imię oszukańca?).

W listopadzie 1982 r. miałem wypadek drogowy w wyniku którego otrzymałem ORZECZENIE RZECZOZNAWCÓW PZMOT (tak to się prawidłowo nazywa) na wymianę uszkodzonej karoserii do Fiata 125 p. Jak więc widać już w listopadzie 1982 r. liczyłem na „spółkę” zawartą w kwietniu 1983 r. z Andrzejem Kostrzewskim i do tego wciągnąłem jeszcze rzeczoznawców PZMOT. Wios się na głowie jeży na takie (moje) postępowanie. Ze względu na to (mając w/w orzeczenie PZMOT w kieszeni), zwróciłem się do „Polmozytu” w Łodzi z prośbą o zakup i wymianę karoserii. Odpowiedź była jednoznaczna — bez możliwości w najbliższych latach. Co miałem robić?

Zgodnie z porządkiem — tonący brzytwy się chwyta — szukałem innych legalnych możliwości. Zobaczywszy ogłoszenie w prasie udałem się pod wskazany adres i zobaczyłem tam typowy warsztat samochodowy (firmowany przez Sp. Wielobranżową w Pabianicach). Wierząc (o naiwny) — zawarłem umowę z Kostrzewskim, otrzymując pokwitowanie na wpłaconą sumę. Ciekawy jestem jak na moim miejscu postąpiłby w takiej sytuacji red. Binkowski?

Nie dość, że poniosłem stratę w wysokości 144 tys. zł ciężko przeze mnie zapracowanej, karoserii do tej pory nie mam, to jeszcze posadzony zostałem przez piszącego o spółkę z osadzonym już przestępcą. Czy na tym polega rzetelność informacji opinii publicznej?

Czuając się pokrzywdzonym i ośmieszonym przez red. Binkowskiego fragmentem artykułu dotyczącym mojej osoby, w oparciu o moje wyjaśnienia (dokumentacją służyć wgląd) proszę o:

- spowodowanie sprostowania przez red. Binkowskiego fragmentu artykułu dotyczącego mojej osoby.
- podanie do publicznej wiadomości nazwiska hochszaplara — Kostrzewskiego
- przeproszenie mnie na łamach „Odgłosów” za insynuację i powłanianie z Kostrzewskim.

Przesyłając powyższe wyjaśnienie-skargę, pozostaję w przekonaniu, iż podobne lapsusy więcej nie będą miały miejsca na łamach „Odgłosów”.

KRZYSZTOF JUREK

P.S. Może red. Binkowski ma jakieś możliwości w przyszłości mi z pomocą na odcinku przyjęcia przez „Polmozyt” mojego zlecenia na wymianę karoserii, gdyż ja w dalszym ciągu jestem natretem w tej szacownie-monopolistycznej instytucji. Nie chcę po prostu wpaść w ręce podobnych do Kostrzewskiego.

ZAŚNIEŻONY ETAP BUDOWNICTWA

Skup butelek oraz przygotowania drogowców do zimy, są problemami absolutnie nierozwiązywalnymi na tym etapie budownictwa socjalistycznego. Dopiero następny etap, którego serdecznie sobie życzymy, podola tym niesłychanie skomplikowanym zagadnieniom.

Kiedy mnie przyjmowano do żurnalistycznego cechu, stare repy przestrzegały mnie przed zabieraniem się za ulubione prasowe samograj, jak to: jakości mleka i chleba, komunikacja publiczna i oraz wyższość świąt Wielkiej Nocy nad świętami Bożego Narodzenia.

I słusznie przestrzegali. Bo jaki — się pytam — normalny człowiek jest w stanie przewidzieć, że w końcu stycznia może padać śnieg? Kto jest w stanie pojąć ten idiotyczny wybrzyk natury? W końcu jakieś pryncypia, do diabła, muszą obowiązywać. Jeśli się ustala przygotowania do kampanii zimowej na drogach, to jest samo przez się zrozumiałe, że zima zaczyna się w sierpniu, a kończy się w połowie października, no góra w listopadzie. Potem jest fajerant i szlus. Czas na wręczanie premii za niewykłamy wydajną ochronę dróg publicznych przed zamieciaćmi i zasypami. W połowie grudnia wypłaca się dwudziestą drugą pensję oraz wysła wnioski o ordery dla najsiłniej zasłużonego kierownictwa drogowego. Po rozliczeniach uzgodnieniach i naradach ustala się, że już czas najwyższy na rozpoczęcie przygotowań do kampanii zimowej za rok.

I jeżeli 25 stycznia roku pańskiego 84 ulice i chodniki pokryte są grubą warstwą rozmarzanego, śniegowego błota, jeżeli obywatela, a raczej ciężkie frajery, pozbawione własnego auta, są obryzgiwani radosnymi fontannami wielkomięjskiego brudu — to znaczy, że ktoś zrobił zupełnie kretyński dowcip naszym umiłowanym drogowcom. To jest zwyczajna granda i sabotaż. Zimy miało już nie być, piasek wyszedł, soli nie dowieźli (zresztą podróżowała), a sprzęt silnie specjalistyczny został odstawiony do baz, gdzie będzie rdzewiał do przyszłej kampanii.

Wobec totalnej niemożności rozwiązania powyższego, pozwalam sobie wystąpić do szanownych władz z postulatem natychmiastowego wywalenia na zbyty pysek z roboty całego personelu właściwych, a niekompetentnych przedsiębiorstw. Sprzęt należy przeznaczyć na złom, budynki zamienić na przedszkola i przychodnie, a ludziom natychmiast wypłacić emerytury, renty oraz zasiłki macierzyńskie. Kierownictwu można jeszcze dać pierwszą grupę inwalidzką. Cała operacja likwidacji wyniesie taniej, nie mówiąc już o dochodach uzyskanych ze sprzedaży złomu, niż dalsze utrzymywanie tego całego interesu.

Po cholere! Przecież oni nigdy w życiu nie będą robić tego, co powinni. Zawsze w zimie będzie na drogach sódoma i gomora. Nigdy nie będzie czystych od śniegu i błota chodników i zawsze jasnie wielmożni ciecie, vel stróże, będą mieć głęboko w nosie odśnieżanie i posypywanie. Zawsze też znakomicie przygotowaniu do zimy drogowcy nie będą w stanie przewidzieć, że zima może nas askoczyć w listopadzie, a nawet w styczniu.

Po co więc utrzymywać kompletnie niepotrzebne firmy, łożąc ciężkie pieniądze na sprzęt, konserwację i pobory personelu, że nie wspomnę o kosztach gipsu i cennych lekarstw potrzebnych

dla ratowania ofiar katastrof drogowych. Przecież znacznie więcej zysku będzie z przeznaczania tych pieniędzy na rozwój i doskonalenie Państwowego Monopoliu Spirytusowego. I przyjemność dużo większa!

A kiedy już zlikwidujemy ten byt drogowy fikcyjny i nikomu niepotrzebny, poczuemy głęboką ulgę.

Nikt już, żadni drogowcy, nas nie zaskoczą, zima przyjdzie i odejdzie o swojej porze, a my, jak dotąd brnąć będziemy w zaspach z zadymką w twarz po polskich drogach. Nic się nie zmieni, ale będzie nam lżej o troskę i niepokój, czy też tym razem drogowcy dadzą się, czy nie dadzą zaskoczyć. Postulat swój wysuwam w trosce o skołataną ciężką sytuacją państwowego skarbcza głowy sterników naszej nawy, zwłaszcza tych dojeżdżających do pracy tramwajami.

JOLANTA WRONSKA

„TURYSI”

Z satysfakcją przeczytałem drukowany niedawno w „Odgłosach” felieton R. Kubiaka pt. „Turysci”. Z satysfakcją, gdyż problem ten, a właściwie zjawisko nurtowało mnie już od dawna, a w grudniu ubiegłego roku powstała pierwsza wersja tekstu na ten temat. Koncepcja felietonu była prosta i dałaby się również sprowadzić do zamieszczonej pod „Turystami” fotografii stonki.

Jestem zresztą z p. Kubiakiem zgodny, szczególnie w momentach, gdy przez zwykły opis faktów podkreśla on służebną rolę Łodzi w stosunku do innych ośrodków kraju. Dziś — jako centrum handlowego (chwała dyrektorom Centralu, Uniwersalu, Juventus i wielu innym), dawniej — jako centrum „lekkiego”, a także ciężkiego przemysłu, Łódź traktowanej zawsze jako głęboka prowincja, jako źródło dochodów, a w każdym razie jako coś gorszego, mimo że po wojnie to niezniszczone miasto dało możliwość istnienia i funkcjonowania nie tylko delegaturom ośrodków centralnych, lecz stanowiło również oparcie dla ocalałej kultury. Dość jednak utyskiwać! Jeśli by nawet były one zauważone poza Łodzią — i tak będą potraktowane jako przejaw kompleksów i tylko kompleksów.

Odnótowałem też, jak p. Kubiak, że autokary pochodzą z Szamotuł, Wągrowca, Jędrzyna, Sędziszewa, Stalowej Woli, Niemczyna, Brodnicy, Golubia-Dobrzyń, Żnina, Sokołowa, Chełmży, Wrześni, Tarnobrzegu, Mielca, Zdunskiej Woli, Włocławka, Torunia, Bydgoszczy, Gniezna i z wielu, wielu innych miast, osad i wsi. Ze wysypuje się z nich rano masa ludzka, opatrzona w torby podobne raczej workom, że nie obywa się bez momentów humorystycznych, kiedy to zgrana, zgodna i zaprzyjaźniona podczas podróży grupa „turystów” zmienia się za sprawą jednej osoby, która nie wytrzymała psychicznie, „pekła” i przyspieszyła kroku — wklebiły się w podziemnych przejściach tłum, szturmujący potem sklepy. Tam zaś — biała miejscowość! Tubylecy, pracujący w okolicach „Manhattanu” mówią: „przyjechały Jeziorany”!

I już miałem grmnieć, nie ja jedyny, a jeszcze jak poczytałem informację z posiedzenia sztabu ds. zaopatrzenia miasta, że „turysci” wykupują kartkowe łuszcze zwierzęce, a na spotkaniach z załogami zakładów pracy zgłaszane są postulaty, aby prezydent zakazał takich zakupów... Jeśli „turysta” kupuje na kartkę w Łodzi łuszcze lub mięso, a swojego podchowanego świniaczka sprzedaje na wolnym rynku — nie ma tłumaczenia dla takiego procederu!

Lecz — coś mnie tknęło! Czy generalnie negatywny stosunek do „turystów”, tej stonki z fotografii zamieszczonej pod felietonem R. Kubiaka jest w pełni uzasadniony? Czy sprowadzenie sprawy do drenażu rynku i zakupów spekulacyjnych — to nie jest uproszczenie i czy winni temu tylko „turysci”? Weźmy bowiem na przykład towary przemysłowe. Pracujący łodzianie rzeczywiście nie mają szans z przyjeźdnymi, obskakującymi po kilka kolejek naraz, nawet bez rozważania, co może być na ładzie, co „wyrzucić”. „Turystów” jednak dzielnie wspomagają nasi łódzcy przedsiębiorcy podstarzali emeryci, oczywiście z tych emerytów, co to się do pracy już nie ma, lecz stać po kilka godzin w kolejce — to furda! Także hordy innych łódzkich rodaków w różnym wieku, którym praca się nie opłaca, a na których — jak dotychczas — nie ma rady! Kupić — i na rynek! Obrót czyni zysk.

Traf zresztą chciał, że jeszcze w grudniu pojechałem trochę przypatrkowo i używając starej nomenklatury — w Polskę powiatową. Za Warszawę, w kierunku północno-wschodnim, Pociągłem, PKS. Razem kilkaset kilometrów. Mróz, gołoledź, obłożone w wioskach przystanki, ludzie, ludzie, ludzie...

* * *

Pyta się mnie naczelnny inżynier z dużych zakładów w mieście Sz.: „U was w Łodzi to kurkie jakaś ocieplana kupię? Bo u nas już ze dwa lata nie mogę dostać. Popatrz pan, w jakim łachu chodzę?”. Popatrzyłem. Nie kłamał. I dalej: „...no i dla dzieciaków też coś, wie pan — mam trzech chłopaków, wszystko się na nich pali”. Potem były rozmowy o kosztach utrzymania i ogólnym poziomie życia. Z czym łatwiej, z czym trudniej. Przyznaje, że ma działkę, a więc zieleninę, owoce i ziemniaki — własne. Co się przy tym napracuje, to inna rzecz. Na zmianę z kolegami kupuje co jakiś czas prosiaka. Pieczywo, mleko i masło — są. Z tymi sprawami można więc wytrzymać. „Ale prawie wszystko z ubrania, bielizny i pościeli — to problem nie do przeskokowania”. Powiedziałem: „Niech pan bierze urlop i do Łodzi. Będzie pilotował”!

To był naczelnny inżynier. Człowiek obyty i z kontaktami. A co mówić o prawdziwych „Jezioranach”? PKS w Sz. obłożony. Matki z dziećmi na rękach, wędrowni ludźmi ze wsi do osad, z osad do miasteczek, wreszcie i do Łodzi; gdzie co można kupić? Poszukiwania — od butów do futer. Na miarę aspiracji, możliwości i potrzeb.

Coś w tym jest. Wsiadłcie przy okazji do pierwszego lepszego autobusu PKS na peryferyjnych trasach. To pouczające studia! Różnice wyglądu (niech mi to nie będzie poczytane za stawianie barier klasowych!) „miastowych” i „wsiowych” zawsze można było zauważyć, lecz oświadczam, że wsi tak obszarpanej jak obecnie — dawno nie było. Może zresztą nie w każdym rejonach, lecz ogólnie. I nie sądzę, aby chodziło tu o pieniądze lub lenistwo. Wiesz pieniądze ma, stawiający tu się w oficjalnych wypowiedziach („gdzie tkwi niewidzialny?”), ale w GS i innych „sielach dystrybucji” nie nie uświadczyli! We wsiach i małych miasteczkach nie kupisz jeszcze nie lub prawie nie.

Czy dziwić się zatem tej turystyce? Dźwigają tedy „Jeziorany” do autokarów „drapanie” koce, koldry, trochę pościelowego, jakieś koszulki, ciasteczka dla dzieciaków, zabawki, obuwie, czasem rower. Jak jeszcze była herbata — to i herbatę, bo u nich już nie było. Szczęśliwi, że przyjadą nie był daremny, że coś kupili i to za złotówki. Daleko wprawdzie, bo aż w Łodzi-mieście, ale coś jednak można dostać. A zatem może i tego świniaczka warto hodować i złotówki zarabiać.

Zastraszony więc, bo temat wielce kontrowersyjny — oświadczam, że grmnieć mi się odciechało. No — oczywiście nie na drenaż, spekulację, nie na Bydgoszcz, Toruń czy Włocławek, które Łódź nie powinny ustępować w zaopatrzeniu.

Nie mam jednak pretensji do przysłówowych Kaczyń Dołów i Peimiów, do różnych POM i PGR. Bo czy można mieć pretensje do obywatela zaopatrzeniowca Polski „C”, że chce kupić koszulkę czy pończochy, w ogóle cokolwiek, czego u siebie nie dostanie? Czy pralka i inne urządzenia techniczne, tak przyda-

me w gospodarstwie, mają być nadal przywilejem dla pewnych tylko grup ludzi — z racji wolnego czasu, chodów i miejsca zamieszkania („łódwkę na gwarancji, pralkę automatyczną na gwarancji, komplet mebli w opakowaniu fabrycznym... sprzedam...!”).

* * *

Oprócz białego i czarnego istnieje jeszcze cała gama kolorów i odcieni pośrednich. Tak bogata, jak bogate jest życie. Pozostaje więc jedno: nie dać się ponieść emocjom, bo racie mogą być różne.

Co usłynie Państwu i sobie wmawiam, bo tak prywatnie — to mnie też nieraz szlag trafia!

W. AFELT

„ABY SIĘ LECZYĆ, TRZEBA MIEĆ ZDROWIE”

W nawiązaniu do powyższej notatki, która ukazała się w Tygodniku „Odgłosy” nr 52/53 z 24.12.1983 r. — Dyrekcja Zespołu Opieki Zdrowotnej w Zgierz, po zapoznaniu się z dokumentacją lekarską oraz po przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego uprzejmie informuje:

Ob. Anna Kindela zam. w Zgierzu, ul. Parzęczewska 30A/23 zgłosiła się w dniu 3.04.1983 r., ok. godz. 1 do Oddziału Pomocy Doradźnej w Zgierzu. Lekarz dyżurny stwierdził: stłucznie i podbiegnięcia krwawe szyi, łopatki prawej i obu kolan. Zalecił okłady i skierował do leczenia ambulatoryjnego chirurgicznego. W tym samym dniu w/w została zbadana przez lekarza chirurga, który ze względu na ból głowy skierował pacjentkę do Poradni Neurochirurgicznej, do której pacjentka zgłosiła się 6.04.1983 r. Wykonane zdjęcia rtg nie wykazały odchylen od normy. Ponieważ pacjentka skarżyła się nadal na ból głowy została ponownie skierowana do ewentualnej obserwacji w Oddziale Chirurgicznym. (Pacjentka, jak wynika z jej oświadczenia i dokumentacji, nie rościł pretensji do dotychczasowego sposobu postępowania).

W dniu 6.04.1983 r. w godz. wieczornych zgłosiła się do Izby Przyjęć Szpitala im. J. Marchlewskiego. Lekarz chirurg w tym czasie operował, w związku z czym Ob. Anna Kindela sama zrezygnowała z oczekiwania i oświadczyła w Izbie, że przyjdzie później. Lekarz po zakończeniu czynności w oddziale, zszedł do Izby Przyjęć — pacjentki nie było. Po ponownym jej zgłoszeniu się do izby została zbadana. Ponieważ nie wymagała leczenia w Oddziale Chirurgicznym, co potwierdza się na podstawie dokumentacji Poradni Neurochirurgicznej, została skierowana do leczenia ambulatoryjnego.

Reasumując — ponieważ pacjentka ma jedynie pretensje do dr. Jankowskiego, który przyjmował ją w dniu 6.04.1983 r. na dyżurze — na podstawie posiadanej dokumentacji i postępowania wyjaśniającego Dyrekcja Zespołu Opieki Zdrowotnej w Zgierzu nie stwierdza błędów w postępowaniu medycznym.

Ponadto fakt miał miejsce dnia 6.04., a nie jak pacjentka błędnie podaje 7.04.1983 r.

Na podstawie dokumentacji i postępowania wyjaśniającego stwierdza się, że lekarz dyżurny Z. Jankowski wydał pisemny wyrok swojej konsultacji, który pacjentka złożyła na ręce lekarza neurochirurga.

Dyrektor ZOZ w Zgierzu lek. JERZY PASIŃCZY

GDZIE PODZIAŁ SIĘ KUPON Z KOŃCÓWKĄ NUMERU BANDEROLI 8001

Zwracam się z następującą prośbą o pomoc w uzyskaniu wyjaśnienia. W dniu 30.12.1983 r. dowiedziałem się z programu telewizyjnego, że na nr banderoli w losowaniu sylwestrowym Totolotka są bardzo atrakcyjne nagrody rzeczowe. Chwyt reklamowy przyciąga, postanowiłem wysłać 20 kuponów, po 10 kuponów w różnych punktach. Logika wskazuje, że gdy wysię się 10 kuponów w jednym punkcie, jest większe prawdopodobieństwo uchwycenia w tym przedziale upragnionej wygranej. Piszę, bo takie „szczęście” mnie spotkało, gdy dowiedziałem się, że nr banderoli 5289800 jest główną wygraną. Po przyjeździe do domu postanowiłem sprawdzić kupony. Pierwszy, jaki miałem w ręce był 5289797, następny 5289803. Tu byłem już pewny, że jestem posiadaczem „Poloneza”. Była to główna wygrana. Niestety, kolejność nr banderoli miałem następującą: 5289795, 5289796, 5289797, 5289798, 5289799, 5289801, 5289802, 5289803, 5289804, 5289805. Dziwny zbieg okoliczności, gnie środkowy nr banderoli 5289800. Właśnie ten na który jest główna wygrana. Pierwszy, jak stwierdził dyrektor Totolotka, przypadek tego typu w totalizatorze sportowym. Zawsze, gdy wysyłam po 10 sztuk, kolejność się zgadza a w tym przypadku gdzie jest główna wygrana, nie zgadza się. Brakuje właśnie tej głównej wygranej. W dniu 20.01. 1984 r. było jubileuszowe losowanie Totolotka. Postanowiłem wysłać 10 kuponów, wyczekując przy kolekturze do końca blocka, aby uzyskać końcówkę w tym przypadku 300 i tak 2591299, 2591300, 2591301. Okazuje się, że jest to normalne. Postanowiłem też wysłać 10 kuponów po jednym w różnych punktach. Proszę przy tym kolektorów o następujące numery końcówek banderoli. Punkt numer 3/579 Katowice odmówił mi nr 800. Twierdzi, że musi być zachowana kolejność z uwagi na losowanie nagród rzeczowych. Punkt nr 3/578 Katowice prosiłem o 777. Odmówił. Punkt 3/588. Prosiłem o 555 — odmówił. Sprawdziłem w dziesiątkach punktów, wszędzie odmawiano mi tłumacząc, że nie wolno sobie wybierać numeru banderoli. Jak się okazuje, regulamin zna tylko dyrektor. Po prostu mnie oszukano. Żadam kolejnego brakującego mi kuponu 800 i głównej wygranej. Dyrektor okręgu katowickiego, Lucjan Fudala, poinformował mnie, że odbywa się losowanie kuponów, a nie numerów banderoli. Tak czy inaczej, gdybym miał kolejność łącznie z końcówką 800, tam figurowałoby moje nazwisko. Tłumaczył mi też tak bardzo jest skomplikowane losowanie tych kuponów z uwagi na kilka milionów sztuk. I tu kolejny zaskakujący przypadek. Okazuje się, że spośród tych milionów kuponów wlosowano w woj. katowickim 32 kuponów z końcówkami nr banderoli 800, 801, 701, 400, 400, 320? Zdumiewający przypadek.

Obawiam się, że gdyby trafil raz jeszcze, to zakwestionują mi z uwagi na kolor banderoli, że np. jest zielona a nie czerwona. Dlatego nie podaje się numeru kuponów, skoro mają znaczenie tylko numery końcówek banderol. W Węgierskiej Republice Ludowej udowodniono oszustwa w Totolotku. Należy dołączyć przyjrzyć się naszemu monopolście.

J. WOJTASZEK
(Sosnowiec)

P.S. List do Totalizatora Sportowego wysłałem 15. 01. 1984 r. Bez odpowiedzi.

Listopadowy wieczór, godzina 20, chłodno, zaciąg ostry wiatr. Ulica Gdańska idzie artysta malarz, nazwijmy go, Bazyli Ch. Idzie ostrożnie, bowiem jedna jego noga to proteza, więc musi bardzo uważać. Właśnie sprzedał obraz, niewielki co prawda, ale dobre i dziesięć tysięcy. Ulica Gdańska idą inni przechodnie. Nikt na nikogo nie zwraca uwagi, wszyscy wydają się być zajęci własnymi sprawami.

Do Bazyliego Ch. podchodzi nagle jakiś młody mężczyzna, może osiemnastoletni.

— Widzę, że ma pan trudności z chodzeniem — powiada. — Pomogę.

Artysta plastyk jest wdzięczny. W jego sytuacji każde potknięcie jest niebezpieczne.

Idą więc obok siebie i Bazyli Ch. czuje od razu sympatię do tego nieznajomego, a przecież dobrze wychowanego młodzieńca. Nawet w pewnej chwili konstataje, że opinie o znieczulicy panującej wśród młodzieży są przesadzone. Czasem jesteśmy zbyt surowi wobec błędów młodości — myśli — szczególnie my, starsi, którzy młodość górną i chmurną od dawna mamy za sobą.

Opierając się na pomocnym ramieniu młodzieńca, wcale nie zauważa dwóch innych, podążających tuż za nim.

Oto brama, w którą Bazyli Ch. musi wejść, by po przejściu ciemnego podwórka, wdrapać się na dość strome schody.

— Która godzina? — pyta nagle w bramie jeden z idących z tyłu.

Bazyli Ch. unosi lewą rękę do oczu i w tym momencie otrzymuje cios w tył głowy.

— Nie spodziewałem się tego po panach! — zdążył jeszcze krzyknąć, ale kolejny cios zamknął mu usta.

Kołowanie trwa krótko: najpierw ścigają Bazyliego Ch. kożuszek, potem zegarek, zabierają aktywkę z dokumentami, pieniądze z kieszeni. Potem przewracają na kamienie i zaczyna się flekowanie.

Jak długo trwa ten przerażający taniec? Artysta plastyk nie pamięta. Wie tylko, że ów młodzieniec, który go podtrzymywał idąc Gdańską, pomaga mu się podnieść, ponownie bierze go pod ramię i prowadzi przez podwórze, a potem na strome schody. Naciska przycisk dzwonka i pobitego, slaniającego się na nogach człowieka przekazuje rodzinie.

— To jeden z tych, co mnie tak urządzili — mówi Bazyli do żony. — Zatrzymaj go.

Ale młody człowiek kłania się i zbiega ze schodów.

Wezwany lekarz stwierdza u artysty plastyka Bazyliego Ch. rozległe stłuczenia twarzy, polamane żebra i obdita nerkę.

Tęczę z dokumentami przygodni przechodnie znaleźli na ulicy Nawrot i przynieśli właścicielowi.

ODSŁONA II

Ulica Tyburi, lato, godzina czwarta po południu. Dyrektor poważnego przedsiębiorstwa wraz z córką wracają po pracy do domu. To znaczy wraca dyrektor, bo córka jest uczennicą liceum i właśnie była „na zakupach”.

Ulica Tyburi, choć nie leży w centrum Łodzi, jest dość ruchliwa: stoją przy niej bloki mieszkalne, są sklepy, jest szkoła podstawowa, tędy kursuje autobus linii 65. Do tego jest czas szczytu komunikacyjnego, czas, kiedy większość ludzi po skończeniu pracy biegnie od sklepu do sklepu, by zaopatrzyć się w produkty, wpasć do ekwierni lub warzywniaka. Słowem ruch, przepychanka, a nawet tłok.

Do dyrektora zbliża się trójka młodych chłopców, nie więcej jak po 18-19 lat.

— Ale dupa! — mówi jeden. — Zerznąłbym i to zaraz.

Dyrektor się odwraca. Razi go takie słownictwo, do tego na ulicy, w miejscu publicznym.

— O niej mówię — wskazuje palcem młodzieniec. — Czego się pedale odwracasz?

Dyrektor w pierwszej chwili nie rozumie: może się przesyłał, a może te obraźliwe słowa są skierowane zupełnie do kogoś innego.

— Zauważ? — pyta drugi. — Sam pewnie nie możesz, a potrzymać to nie to samo, co dobrać.

— Przepraszam — mówi dyrektor poważnego przedsiębiorstwa. — O co panom chodzi?

— Patrzcie go, naiwniak się znalazł. O te eizę gardiujemy, poniał? No to zjeżdżaj i nie przeszkadź.

— Zaraz, zaraz — dyrektor czuje, że krew uderza mu do głowy, więc stara się opanować, nie zrobić jakiegos gupstwa. — Kto was tak nauczył się odzywać?

— Ciotka z wojska! — rechoczą.

Dyrektor spurpurowiał.

— Jak wam nie wstyd. Ta dziewczyna to moja córka.

Trzej młodzieńcy teraz ryczą, pokładają się ze śmiechu.

— Ależ nam to nie przeszkadza!

Potem, opowiadając o tym już na spokojnie, dyrektor nie pamięta, by dyskusja miała ciąg dalszy. Natomiast wyraźnie widzi wielką pieśń, która w ciągu sekundy spotężniała do rozmia- rów bokserkiej rekawicy i przysłoniła mu słońce. Upadł. Głowa uderzyła o płyty chodnika. Piersi przygniolił nieznosny ciężar. Nie, nie czuł uderzeń butami, dopiero, kiedy targnęło nogą, zawył jakby go polano roztopionym oliwem. Ból wypełnił mózg, świat zawisł w ciemności. Jeszcze przez chwilę słyszał krzyk córki, potem już nie nie pamięta.

Kiedy otworzył oczy, otaczał go tłum. Jacyś mężczyźni usiłowali go podnieść ale ponowny ból nogi przygwoździł go do chodnika.

Córka kłęczała obok i podkładała mu pod głowę siatkę z zakupami.

Pogotowie. Gips. Sześć tygodni zwolnienia, o ile dobrze się zrośnie.

Chciał ich szukać, zaciągnąć przed Temidę Ludową.

— Nie rób tego — błagała córka. — Zemsza się.

— Złamał mi nogę, pobili...
— Tak, kiedy leżałeś, zaczęli po tobie skakać.
— Tym bardziej muszą stanąć przed sądem, to bestialstwo.

— Kiedy tak skakali, jeden powiedział, abym ci przekazała, że jeśli ich kiedykolwiek rozpoznasz, to wtedy dopadną mnie. „Poprawimy ci zyletkami urodę” — powiedział, ten co cię uderzył pierwszy.

I dyrektor poważnego przedsiębiorstwa zaprzestał pielegnować myśl o zemście. Po prostu stara się przed wieczorem już być w domu, niepotrzebnie nie wychodzić na ulicę, zrezygnował z kina i teatru. Dla bezpieczeństwa córkę wysłał do innego miasta, by ukończyła liceum. I tak żyje.

ODSŁONA III

Żona pewnego emerytowanego nauczyciela historii, także nauczycielka na emeryturze, wyszła ze szpitala, gdzie miała usuwany guz z piersi. Operacja nie należała do łatwych, starsza pani leżała w szpitalu im. M. Kopernika przeszło miesiąc, w końcu uprosiła lekarzy, by ją zwolnili. Rana — argumentowała — co prawda jeszcze niezupełnie się zabiłiła, ale się goi, więc na opatrunki będzie przyjeżdżał dwa razy w tygodniu, za to co dzień będzie mogła porozmawiać z mężem, zając się zaległymi lekturami, podjąć przerwaną korepetycję dla kilku dziewczynek przygotowujących się na studia chemiczne.

EUGENIUSZ IWANICKI

W biały dzień

Nauczyciel emeryt przyjechał po tonę tak-sówką. Kierowca okazał się człowiekiem znanym z życia, więc jechał ostrożnie, unikając dziur i wybojów, hamował łagodnie.

Wysiedli na ulicy Tatrzańkiej, tuż obok swojego bloku.

— Dawno nie byłem w sklepie — powiedział nauczycielka.

— Jeśli czujesz się na siłach.

— To parę kroków. A gdybym się zmęczyła, odpocznę.

Jest właśnie lato, godzina trzecia po południu, ruch duży. Ludzie okupują stoiska, więc nie ma co pchać się, kiedy całe piersi są o-bandażowane, kiedy szew ledwo się zasklepił.

Staruszkowie, trzymając się pod ręce idą powoli. Nauczycielka raduje się słońcem, zielenią i bawiącymi się w piaskownicy dziećmi.

W ogródku jordanowskim staruszkowie postanawiają odpocząć. Ale ławki są zajęte.

— Tam usiądźmy — mówi nauczyciel.

Obok tych chłopców.

Podchodzą. Na ławce pośledzą dwaj młodzieńcy dobijający dwudziestki.

— Czy wolne? — pyta nauczycielka.

Młodzieńcy niechętnie unoszą głowy.

— Słucham! — odpowiada jeden.

Staruszkowie stoją bez ruchu. Nie rozumieją.

— No, co powiedziałem? — podnosi się młody człowiek i teraz widzi, że co najmniej o dwie głowy przewyższa nauczycielka. — Jazda!

Oboje staruszkowie wychowali kilka pokoleń. Oddali im swą wiedzę, czas i długie życie. Poświęcili się najtrudniejszej sprawie: edukacji narodowej. Teraz okazuje się, że nie mogą zrozumieć tych, których uczyli. Ktoś znowu ludzdom pomieszał języki.

— Nie baw się z tymi pierdzielami — mówi drugi i zerwawszy się z ławki, głową uderzył nauczycielkę w pierś. Trafił dobrze. Kobieta poczuła rozlewające się ciepło i straciła przytomność.

Kiedy ją odzyskała, leżała na szpitalnym łóżku, a przy niej siedziała pielęgniarka.

— Wreszcie! — ucieszyła się pielęgniarka. — Miała pani szczęście.

— Maż, gdzie mój maż?

— Czuję się znacznie lepiej. Operacja trwała trzy godziny, ale będzie żyć.

W wyniku pobicia nauczycielka doznała pęknięcia jeszcze nie zagojonego cicia po zabiegu operacyjnym na piersi. Przed innymi urazami uratowała ją utrata przytomności. Jej maż natomiast miał polamane żebra, które przebiły w kilku miejscach płuca i pęknięcie trzustki.

PO OPADNIĘCIU KURTINY

Rozboje stały się zdarzeniami codziennymi. Już nawet nie chce się czytać o nich wzmianek w gazetach. Wiadomo, że znowu kogoś okaleczono, poturbowano, zmaltretowano. Kiedyś nos

była sprzymierzeńcem złodziei i rozbójników, dziś każda pora dnia sprzyja przestępczym grupom. Posługują się pięściami, butami, nożami, nierzaz bronią. Czyżby była to, jak wiele nieuleczalnych chorób, choroba cywilizacji?

Poprosiłem o krótką charakterystykę rozbojów zastępcę prokuratora wojewódzkiego w Łodzi dr JACKA RZĄDKOWSKIEGO.

— Rozboje należy podzielić na pewne grupy, w zależności od okoliczności towarzyszących i stopnia brutalności. Po pierwsze: najgroźniejsze są te, w naszej oczywiście ocenie, które łączą się ze skutkiem śmiertelnym ofiary. Te rozboje są przez nas klasyfikowane jako zabójstwa na tle rabunkowym. W tych sprawach są takie sytuacje, że sprawca z premedytacją dokonuje zabójstwa, a następnie dokonuje rabunku przedmiotów będących własnością ofiary. Są również i takie przypadki, że sprawca zabija ofiarę wskutek tego, że stawia ona opór większy niż on przewidywał.

Tak przedstawia się, według naszej klasyfikacji, grupa rozbojów zaliczana do najgroźniejszych. Rozboje te z reguły szokują najbardziej opinię publiczną, która to opinia domaga się od organów ścigania szybkiej i bardzo surowej represji karnej.

Druga grupa rozbojów to są czyny zaplanowane, miejsce rozboju i ofiara są z góry upatrzone, często jest to poprzedzone nawet obserwacją trybu życia ofiary, przy czym sam napad rabunkowy dokonywany jest bądź przy użyciu groźby (noż, atrypa pistoletu), bądź za pomocą obezwładnienia ofiary (związanie, ogłuszenie itp.).

Trzecia grupa, najliczniejsza, dotyczy rozbojów w pewnym sensie przypadkowych, których ofiarami padają z reguły osoby nie-trzeźwe, nawiązujące przypadkowe kontakty (wciąganie do bramy, zabranie portfela, zegarka, kożucha itp.). W tej grupie rozbojów są również przypadki, że pokrzywdzeni nie meldują o tym milicji, obawiając się ujawnienia okoliczności, w jakich doszło do dokonania rozboju, przed członkami rodziny. Przypadki takie są nierzaz ujawniane w toku śledztw prowadzonych przeciwko sprawcom podejrzany o dokonanie innych rozbojów.

Wbrew potocznym opiniom, na terenie województwa miejskiego łódzkiego, nastąpił spadek ilości wszczętych postępowań — w roku ubiegłym — o całe 7 procent. Podniosła się również wykrywalność o ponad 10 procent. Wynika to z lepszej penetracji przez organa milicji środowisk przestępczych, przeprowadzania wielu akcji o zasięgu ogólnopolskim mających na celu ujawnianie, między innymi, sprawców tego rodzaju przestępstw. Służą temu również szersze korzystanie ze zdobyczy kryminalistyki i niejednokrotnie pozornie niewidoczne ślady pozostawione na miejscu przestępstwa pozwoliły na ustalenie sprawców.

Kim są sprawcy? W przeważającej części są to ludzie o wysokim stopniu demoralizacji, najczęściej uprzednio karani i nie pracujący, niemal w stu procentach w mniejszym czy większym stopniu uzależnieni od alkoholu. Zarówno zrabowane przedmioty jak i pieniądze, waluta obca są przeznaczane z reguły na zakup alkoholu. Często właśnie brak środków na zakup alkoholu jest tym czynnikiem, który determinuje postępowanie sprawcy rozboju. Nas, jako prokuratorów, niepokoi stosunkowo młody wiek sprawców: średnia wieku nie przekracza 30 lat. A zdarzają się przypadki, że sprawcami rozbojów są dzieci uczęszczające do szkół. Świadczy to o niedostatecznym nadzorze ze strony rodziców, jak też o niewywiązywaniu się szkoły w pełni ze swoich obowiązków wychowawczych.

Okazją do dokonywania rozbojów są różnego rodzaju dyskoteki, imprezy muzyczne zespołów młodzieżowych itp.

Czasem opinia publiczna wyraża pogląd, że represja karna wobec sprawcy jest zbyt łagodna. Nie jest to prawda. Z reguły jest bowiem stosowany w stosunku do sprawców rozbojów najpierw areszt tymczasowy, a później wnioskowanie przed sądem surowych kar pozbawienia wolności. Rozbój jest traktowany przez prawo jako zbrodnia, a zatem najniższa wymierzona kara może wynosić trzy lata pozbawienia wolności. W przypadku dokonania rozboju przy użyciu broni palnej albo innego niebezpiecznego narzędzia, może być wymierzona kara 25 lat pozbawienia wolności, a nawet kara śmierci. W przypadkach szczególnie drastycznych, zwłaszcza połączonych z zabójstwem, prokuratorzy wnioskują wymierzanie takich właśnie kar.

POST SCRIPTUM

Tyle zastępcę prokuratora wojewódzkiego w Łodzi. Nasze prawo jest precyzyjne i nie pobi-
ża. Ale prawo, to jedynie zbiór pewnych za-
piś. Na ulicach ludzie nie chodzą z kodeksem
karnym pod pachą. Chodzą natomiast wszelkiej
maści szumowiny, zdegenerowani osobnicy albo
dorastający młodziankowie zazdroścący sławy
mojowej legendarnym kasiarzom, rozpru-
waczom czy gaz-rurkom. Prawo, nawet najbardziej
precyzyjne, nie zapobiegnie rozbojom. W mojej
dzielnicy — Zubard — jeszcze parę lat temu
można było spotkać milicjanta nawet na naj-
bardziej oddalonych ulicach. Przynajmniej poja-
wiał się raz na tydzień. A dziś? Czasem wi-
duję przy głównych arteriach przelotowych
chłopców z drogówki. I tyle. Dodajmy do tego
niedostateczne oświetlenie ulic, ciemne klatki
schodowe, sporo jeszcze starych podwórek ob-
stawionych komórkami — a obraz nocnej Łodzi
będzie pełny. Kto odważy się wieczorem wyjść
z domu? Piszący te słowa wie coś o tym, bo
sam drżącymi rękami podawał portfel dwom
panom, prosząc ich w duchu, by nie zechcieli go
sflekwować czy pomacać nożem. Właśnie na
tychże Zubardzi, niemal w biały dzień.

Kapela

— Gramy wtedy, jak nie ma „starej” w do-
mu — Maciek odkłada gitarę i ociera pot z czo-
ła.

— No, jak było — pyta z dumą w głosie. —
To jeszcze nie był full. Zobaczysz, jak przyjdzie
„Polo”...

Najmniejszy pokój w parterowym domu z og-
ródkiem. Studio nagrań, sala prób, dyskoteka.
Wszystko na dwunastu kwadratowych metrach
parkietu. Standardowe meble „robą” tymczasem
za estradę. Nim wrócą „starej”, pokój znowu
przeistoczy się w uczniowski kąci. Książki, ze-
szyty, tenisowa rakietka i gitara — zawieszona na
ścianie.

— Nazywamy się „Reakcja Jądrowa”. To ja wy-
myśliłem. Przedtem nazywaliśmy się „Porsche
Carrera”.

Maciek. Rocznik 1966. Założyciel, lider i gitarzy-
sta zespołu. W „cywilu” — uczeń technikum.

— Gramy już dwa miesiące. Najpierw u mnie,
ale przychodzili sąsiedzi, straszliwej milicji. Teraz
tutaj — u Pawła. Do czwartego możemy „kato-
wać” nawet codziennie. Tylko trzeba wynieść z
pokoju kanarkę.

— Mam dwie gitary, trzy mikrofony, dwa
wzmacniacze i kolumny. Będzie jeszcze harmonij-
ka. To na razie starczy.

— Najlepsza kapela to TSA... i MECH. — Żeby
mieć taki sprzęt jak oni... — Maciek patrzy z
żalem na swojego „Orlika”.

— Franek Kinnono też jest dobry. On wcale nie
kpi. Jakby kpił, to nie byłby na liście przebojów.
— Latem byłem w Jarocinie. Tam były cuda.
Od rana do nocy koncerty. Takie „Rockowsko”
to nie „umywa się” przy Jarocinie!

Paweł. Rocznik 1967. Gospodarz lokalu. Trochę
gra na gitarze. W zespole było dla niego miej-
sce perkusisty. Przyjął. Jest uczniem szkoły za-
sadniczej.

— Gramy różne „kawałki”. To co LOMBARD,
TSA, ŚMIERĆ KLINICZNA. Swoje mamy na ra-
zie dwa teksty. Będziemy mieć więcej, to nie
trudnego. — Paweł z przekonaniem wzrusza ra-
mionami. — Muzykę też sami robimy.

— Kaska, zaśpiewaj te wczorajsze „kawałki”.

Kaska. Rocznik 1967. Wokalistka grupy. Na ra-
zie nie uczy się. W liceum „jakoś jej „nie po-
szło”. Marzy o karierze. Uwielbia Kore.

Trzask podłączanych instrumentów i mikrofo-
nów. Zaczyna Maciek — solo. Teraz Paweł, po-
tem Kaska. Trzyma mikrofon blisko ust. Potrzą-
sa głową. Fikusznie ostrzyżone i wymodelowane
włosy, w uchu srebrny wisior.

Kapela gra, Kaska śpiewa.

Żadne brednie, żadne wije

Bomby, napalm, telewizję...

— Ja tak nie mogę — dziewczyna jest podia-
mana.

Tutaj coś gwizdże w kolumnach. I za głośno
ta gitara — nerwowo odkłada mikrofon. — Bez
Rafała nie damy rady!

Czekamy na drugiego gitarzystę. Spóźnia się.
Maciek niecierpliwie przebiega palcami struny
odłączonej gitary. Wyjmują paczkę „Klubow-
ych”.

Wchodzi, a raczej wbiega Rafał. Zrzuca kurtkę
i na progu zdejmuje buty. Stoi! Dalej tylko w
skarpetkach, albo w bamboszach, jak Paweł.

— Nie mogłem wcześniej. Olejęc miał ekstra za-
mówienie.

„Rafał albo „Polo”. Rocznik 1966. Manager, a
właściwie kasjer zespołu. Gitarzysta. Pracuje w
warsztacie ojca.

Gadałem z Kiweckim, no... z tym, co jeżdży
„Passatem”. Chce nas posłuchać. Jak „chwycimy”,
to zagramy na dyskotekę, za dwa tygodnie...
— O rany! — Nie zdąży uszyć sukienki — wykrzy-
kuje Kaska, z przerażeniem i zachwytem w gło-
sie.

— No dobra, zaczynamy. Mam jeszcze godzi-
nę.

Władysław. Rocznik 1928. Ślusarz.

— To jest wycie. Gdzie pan tu widzi muzykę?
Nawet do tramwaju tacy wsiadają — wymala-
wani, wytaplowani... Ze też w szkole na to po-
zwalała? — Chłopaki, młode chłopaki, a wygła-
dają jak dzikusy. To trzeba zagonić do wojska,
do pracy.

Barbara. Rocznik 1947. Nauczycielka.

— Ja kch chyba rozumiem. No, może nie wszy-
stkich. Przecież my też dorastaliśmy w atmosfe-
rze big-beatu. Pamiętam jakie „wojny” toczyli-
śmy z rodzicami i w szkole, o prawo do noszenia
dżinsów i skarpetek w kolorowe paski. Chłopcy
walczyli wtedy o długie włosy.

Młodzież musi dać upust swojej energii, swoim
emocjom. Musi się „wyzumieć”. Oni mają swoich
idoli, naśladują ich, ale i wzbogacają siebie. My-
śle, że niektóre teksty piosenek są bardzo warto-
ściowe. Młodzież uczy się ich niezwykle szybko,
szybciej niż wierszy w szkole. Znają też teksty w
obcych językach. To dobrze.

Boje się, że gdyby zabroniono im muzyki, to
byłoby jeszcze gorzej. Narkomania, może alkohol-
izm, rozboje.

Zbigniew. Rocznik 1959. Plastyk.

— Obecność muzyki młodzieżowej jest pewnym
świadectwem swobody i tolerancji. Ta muzyka
stanowi ośskoczenie od rzeczywistości. W naszym
kraju jest to szczególnie widoczne. Były czasy,
gdy spontanicznej muzyki u nas nie było, albo
gdw była bardzo, bardzo. Zapowiada się, że przy-
dą gorze czasy.

Sila muzyki jest jej zasięg różnorodność. Mu-
zyka młodzieżowa nie może być robiona „pod li-
nikę”. Teksty piosenek muszą być autentyczne,
muszą pochodzić od młodych ludzi — to ważne.

Tak samo ważny jak muzyka jest styl życia,
który jej towarzyszy — sposób zachowywania się.
Nie sadzę, żeby komukolwiek przeszkadzało to,
że młodzi mają takie, a nie inne ubiory, fryzury
czy agraftki wpięte w polki. Oni nie są agre-
sywni. A jeśli już, to świadczą o swej słabości,
o niezrozumieniu tematu. Nie jest ważne czy w
ten sposób wykształca się dobry smak muzyczny.
Nie trzeba przecieć od razu słuchać Mozarta.
Nasza kultura muzyczna stopniowo wkracza na
inne, wyższe poziomy. Myśmy słuchali zespołu
SLADE, a dziś nie gardzimy muzyką poważną.

Oni mają LADY PANK. Ten zespół jest ich
własnością. Przy jego muzyce czują się dobrze.
Czasem jednak nie zdają sobie sprawy, że muzy-
ki tej może zabraknąć...

Piotr. Rocznik 1972. Uczeń.

— Pewnie, że będzie chodził na koncerty. Znam
zespoły REPUBLIKA, LOMBARD, COMBI, PER-
FECT, LADY PANK, RSC.

Chciałbym kiedyś zagrać w takim zespole.

ROMAN KUBIAK

PS.
Nie będzie chyba występu na dyskotekę i kon-
certu w Jarocinie. Kapela zawiesza swą działal-
ność z powodu braku lokalu i przymusowej ab-
sencji perkusisty.

Matka Piotra, po wizycie w szkole, kategorycz-
nie zakazała synowi dalszych prób muzykowa-
nia.

To nie jest par-doks, to jest arabska wersja teodycei — mówi politolog Robert Tucker z Waszyngtonu, odpowiadając na moją uwagę. Twierdzi mianowicie, że rozmowy z Arabami na temat kwestii palestyńskiej przebiegają zwykle następująco: Arabowie upatrują w Ameryce źródło wszelkiego zła, ponieważ umożliwiła ona istnienie i ekspansję Izraela, ale jednocześnie jedynie źródło możliwości dobra, ponieważ jej nacisk na Izrael mógłby spowodować zwrot chociaż części Palestyny. Teodycei, to szukanie odpowiedzi na pytanie, jak wszechpotęga Boga daje się pogodzić z istnieniem zła. Wszechpotęga Arabów — oczekują Arabowie — musi dokonać tego, czego oni o własnych siłach dokonać nie mogą.

Taki sposób myślenia opiera się na przypuszczeniu, że rząd amerykański mógłby, gdyby chciał, ale nie chce, przez wzgląd na żydowskie lobby, czy też z obawy przed nim. Jest to ogromna pomyłka, wynikająca z niezrozumienia amerykańskich stosunków. Powiązania Ameryki z Izraelem są przedzoną w ciągu 35 lat tkaniną interesów i moralności, wyrachowania i uczucia, wiary i religii, skłonności i niechęci, polityki zagranicznej i wewnętrznej.

PAKT ETNICZNY

Philipp Stoddard, politolog z „Middle East Institute” w Waszyngtonie, mówi o „pakcie etnicznym”. Do początku XX stulecia pakt ten obejmował jedynie Żydów, anglosaskich protestantów (WASP-ów) i ewentualnie protestantów niemieckich oraz skandynawskich. „To przeżywałem jeszcze jako dziecko” — podkreśla profesor. Stopniowo pakt rozszerzał się na irlandzkich katolików, Włochów, wschodnich Europejczyków, Żydów i wreszcie Murzynów. Arabowie pozostają poza „paktem etnicznym”, są w Ameryce jak najełbieńscy obcy, podlegają dyskryminacji, są przedmiotem kpín i złośliwych dowcipów. W telewizji, w filmie, w komiksach, w grach towarzyskich, w książkach są niemal zawsze przedstawiani albo jako wrogielne zła, albo figury groteskowe.

James Zogby — Amerykanin pochodzenia libańskiego, młody dyrektor arabsko-amerykańskiego komitetu antydyskryminacyjnego, opowiada o swoim 10-letnim synu, który wrócił ze szkolnego bału maskowego z płaczem: ośmiu przebranych za Arabów kolegów z klasy, z wielkimi przepięknymi nosami, workami złota i kanistrami na ropę naftową, napadło na niego krzycząc: „pastuch wielbłądów, negr pustyni, wszawy Libańczyk!”

Amerykanie traktują Bliski Wschód w kategoriach „my i oni”. Do pojęcia „my” włączają się wszyscy Izraelczycy. Po naftowym szoku sprzed 10 lat można było usłyszeć słowa: „Może nie lubimy Saudyjczyków, ale potrzebujemy ich”. To nastawienie dawną już wyparowało wszędzie, może z wyjątkiem Waszyngtonu. Nie tylko wyparowało, ale stało się pożywką dla nowych antyarabskich uprzedzeń. Arabowie są dla Amerykanów obcy etnicznie i kulturowo, a przede wszystkim religijnie. Islam jest dla nich dziwna, niezrozumiała, a nawet wroga wiara.

Z Izraelem natomiast łączy Amerykanów wspólnota kulturowa i wspólne, żydowsko-chrześcijańskie dziedzictwo. Badania ankietowe i rozmowy wskazują, że ogromną większość Amerykanów uważa Izrael za jedyne państwo na Bliskim Wschodzie, holdujące ideałom demokracji i wolności.

W ciągu ostatnich 15 lat polityczne poparcie dla Izraela wśród Amerykanów przesunęło się stopniowo z lewicy na prawo. Do najbardziej zagorzałych zwolenników rządu Izraela należą od czasu sześciomiesięcznej wojny z roku 1967, ewangelicy fundamentaliści, mieszkający w tzw. biblijnym paśmie południa, kiedyś najbardziej antysemityczny ze wszystkich protestantów. Ewangeliccy wierzą, że utworzenie silnego państwa żydowskiego w Palestynie zapowiada drugie przyjście Chrystusa, widzą w tym fakcie potwierdzenie słów proroków. Arabowie są dla nich „wrogami Boga”. Wraz z renesansem konserwatywno-fundamentalistycznym niektórzy naukowcy szacują ich liczbę na około 80 milionów

— zyskali poważne wpływy polityczne.

„Kto należy do paktu etnicznego” — mówi profesor Stoddard — ten może zmobilizować dla swojej sprawy wiele sympatii również wśród innych grup etnicznych. Istnienie Izraela i jego bezpieczeństwo, to polityczna kopalnia złota”.

ŻYDOWSKIE LOBBY CZY ŻYDOWSKIE WPŁYWY

Prostackie i niebezpieczne jest jednak chętnie stosowane przez antysemitów uproszczenie, według którego szerokie poparcie, jakim cieszy się w Ameryce Izrael, należy przypisać spiskowemu działaniu żydowskich mocodawców i bankierów. „Nazywanie żydowskiego lobby — lobby, wprowadza w błąd” — mówi Normann Podhoretz, wydawca czasopisma COMMENTARY, gwiazda neokonserwatywna. „Chodzi o żydowskie wpływy”.

Liberalny historyk, Arthur Hertzberg, w następujący sposób opisuje te wpływy: „Żydzi stanowią dwa i pół procent ludności USA i wykazują dziesięć procent aktywności. Stanowią 20 do 30 proc. wykładowców na najlepszych wyższych uczelniach — w Harvardzie jedną trzecią — we wszystkich dziedzinach poza budową maszyn; są licznie reprezentowani wśród

dzi, którzy popierali Izrael jako ojczyznę dla innych Żydów, ale nie dla siebie”.

David Sadd twierdzi, że organizacje żydowskie reprezentują tylko radykalną mniejszość, nie zaś większość amerykańskich Żydów. Lewicowi Żydzi w pełni zgadzają się z tym poglądem, liberalni zgadzają się, ale z pewnymi zastrzeżeniami.

Ważne organizacje żydowskie opiewane są przez establishment — względnie małą grupę z wyższej i średniej klasy, która czuje się ściśle związana z polityką Izraela i zobowiązana wobec tej polityki. Każde odchylenie zaobserwowane w gminie żydowskiej w USA jest przez tę gminę atakowane, zwalczone i jeśli to możliwe — przydużane. „Wielu amerykańskich Żydów nie zgadza się z polityką Izraela — pisze Roberta Strauss-Feuerlicht — ale ich opinie są tłumione przez cenzurę gminy”. Cytuje przy tym przykłady jeszcze sprzed rządów Begin.

Żydowskie stowarzyszenia są znakomicie zorganizowane, mają doświadczenie i możliwości skutecznego przedstawiania swoich życzeń w środkach masowego przekazu, w Kongresie, w walce wyborczej. Demokracja amerykańska jest komercyjna, polityka podlega marketingowi, polityk chce wiedzieć, czego pragnie jego publiczność i stara się ofiarować jej to, co się dobrze sprzedaje. Wybory robi się za pomocą telewizji i wygrywa

go” jako totumfackiego Arabów. Amerykański polityk, który bierze pieniądze od Arabów, jest „skończony” — mówi Zogby.

Takie metody nie są specjalnością organizacji żydowskich, są one częścią składową polityki amerykańskiej, w której walczą się bez białych rękawiczek. Kraje arabskie są podobne do bokserów, występujących w Ameryce bez trenerów i impresariów. Nie mają żadnej politycznej bazy, porównywalnej z bazą Izraela. „Poza tym Arabowie nie rozumieją Stanów Zjednoczonych, nie mają pojęcia, jak tu się robi politykę” — podkreśla Sadd. Od szoku naftowego z roku 1973 po świecie krąży wieści, że Arabowie mogliby za pomocą swoich ogromnych inwestycji na Zachodzie — nikt nie wie nawet w przybliżeniu, jak jest ich wkład, bankierzy szacują go na kilkaset miliardów dolarów — zniszczyć cały system finansowy i samymi tylko groźbami szantażować rządy. Przeciwno temu przemawia ich własny interes, a także techniczna niemożliwość przeprowadzenia tego rodzaju operacji. „Kto miałby odkupić od Saudyjczyków amerykańskie papiery wartościowe za 60 miliardów dolarów?” — pyta kpiąco jeden z finansowych ekspertów.

Istnieje oczywiście potężne lobby arabskie: są to wielkie amerykańskie koncerny naftowe, przedsiębiorstwa budow-

ke” — mówi Wolf Blitzer, waszyngtoński korespondent krytyczny wobec rządu izraelskiego JERUSALEM POST. Podobnie jak organizacje żydowskie, Blitzer wymienia na pierwszym planie ważną geostrategiczną rolę Izraela w starciu ze Związkiem Radzieckim i cytuje słowa amerykańskiego podsekretarza stanu, Fagleburgera, który oświadczył na forum Kongresu, że wojska amerykańskie w Europie pochłaniają rocznie 50 do 80 mld dolarów, zaś na Bliskim Wschodzie — 30 mld. „Na Bliskim Wschodzie my wypełniamy front — stwierdza Blitzer. Amerykanie nie muszą utrzymywać tam żadnych jednostek. My możemy zmobilizować 400 tys. ludzi w ciągu 72 godzin”.

Gdy patrząc na sprawę w takim kontekście, 2,6 mld dolarów pomocy gospodarczej USA dla Izraela w roku 1983 jest bagatelką. Kwalifikacje Izraela jako wojskowego sojusznika, korzyści, jakie ciągnie Pentagon z izraelskich doświadczeń i informacji — wszystko to jest traktowane z wielką uwagą w pracach żydowskiego lobby i wywiera wpływ na decyzje rządu i Kongresu.

Arabowie natomiast uchodzą za ludzi, na których nie można polegać i za ludzi pozbawionych realizmu. Demokraci i republikańscy, naukowcy liberalni i konserwatywni, są na równi rozczarowani faktem, że

leśtyny, kto zagwarantuje, że później nie będą oni żądać, aby USA zaprzęstały pomocy dla Izraela i zmusiły go do opuszczenia dalszych połaci ziemi. Nie ma dziś alternatywy dla uznania Izraela przez Arabów z własnej woli.

Hertzberg — krytyk rządów Begin, człowiek ustępstw i kompromisów, ostrzegający przed aneksją Zachodniego Brzegu — jest cierniem w oku konserwatystów i neokonserwatystów, nadających dziś ton. Podhoretz mówi: „Był moim przyjacielem” i podkreśla czas przeszły tej przyjaźni. Mówi też: „Poparcie dla Izraela w Europie maleje w takim samym stopniu, w jakim maleje wola utwierdzenia się Europejczyków i ich wola obrony naszej cywilizacji przed śmiertelnym wrogiem — Związkiem Radzieckim. Nie twierdzą, że jest tu związek przyczynowy, ale jest to symptom”.

Podhoretz jest jednym z ideologów panującego dziś w Waszyngtonie poglądu manichejskiego, dzielącego świat na dobrą Amerykę, złą Rosję i niedorajdy pośrodku. Hertzberg odrzuca twarde ten manicheizm i uważa za niezwykle niebezpieczne to, że Izrael zostaje wciągnięty do gry. Jego zdaniem, Izrael powinien pozostawać w świecie „pełnym szarych stref i niejasności”.

Na Bliskim Wschodzie polityka jest obciążona ideologią, co czyni ją nieelastyczną, pozostawia niewiele miejsca dla rozsądku i umiarkowania, zmniejszając skalę rozwiązań możliwych do osiągnięcia.

„Dopóki Arabowie wierzą we wszechpotęgę Ameryki, nie jest źle — mówi pewien były doradca prezydenta Cartera — ale co się stanie, jeśli stracą tę wiarę? Czy zwrócą się w kierunku Rosjan, czy eksplodują?” W polityce nie ma żadnej teodycei. Izraelczycy budują swą politykę na tym, że Amerykanie będą zawsze ich popierać, niezależnie od pewnych zakłóceń. W najbliższych latach prawdopodobnie na to się zanosi, ale na dalszą metę? Starzy sojusznicy Izraela, liberalowie, lewicowcy, Murzyni, częściowo się od niego odwrócili, nowi sojusznicy — fundamentaliści, konserwatyści — są proizraelscy, ale w żadnym wypadku nie są filosemitami.

Amerykańskie interesy gospodarcze mogą przeciwko którymś dniom zacząć kolidować z lojalnością wobec Izraela. Na tym buduje arabskie lobby, zaś niektórzy pragną zmobilizować antysemityzm. Inni, jak David Sadd, mówią: „Jesteśmy szantażowani przez Izrael, nasz handel z krajami arabskimi byłby winnej sytuacji znacznie większy”. Ostatnio słyszy się także takie głosy: „Dlaczego co roku udzielamy każdej izraelskiej rodzinie pomocy w kwocie 400 dolarów, zmniejszając jednocześnie wydatki na cele społeczne w USA? Badania ankietowe ludności amerykańskiej pochodzenia żydowskiego, prowadzone w roku 1981 wykazały, że zdaniem 31 proc. respondentów „Żydzi mają w USA za dużą władzę”, zaś zdaniem 48 proc. „Żydzi są bardziej lojalni wobec Izraela, niż wobec Ameryki”. Zarzut podwójnej lojalności i zbyt wielkiej władzy dotyka niezwykle wrażliwego punktu. Richard Reeves („The American Journey”) cytuje słowa żydowskiego socjologa, Leonarda Feina: „Jesteśmy skłonni milczeć (na temat swoich nieproporcjonalnie dużych wpływów) i żywić nadzieję, że nikt tego nie zauważy”. Mniejszość spośród amerykańskich Żydów, która z różnorodnych powodów potępia politykę Izraela, może w wypadku kolizji interesów obu krajów pewnego dnia przekształcić się w większość.

Arabowie przenoszą rolę żydowskiego lobby, nie rozumiejąc sieci amerykańsko-izraelskich stosunków. Izraelczycy zaś stale obciążają tę sieć i czasem ją nadrywają. Zarówno pomyłka jednych, jak i błąd drugich mogą okazać się fatalne w skutkach.

THOMAS ROSS („Die Zeit”)

Arabski Dawid i żydowski Goliat w USA

asystentów i administracji państwowej, stanowią kadry mężczyzn i kobiet, na których kongresmeni są coraz bardziej zdani w swej pracy. Żydzi posiadają lub kontrolują ogólnonarodowe gazety — poza CHRISTIAN SCIENCE MONITOR — i trzy koncerty telewizyjne, odgrywają wielką rolę w literaturze i filmie. Są silni we wszystkich miejscach, gdzie kształtuje się opinia i przygotowuje polityczne decyzje”.

Podhoretz, namiętny syjonista, który w krytyce pod adresem Izraela zawsze wchodził antysemityzm, uważa, że wpływy Żydów w ważnych środkach przekazu „są raczej niekorzystne dla Izraela, ponieważ wielu ludzi zachowuje się bardzo wstrętnie, by nie być oskarżonymi o śianie uprzedzeń wobec Arabów”.

Inaczej patrzy na sprawę David Sadd, dyrektor stowarzyszenia pn. „National Association of Arab Americans”. 98 proc. Amerykanów nie ma pojęcia o świecie i polityce zagranicznej, ich polityczna postawa jest determinowana przez telewizję i w znacznie większym stopniu, niż postawa Europejczyków.

Jeśli wpływ amerykańskich Żydów na politykę USA — chociaż znacznie mniejszy, niż twierdzą Arabowie — jest jednak nieproporcjonalnie duży w stosunku do ich liczby, to jest wynikiem politycznego zaangażowania i temperamentu, znacznie większego niż innych grup etnicznych. Już w XIX wieku, wraz z pierwszą falą imigracyjną, temperament Żydów zmanifestował się silnie w ruchu robotniczym, w pracy nad reformami socjalnymi i w ponadprzeciętnym udziale w wyborach. Grupy żydowskie były wówczas zorientowane przeważnie lewicowo, bądź liberalnie. Zwrot na pewno zaznaczył się w późnych latach 60 i wczesnych 70. Jest on ściśle związany z Izraelem i rozwojem sytuacji na Bliskim Wschodzie.

„Izrael jest Ewangelią, jest praktykowaną religią amerykańskich Żydów” — mówi z lekką ironią Arthur Hertzberg. Nie zawsze tak było. Przed I wojną światową organizacje syjonistyczne w Ameryce liczyły niespełna 12 tysięcy ludzi. W roku 1945 jednak „zaślada sprawiła, że syjonizm stał się jedynym ruchem jednoczącym amerykańskich Żydów” — pisze Roberta Strauss-Feuerlicht w pracy pt. „Los Żydów”. Powstała swoista klasa siedzących na wygodnych fotelach syjonistów z książeczkami czekowymi. Byli to Ży-

się za jej pomocą; do tego, by zostać wybranym potrzeba dziś znacznie więcej pieniędzy, niż jeszcze przed kilku laty. Reklama, badania opinii publicznej, sprzętione zwrotnie między opinią publiczną a finansowaniem kampanii — wszystko jest ściśle ze sobą stopione. Bogate gminy żydowskie zaliczają się do największych dawców pieniędzy.

ARABOWIE SĄ SŁABO ZE SOBĄ ZWIĄZANI

Polityka jest w Ameryce domeną konkurencji, podobnie jak gospodarka, czy sport; jest domeną konkurencji znacznie silniejszej niż w innych demokracjach. „Arabowie mają co prawda mnóstwo pieniędzy — mówi profesor Stoddard — ale nie wiedzą, jakie są reguły gry. Płaczą i lamentują, to jednak nic nie zmienia”. Ci, którzy zorientowali się najwcześniej — arabscy Amerykanie — dopiero w ostatnich latach zaczęli się organizować. Robią to „powoli i bez wielkiego zachwyty” — stwierdza David Sadd. „Ich powiązania ze sprawą arabską są nowe i płytkie” — podkreśla Stoddard.

W politycznej grze organizacje arabskie zachowują się wobec organizacji żydowskich jak Dawid wobec Goliata i to Dawid bez pracy. Tak będzie jeszcze długo. Stosunki arabskich Amerykanów z krajami arabskimi są znacznie słabsze niż stosunki amerykańskich Żydów z Izraelem, Arabowie są między sobą niejednorodni, ich sympatie są podzielone, jedni popierają libańskich falangistów, inni OWP, jeszcze inni są neutralni. Spośród około dwóch milionów Amerykanów pochodzenia arabskiego, ponad 80 proc. pochodzi z Libanu, ponad 80 proc. jest chrześcijanami (chrześcijanie stanowią też większość z ok. 100 tysięcy Palestyńczyków w USA). Poza tym boją się dyskryminacji, jeśli otwarcie przyznają się do swego pochodzenia. „Od roku 1948, od utworzenia Izraela, Żydzi z powodzeniem oczerniali Arabów i doprowadzili do ich lekceważenia — twierdzi David Sadd. James Zogby przypomina sprawę Georgea Coruya, który w roku 1978 kandydował na senatora w okręgu położonym na północ od San Francisco. Zajął miejsce czołową pozycję wśród kandydatów, dopóki nie rozpoczęto wielkiej kampanii prasowej i telewizyjnej, za którą kryły się organizacje żydowskie. Kampania „położyła

lane, instytucje finansowe, robiące interesy na zlecenie i w imieniu Bliskiego Wschodu, firmy adwokackie i poszczególne adwokaci, reprezentujący arabskich, bądź amerykańskich klientów na Bliskim Wschodzie. Przedstawiciele bliskowschodnich interesów dotychczas jeszcze nie mieli powodów do wchodzenia w kolizję z polityką bliskowschodnią” rządu, ale obserwowani są przez organizacje żydowskie z uwagą i niechęcią z niepokojem. „Szacują proarabskich lobbistów w Waszyngtonie na około 200 osób — oficjalnych i zarejestrowanych. Osobiście znam co najmniej kilkunastu” — mówi Norman Podhoretz i wymienia znane nazwiska. Do proarabskiego lobby zalicza też różne agencje reklamowe, kilkanaście instytutów bliskowschodnich i finansowane przez Arabów katedry uniwersyteckie.

STOSUNKI AMERYKAŃSKO-IZRAELSKIE

W ciągu 35 lat swojej historii stosunki amerykańsko-izraelskie zmieniły się i jednocześnie zmieniły strukturę. Powstanie państwa Izrael było dla nieżydowskiej ludności USA raczej obojętne: jedna trzecia była za jego utworzenie, jedna trzecia — przeciwko, jedna trzecia nie interesowała się tą sprawą. Dziś istnienie i bezpieczeństwo Izraela są częścią amerykańskiego „credo”. W roku 1948 głosy żydowskie (63 proc. skoncentrowanych w trzech stanach z największą liczbą wyborczych głosów) były prawdopodobnie rozstrzygające dla decyzji Trumanu w sprawie uznania Izraela. Dziś inne czynniki mają priorytet w całej sieci powiązań. Izrael rozwinął się z zagrożonego, małego państewka, w wojskową potęgę hegemonialną w rejonie bliskowschodnim. „Bliski Wschód jest, po scenie europejskiej, najważniejszym regionem dla Ameryki, ponieważ konfrontacja ze Związkiem Radzieckim nigdzie indziej nie jest tak namacalna i tak groźna” — mówi profesor Stoddard. Dopiero na drugim planie znajduje się ropa naftowa.

Arabowie pytają często, dlaczego „Reagan nie może być drugim Eisenhowerem”. Eisenhower zmusił w roku 1957 Izrael do wycofania się z Syonaj bez najmniejszych ustępstw ze strony egipskiej. „Wtedy byłymy małym państwem, poza tym był błąd, z którego wyciągnęliśmy nau-

żaden rząd arabski nie zaakceptował w sposób jednoznaczny planu Reagana z 1 września 1982 roku, że ani król Jordani Husajn, ani inni arabscy sojusznicy nie umieli dokonać przełomu i zacząć rokować z Izraelem, zamiast nadal stawiać maksymalistyczne żądania. Czy takie poglądy są słuszne, czy też nie — to inna sprawa. Faktem jest, że oddają one podstawowe nastroje. Ani jeden rząd arabski nie jest stabilny i twierdzi dalej — ani jeden nie jest popularny, ani jeden nie uzyskał legitymacji w drodze wolnych wyborów. Narastająca niechęć do Arabów, widoczna w ostatnich badaniach opinii publicznej, jest jednocześnie korzystna dla Izraela.

Jeden Arab służy jednak Amerykanom za wzór: Anwar Sadat. „Tylko jeden raz istniały rzeczywiste naciśki na Izrael — mówi Kenneth Jacobson z Antyoszczerzej Ligi organizacji B'nai Brith — gdy przyjechał Sadat i zgłosił gotowość do rokowań bez warunków wstępnych. Również amerykańscy Żydzi byli pod jego wrażeniem”.

CZY ZAMORDOWANO BY SADATA...!

Czy jednak zamordowano by Sadata, gdyby nie zawarł pokoju z Izraelem? „Pytałem moich arabskich przyjaciół — mówi Hertzberg — dlaczego nie głoszą publicznie tego, co stwierdzają prywatnie: że Izrael ma prawo do życia. Wszyscy odpowiadali, że wówczas zastrzelono by ich”.

„Zaden rząd arabski nie odważył się zasiać z Izraelem przy jednym stole, by rokować o podziale Palestyny — ciągnie dalej Hertzberg. — To jest punkt, w którym cofają się także umiarkowani Arabowie; to samo dotyczy odpowiedzialności za uznanie Izraela. Chciał, żeby Ameryka wymusiła na nich uznanie”. Można porównać tę sytuację z „czarną rewolucją” 60 i 70 lat w USA, tzn. z walką o równouprawnienie Murzynów. Liberalni biali politycy prywatnie mówili wówczas, że konieczne jest przyznanie Murzynom wszystkich praw obywatelskich, ale odmawiali im tych praw, gdy tylko występowali publicznie. Czekali, aż sprawę rozstrzygną sędziowie federalni. Arabowie chcą, żeby Stany Zjednoczone zachowały się jak federalni sędziowie. Ich odpowiedź brzmi — nie. Jeśli bowiem rząd amerykański wynegocjuje dla Arabów część Pa-

W

początkowym okresie działalności XIII Laboratorium — docent powierzył obowiązek kierownika, nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Miał sporo dobrych chęci, ale nie odróżniał fotografii starego kapelusza od latającego talerza, w dodatku był daltonistą, więc po paru miesiącach Fus zaopatrzył Kaptzovitz w jak najlepsze rekomendacje, upchnął go w instytucję kierowaną przez swojego największego wroga i zaczął rozglądać się za nowym kandydatem na wakujące stanowisko. Niestety, specjaliści wysokiej rangi byli nieosiągalni. Z reguły działali w komisjach rządowych lub wojskowych i propozycje przejścia do XIII Laboratorium traktowali jak ośmieszanie. Przez pół roku Fus bezskutecznie nagabywał różnych naukowców, obiecywał złote góry, aż w końcu, kiedy już rozważał dramatyczną decyzję likwidacji działu, niespodziewanie zyskał pracownika, o jakim wcześniej nawet nie marzył.

Docent Kaptzovitz, autor czterotomowej monografii o niezidentyfikowanych obiektach latających, znany i uznawany w szerokich kręgach ufologów był szefem elitarniej komisji ekspertów lotnictwa. Jego pozycję przekreślił jednak wypadek, który omal nie doprowadził do totalnej katastrofy. Mianowicie, pewnej listopadowej nocy pojawił się tajemniczy świecący obiekt nad równie tajemniczym obiektem sił powietrznych. Docent wyrwał brutalnie ze snu alarmującym telefonem przez dyżurnego oficera, warknął wściekle, że kto jak kto, ale pilot wojskowy powinien odróżniać UFO od światła pozycyjnych samolotu, a potem rzucił słuchawkę na widelki i spokojnie zasnął. Przeszłość powietrzna nad tajnym lotniskiem uznawana była za strefę specjalnej ochrony, więc po ekspertyzie Kaptzovitza w sztabie głównym wybuchła panika. Później próbowano wszystko zatuszować, ale i tak wyszło na jaw, że rozpoczęto nawet odliczanie do startu rakiet międzykontynentalnych, a kiedy stwierdzono wreszcie, że to fałszywy alarm, bo niezidentyfikowanym obiektem okazał się latawiec z przymocowaną latarką, którym bawiło się dwóch urwisów — nawiasem mówiąc, synów komendanta lotniska — w rozgardzaju zapomniano odwołać rozkaz ataku. Na szczęście wskutek przebiecia kondensatora w komputerze sterującym automat startowy, jak zepsuta płyta gramofonowa zaczął się na liczbę siedem. Powtarzał to nieszczerne siedem przez godzinę, zanim go wyłączono. Po tym wypadku załamany Kaptzovitz podał się do dymisji, która została przyjeta z zadowoleniem, i sam zgłosił się do Fusa.

Pod kierownictwem Kaptzovitza Dział Ufologii szybko nadrobił zaległości i wkrótce pod względem ilości publikacji wysunął się na przodujące miejsce w XIII Laboratorium. Fus był usatysfakcjonowany takim stanem rzeczy, ale Kaptzovitz — nie, i jego niezadowolone miało konkretną, uzasadnioną przyczynę. Gnębiło go, że chociaż od dwudziestu bez mała lat zajmował się problemem niezidentyfikowanych obiektów latających, nigdy takiego obiektu na własne oczy nie widział. Miał w rekach tysiące fotografii, czytał relacje świadków niezwykłych wydarzeń, rozmawiał z nimi i diabli go brali, że jakiś tam chłopina z zapadłej wioski nie tylko spotkał ufonautów, ale nawet był we wnętrzu ich pojazdu, a on, docent Kaptzovitz, nigdy żadnego tajemniczego światła na niebie nie dojrzał. Pocięszął się wprawdzie myśla, że w podobnej sytuacji są fizycy cząstek elementarnych — żaden z nich przecież, dajmy na to, protonu nie widział — ale była to mara oczlecha.

Kaptzovitz prześladował pech. Każda wolna chwila poświęcał na obserwację nieba, wszystkie urlopy spędzał w okolicach szczególnie często nawiedzanych przez UFO, ale zawsze akurat wtedy nastawał okres spokoju. Kiedy nad San Miguel de Tucuman przez cztery noce z rzędu całe eskadry jaskrawo świecących obiektów wykonywały skomplikowane ewolucje, docent ze swoją ekipą przybył na miejsce właśnie czwartego dnia nad ranem, a godzinę wcześniej UFO zwartym

szykiem odleciały w kierunku górzystych pustkowi Puna de Atacama. Kaptzovitz miał się najprzeróżniejszych sposobów, aby przyłapać chociaż jedno UFO. Podał analizie komputerowej wszystkie zarejestrowane obserwacje, żeby ustalić prawidłowość w pojawianiu się niezidentyfikowanych obiektów. Opracował tabelę prawdopodobieństw występowania UFO w danym punkcie czasoprzestrzeni i według jej wskazań, uzbrojony w aparaty fotograficzne czatował jak myśliwy na grubego zwierzaka, ale bezskutecznie. Wszystkie niezidentyfikowane obiekty unikały go z jakąś perfidną złośliwością.

W końcu, a było to mniej

badaniach prowadzonych po omacku, nic nie wychodziło i, być może, zniechęcony docent zrezygnowałby z ich kontynuacji, gdyby nie drobny sukces. Jego elektroniczny zegarek potraktowany silną wiązką promieniowania o zmiennej częstotliwości zaczął wskazywać godzinę dwudziestą pierwszą dziesięć trzy razy na dobę: dwa razy do południa i raz we właściwej porze.

Od tego momentu rozszyfrowanie kodu UFO było już tylko kwestią czasu. Oczywiście nie obeszło się bez drobnych potknięć. Pracownia ufologii nie miała odpowiedniego ekranowania i kiedy eksperymentowano z generatorem promieniowania,

właśnie był w kabinie, wyciągnięto przez dziurę w suficie. Zupełnie nie tylko skłócił Kaptzovitz, na czym świat stoi, ale potem jeszcze przez tydzień, zanim nie naprawiono windy, z jadowitą satysfakcją codziennie witał docenta na schodach. Satysfakcję czerpał stąd, że on miał pracownie na drugim piętrze, a Kaptzovitz na trzydziestym drugim.

Mimo tych i wielu innych jeszcze przeciwności prace nad modulacją promieniowania według kodu UFO zakończono i docent podjął przygotowania do koronnego eksperymentu. Pracowników swojej komórki podzielił na dwie sekcje: jedna zajęła się opracowaniem „audy-

krzeście koło generatora. Przez chwilę przypatrywał się płatninie kabli, którymi połączone były poszczególne moduły obwodów scalonych z wielostopniowym wzmacniaczem.

— Niech pan to zniszczy, zanim policja tu się zjawi — powiedział zwracając głowę w stronę Kaptzovitza.

Jakby na potwierdzenie jego słów za oknami rozległ się miękki dźwięk syren. Docent, o nic nie pytając, skinął na asystentów, a ci w mgnieniu oka rozebrali całą aparaturę, jej części ułożyli na półkach tak, że zanim komisarz w towarzysztwie pięciu umundurowanych policjantów pokonał różnicę poziomów między ulicą a Działem Ufologii, ostatnie ślady po eksperymencie zostały zatarte.

Kiedy grupa zawiadzonych egzekutorów prawa nie znalazła niczego, co podpadałoby pod jakikolwiek paragraf, opuściła gmach XIII Laboratorium, Fus odetchnął głęboko i powiedział:

— Narobił pan, docencie, niezłego zamieszania. Nie dość że ten pański generator oślepił stacje radarowe w promieniu kilkuset kilometrów, to jeszcze sparaliżował aparaturę pokładową wszystkich samolotów w tym rejonie.

— A więc to... — szepnął po-
bladły Kaptzovitz.

— Tak, to były samoloty: cztery pasażerskie, jeden sanitarny, a reszta — wojskowe myśliwce. Kiedy dostawały się w zasięg promieniowania, wpadały jak do czarnej dziury. Możemy mówić o niesamowitym szczęściu, że w tym piekielnym mlynie wokół nadajnika nie doszło do zderzenia.

— Obudził mnie telefon z ministerstwa lotnictwa — Fus mówił dalej po minucie grobowej ciszy. — Znałomy dyrektor departamentu powiedział mi, że nad miastem powstało coś w rodzaju Trójkąta Bermudzkiego i zapytał, czy to czasem nie nasza sprawa. Oczywiście zaprzeczyłem stanowczo i zaraz potem, łamiąc wszelkie przepisy ruchu drogowego, przyjechałem sprawdzić, jak przebiega pański eksperyment. Chwała Bogu, że zdażyłem przed policją.

Zgnębiony Kaptzovitz tępo patrzył na wygaszony ekran radaru.

— A więc to tylko samoloty... — westchnął ciężko. — Panie dyrektorze — dodał po chwili — proszę przyjąć moją rezygnację ze stanowiska kierownika Działu Ufologii.

— Ależ dlaczego...? — obruszył się Fus. — Przecież uzyskał pan właśnie dane do zupełnie nowej interpretacji niezidentyfikowanych zjawisk. Negatywny wynik eksperymentu wcale nie jest porażką, wręcz przeciwnie, może okazać się wielkim sukcesem. Proszę sobie przypomnieć sprawę doświadczenia Michelona-Morleya. Eksperyment pozornie się nie powiódł, ale przecież to właśnie stało się fundamentem szczególnej teorii względności. Podobny efekt może również przynieść pańskie doświadczenie.

Kaptzovitz z powątpiewaniem potrzaskał głową.

— Zastawić pułapkę na UFO i schwytać osiemnaście samolotów — przecież to kompromitacja.

— Jak to osiemnaście...? — Fus poczuł nagle, jak ciepnie mu skóra na karku. — Z ministerstwa telefonowano, że osiemnaście maszyn wpadło w pańską matnię, potem przybyły jeszcze trzy, więc razem powinno być ich siedemnaście.

— Ale na ekranie radaru było osiemnaście plamek.

Docent podał Fusowi dziennik laboratoryjny, w którym rejestrowano pojawiające się obiekty; zapisów było osiemnaście.

W Dziale Ufologii do białego rana trwała wytężona praca. Fus telefonował do ministerstwa i do wszystkich okolicznych lotnisk, aby ustalić, jakie samoloty wpadły w wir Kaptzovitza, asystenci analizowali protokół eksperymentu, odtwarzając przebieg zdarzeń, tylko docent siedział na uboczu i kreślił na kartce jakiś schemat. Projektował nową pułapkę na UFO.

Był to dzień pochmurny i mglisty, od rana siał drobny kapuśniaczek, więc warunki do obserwacji nieba przedstawiały się fatalnie. Ale Kaptzovitz nie zgodził się na odroczenie doświadczenia. O godzinie dwudziestej trzeciej dziesiątym, tuż po zakończeniu programu telewizyjnego, w otoczeniu asystentów zasiadł przed ekranem radarowym i włączył generator promieniowania; w eter poleciały sygnały wywołujące wszystkie niezidentyfikowane obiekty do zbiórki przy nadajniku. Przez jakiś czas nic się nie działo, aż koło północy na skraju ekranu radarowego pojawił się świecący punkt. Eksperymentarami wstrząsnął dreszcz emocji. Kaptzovitz drżącymi rękami usiłował rozluźnić węzeł krawata; zapomniał zupełnie, że już dawno go zdjął i schował do kieszeni laboratoryjnego płaszczka. Asystenci podnieconym szepem wymieniali uwagi. Kiedy tajemniczy obiekt zbliżył się na odległość około dwudziestu kilometrów i zgodnie z przewidywaniami zaczął krążyć wokół źródła emisji sygnałów, na ekranie pojawiły się dwa następne punkty, a zaraz za nimi jeszcze jeden. W pół godziny później już cały rój kilkunastu UFO zataczał oszalałe kręgi, a rozpromieniony Kaptzovitz zbierał gratulacje od swoich asystentów i dziękował im wylewnie za współpracę.

Tę radosną chwilę przerwał Fus, który w pantofoch i płaszczu narzuconym na pidszame jak szarżujący nosorożec wpadł do Działu Ufologii.

— Ludzie! — wrzasnął od progu. — Co wy tu wyprawiacie?!

Oburzony tym okrzykiem Kaptzovitz zerwał się z fotela, ale gdy spojrzał na dyrektora, milna mu zrzęda.

— Prowadzimy właśnie obserwacje UFO — rzekł, niespokojnie zerkając na ekran radaru, gdzie znów przybyły trzy obiekty.

— Proszę natychmiast wyłączyć ten cholerny generator! Natychmiast pan to wyłącz!!!

— ryknął Fus ponownie, widząc wahanie Kaptzovitza.

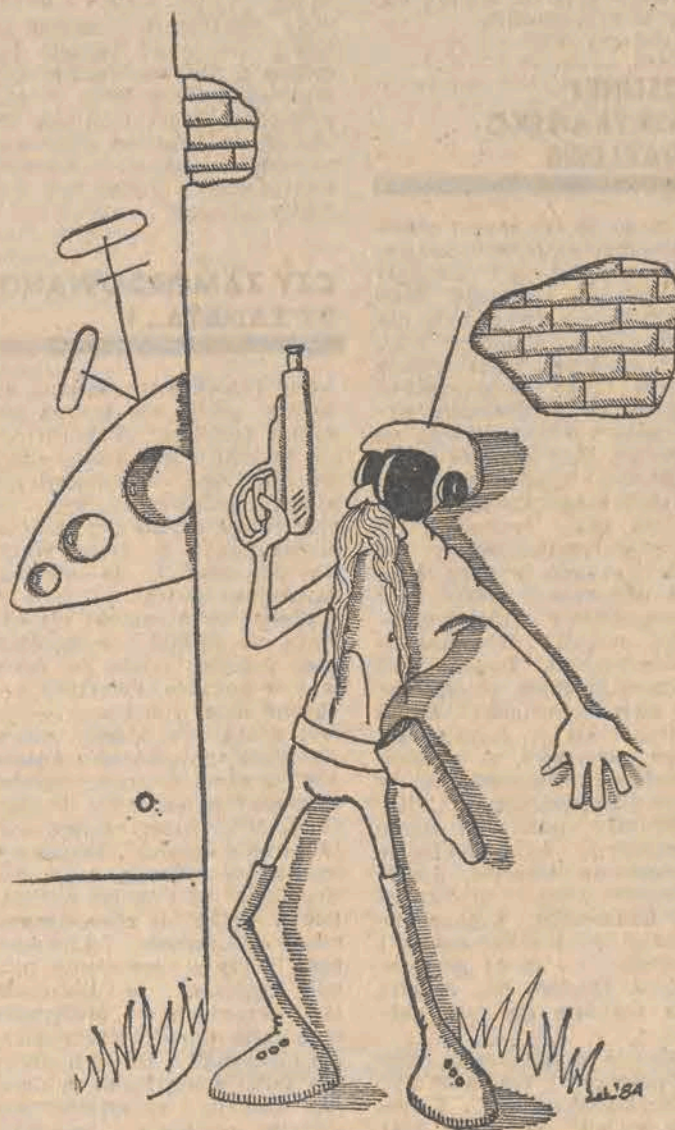
Docent nacisnął czerwony klawisz i wtedy krzącający po marowej petli rój obiektów rozorysował się we wszystkie strony, jakby pękły krepujące go więzy. Gdy ekran opustoszał, Fus otarł czoło i ciężko usiadł na

ANDRZEJ MERCIK

„Pułapka na UFO” Z Raptularza XIII Laboratorium

więcej po trzech latach pracy w XIII Laboratorium, Kaptzovitz postanowił zmienić taktykę działania. Jak wiadomo, niezidentyfikowane obiekty latające powodują zakłócenia pracy aparatury elektronicznej, wygaszają silniki samochodowe, a w niektórych przypadkach dziwnie wpływają na funkcjonowanie umysłów ludzi i to właśnie nasunęło docentowi myśl, że UFO emitują specjalny rodzaj promieniowania, wywołującego wymienione efekty. Kaptzovitz doszedł wkrótce do wniosku, iż jest to promieniowanie elektromagnetyczne o niezwykle skomplikowanej modulacji, a stąd już tylko krok do zdemaskowania tych obiektów. W Dziale Ufologii nastał okres eksperymentów. Z początku, jak to zwykle bywa przy

w całej dzielnicy miasta zakłócenia uniemożliwiały odbiór programów telewizyjnych. Napływające od okolicznych mieszkańców skargi, docent z początku ignorował, ale od pewnego marca wieczoru, gdy włączył generator podczas meczu finałowego o Puchar Europy i tłum rozświeczonych kibiców wdarł się do Laboratorium, prowadził doświadczenia dopiero po zakończeniu programu. Ostre starcie miał również Kaptzovitz z doktorem Żużlem. Zdarzyło się to na etapie badań wpływu promieniowania na silniki elektryczne. Modulowany sygnał sprawił — zresztą zupełnie przypadkowo — że winda w gmachu XIII Laboratorium najpierw z przyspieszeniem dwóch g pomknęła z parteru na najwyższe piętro, potem jak kamień zleciała dwadzieścia kondygnacji niżej, a w końcu łagodnie wyhamowała i utknęła między czwartym a piątym piętrem. Wszelkie próby ruszenia jej z miejsca spełzyły na niczym i starego doktora, który



Rys. Piotr Zdrzyński

Kronika

Od 6 do 12 lutego trwał w Swinoujściu ogólnopolski przegląd filmów fantastycznych, zorganizowany przez tamtejszy klub SF „Wąż morski”. Swinoujskie Towarzystwo Kulturalne, Wydział Kultury Urzędu Miasta oraz Zarząd Miejski ZSMP. Impreza podzielona była na dwie części. W pierwszej, otwartej zaprezentowano klasyczne już dziś obrazy, jak „Alphaville”, czy „Fabryka nieśmiertelnych” przeplatane je spotkaniami z twórcami SF (Andrzej Krzepkowski, Maciej Parowski) oraz teoretykami filmu SF. W drugiej, przeznaczonej dla przybyłych z całego kraju przedstawicieli klubów SF, przedstawiono filmy mniej u nas znane (m.in. „TRON”, „Dark Crystal”, „This Island, Earth”), a pokazy poszerzono o tematyczne wykład, prelekcje i dyskusje. Imprezę należy uznać za udaną, o czym zaświadczy z pewnością każdy z jej uczestników. Cieszy więc fakt, że organizatorzy zamierzają kontynuować tego typu przeglądy, następny planując za rok. Przypomnijmy, że imprezy filmowe poświęcone SF są coraz częstsze (seminaria w Olsztynie i Łodzi) i stwarzają możliwość bliższego poznania nie docenianej jakby fantastyki w filmie.

„Dni Fantastyki Grozy” to impreza organizowana w dn. 24–26 lutego br. w Śródborowie przez klub „Sfan” z Warszawy oraz Centrum Gier i Rozrywek Umysłowych ZSMP „Groteka”. Planowany jest udział pisarzy i krytyków literatury SF, wśród nich prawdziwego specjalistę od fantastyki grozy, red. Marka Wydmucha.

W pierwszych dniach kwietnia br. odbędzie się w Pardubicach czeskosłowacki konwent narodowy „PARCON”.

„Bliskie spotkania trzeciego stopnia” — to nazwa warsztatów twórczych organizowanych w Wiśle w dn. 2–8 kwietnia br. przez Radę Główną PSMF. Organizatorzy nie sprzeciwiali jeszcze bliżej merytorycznych założeń imprezy, wiadomo jednak, iż wezmą w niej udział krajowi twórcy SF (zarówno pisarze, jak i plastycy, wśród nich Janusz A. Zajdel, Andrzej Treпка, Wiktor Zwiakiewicz), a pod ich kierunkiem swych sił próbować będą młodzi autorzy, którzy przybyć mają ze wszystkich niemal ośrodków ruchu fanów.

Nieco wcześniej, bo w dn. 15–18 marca br. odbędzie się sesja popularnonaukowa pn. „Konstrukcje świata przyszłości w filmach fantastycznych i fantastycznonaukowych”, którą przygotowują wspólnymi siłami Śląski Klub Fantastyki, Uniwersytet Śląski i Oddział Polskiej Akademii Nauk. Ilustracją do serii referatów mają być filmy ze zbiorów Filmołeki Polskiej, wśród nich słynny obraz Stanleya Kubricka „Doktor Strangelove, czyli jak przestałem się bać i pokochałem bombę”.

Na rynku księgarskim ukazały się długo oczekiwane, a jeszcze dłużej zapowiadane, pierwsze tytuły z nowej krajowej serii SF Wydawnictwa „Alfa”. Są to reprinty przedwojennego wydania „Wieżnia na Marsie” i „Nieśmiertelnych” Gustave’a Le Rouge’a oraz kolejne wydanie dwutomowej „Polskiej noweli fantastycznej” w wyborze Juliana Tuwima. Redaktorem serii jest Marek S. Nowowiejski.

MARKO M.
MUROWANIEC

O tym, co powinna i czego nie powinna zawierać powieść zbójcka

— A tak, tak, przyjacielu — potwierdził ten sąd Niegłowicz, z żartobliwą powagą. — U wielkich pisarzy nawet zwykłe pierdniecie miało ogromne i brzemienne w skutkach znaczenie. Mogło wskazywać że bohater ma kłopoty z układem trawiennym lub jest osobą niekulturalną. Niekiedy chciał on tym faktem zademonstrować swoje lekceważenie dla towarzystwa, pogardę dla ogólnie przyjętych norm obyczajowych. Głośne pierdniecie w obecności króla i królowej mogło niekiedy prowadzić na szafot.

— To prawda, Nepomucenie — stwierdziła pani Basienka. — Zwróć uwagę na pana Turonia, który tu co roku przyjeżdża na wczasy. Jak brzydoko postępuje on w towarzystwie swej żony, choć jest człowiekiem kulturalnym. On czyni to po to, aby okazać jej swoją pogadę. Czy myślisz, że gdyby coś takiego zrobił stażysta w domu myśliwskim, piękna Luiza z taką samą ochotą rzuciłaby się w jego ramiona?

Lubiński czuł w głowie ogromny zamęt.

— Tak, tak, oczywiście, macie słusność — szarpai swoją jasną brodę. — Ale literatura podlega zupełnie swoistym prawom! Jest ona w pewnym sensie niejako poza prawem natury czy prawami życia.

— Ale nie powieść zbójcka, Nepomucenie — zaznaczyła Basienka. — Zresztą sam przecież tyle razy mi mówiłeś, że chcesz w niej przedstawić prawdę, a nie fantazję literacką.

Stażysta pan Andrzej głośno chrząknął na ławie, wsparty plecami o ścianę. Pani Basienka nie czuła się już w obowiązku demonstrowania mu kolan i ud. Przekreśliła więc na stolek swój kuperek, zwracając się twarzą ku doktorowi. Z uznaniem odnosiła się do jego uwag. Świadczyły one o tym, że doktor naprawdę znał życie, a także kobiety. On wiedział, nawet, że u kobiety, gdy jest podniecona, sutki powiększają się od zera koma pięć do jednego centymetra w wymiarze podłużnym i od zera koma dwadzieścia pięć do zera koma pięć centymetra w wymiarze poprzecznym, u podstawy. Potężna była wiedza doktora o ciele kobiety i jakże cudowny musiał być sposób, w jaki upokarzał on kobietę! Jaka szkoda, że Nepomucenie nigdy o tę sprawę nie spytał doktora, ale skazywał ją. Basienkę, na rozmaite domysły, na fantazje nieokiełznane i ogromnie podniecające.

I gdy o tym w tej chwili myślała, nagle stwierdziła, że brodawki jej piersi, obciążone ciężką białą bluzeczką, sterczą dziwnie ostro i wyraźnie zaznaczają się przez materiał. Zerknęła na doktora, który to zauważył, zawstydzona się i łokciami wsparła o baryk, zasłaniając biust.

Stażysta obudził się. Najpierw rozejrzał się nieprzytomnie po salonie pisarza, potem nagle wstał i oświadczył:

— Jest mi niedobrze. Idę do leśniczówki.

I wyszedł z domu pisarza na chwiejących się nogach. Na dworze nieco oziębiło go chłodne powietrze nocy. Ale jak zwykle pomylił kierunki. Zamiast ku leśniczówce, ruszył w odwrotną stronę — do wsi. Szedł zataczając się, a w głowie jego uległo przemieszaniu wszystko, co sam widział i przeżył, i to co przeżył jako stażysta z powieści Lubińskiego. Widział siebie, gdy rozpina bluzeczkę na piersiach pięknej Luizy, widział kolankami pani Basienki i jej uda. Jak nigdy dotąd pragnął kobiety i zarazem przeżywał to, co stażysta w domu myśliwskim.

Koło szkoły zatoczył się na drzewo, uderzył boleśnie w ramie i na krótko otrzęźniał. Zorientował się, że znajduje się daleko od leśniczówki Blesy, a w oknie szkoły pali się światło w mieszkaniu panny Luizy nauczycielki. Zapominał, że jest to stara, samotna kobieta. W jego myślach tkwiła tamta, piękna Luiza z domu myśliwskiego koło starej karpini. Imiona tych dwóch kobiet naładowały się na siebie w jego wyobraźni jak człowiek na swój cień.

— Luizo, piękna Luizo! Wyjdź do mnie — krzyknął pan Andrzej w stronę oświetlonego okna.

W oknie zgasiło natychmiast światło, a za szybą pokazała się biała plama twarzy. Pani Luiza z trwogą spoglądała w ciemność nocną, widziała na szosie jakiegoś młodego mężczyznę, który młotał się tam i wykrzykiwał: „Luizo, piękna Luizo”. A potem leżał na poboczu szosy w miękkiej trawie i zмирuchomiał w pijackim śnie. Stara kobieta odeszła od okna, rozebrała się nie zapalając światła. Długo nie mogła usnąć. Leżąc na łóżku w chłodnej pościeli zastanawiała się, czemu to ów człowiek zjawił się przed jej oknem i wołał przejmująco: „Luizo, piękna Luizo, wyjdź do mnie”. Odezwało się w niej jakieś bardzo dalekie wspomnienie. Pod powiekami zjawily się łzy. Ale już po chwili obeszły, nienawście zaciśnięła usta w wąską szparke. „On szedł chyba do młyna, gdzie dziś w nocy będą z sobą żył jak zwierzęta — myślała. — Wszyscy z wszystkimi. Od lat byłam pewna, że tak się u nas dzieje. Jak zwierzęta. Nigdy tam nie poszłam i nie pójdę. Nie mogę sobie pozwolić, żeby ludzie źle o mnie mówili”.

Opowieść o raju utraconym

Nurtowała proboszcza myśl o dwóch dziewczynach zabitych w lesie koło Skirolawek, w rozmowach z doktorem Niegłowiczem i pisarzem Lubińskim niejednokrotnie powracał do tej sprawy. Podobnie jak i tamci, miał przeczuć, że okrutny morderca znowu poszuka kolejnej ofiary. Zgadzał się z poglądem Niegłowicza, że zbójca nie jest człowiekiem, który swój instynkt potrafi zaspokoić w sposób normalny, ale napiętnowany został przedziwnym defektem, który sprawiał — jak to wskazywał dobitnie przypadek Hanecki — że jego narząd piciowy nie był posłuszny jego woli, stąd nienawiść i sadyzm w stosunku do

ofiar. Kłopotalo się też serce proboszcza z powodu wieści, jakie do niego zewsząd napływały, także i podczas spowiedzi, że stado wiernych żyło w sposób urągający moralności, w grzechach strasznych, nie wyłączając najgorszych: to jest kazirodztwa i sodomii. O ile jednak doktor szukał wyjaśnienia owych kwestii w księgach medycznych lub u filozofów, a pisarz Lubiński w „Pismach semantycznych” Gottloba Frege, to proboszcz Mizerera udał się po radę do swego ukochanego świętego Augustyna, autora fundamentalnego dzieła „O państwie Bożym”.

Dłatego w niedzielę na sumie wygłosił kazanie o raju utraconym, jedno z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek słyszano w tych stronach.

— Zastanawiam się często — tak zaczął Mizerera swoje kazanie — czemu to tyłu z was łaskę wiary w sobie traci i grzechami brzydkimi na potępienie wiekiste pragnie się skazać. Czemu to wielu z was raczej wchodzi wybiera niż cnotę, przez co traci prawo, aby po śmierci wejść do owego raju utraconego, który otworzy swe bramy tylko przed ludźmi o czystym sercu i dobrych uczynkach?

Powtarzał Mizerera swoje pytania coraz głośniejszym i dobitniejszym, i do takich dochodził wniosków:

— Wabi was grzech, bo wydaje się ciekawszy i bardziej pociągający niż raj utracony. Bo grzech przedstawia się wam jako coś pięknego, a raj utracony jako miejsce najnudniejsze pod słońcem. Widzicie wy ów raj jako ogromną łąkę zieloną, po której płyną strumyki czystej wody, biją kryształowe źródła, wokół rozchodzą się nabożny śpiew aniołów, a wybrańcy Boga w białych szatach tylko modły nieustannie odprawiają, spacerując jeden za drugim jak w więzieniu. I ani w tym raju nie ma knajp, ani gdzie można by wypić kieliszek wódki, ani ładnej dziewczyny, którą można by oblubić. Nawet telewizji tam nie ma. Nic, jeno ludzie w białych szatach aż do ziemi. Nic, jeno granie na harfach i lutniach oraz wachanie kwiatków. Nic, jedno poważne rozmowy. Ani żarciku, ani wesołego śpiewu, ani radosnego tańczenia, ponieważ nie godzi się nic takiego czynić przed obliczem Pana Naszego. Tedy niejednemu piekło wydaje się mniej straszne, bo tam w kotłach ze smolą będzie skwierczał z jakąś gołą jałowogrzecznicą, napatrzy się do syta sprośności, diabły zachęcać będą, aby grzeszyli do woli, nurzał się w lubieżności i czynił zło bez końca.

Ludzie zebrani w kościele ostrożnie kiwali głowami, że zgadzają się ze słowami proboszcza. Rozglądali się także po ścianach kościoła, gdzie wisiały obrazy przedstawiające życie w raju. Widzieli na tych obrazach szmaragdową łąkę, aniołów grających na harfach, i tych, co dostąpili szczęścia przebywania z Panem w wiecznej szczęśliwości, ubranych w białe szaty, które kryły kształt ciała, tak że trudno było odróżnić mężczyznę od kobiety. Ludzie ci chodzili po łące ze złożonymi nabożnie rękami, a między nimi jeszcze godnie kroczili tacy, co mieli złotą aureolę nad głową. Nawet w najmniejszym kątku obrazu nie dostrzegano się żadnej budowlanej przypominającej restaurację albo dom przeznaczony do tańców. Ludzie bali się śmierci, tęsknili za życiem wiecznym, lecz w rzeczy samej niejednemu przerażała myśl, aby całą wieczność spędzać na owej łące zielonej, w białej szacie i z harfą w ręku. Inaczej przecież było w piekle — dwa obrazy przedstawiające piekło także wisiały w kościele w Trumiejkach. W pobliżu tych obrazów nie chciała się modlić żadna pobożna starucha, gdyż co na nie spojrziała, wstrętu ją natychmiast ogarniał, strach ucałował za serce i zarazem jakąś dziwną błogość przenikała, którą trzeba było przezwyciężać myślą nabożną, zwróceniem oczu na obrazy raju utraconego. Widzieli się bowiem w piekle czarnych gołych mężczyzn z rogami i ogromnymi narzędziami piciowymi. Kiuli widłami niewiasty w gołe pośladki, a one, bezwstydnie obnażone, usta otwierały do krzyku przerażenia czy też rozkoszy. Byli tam nadzy mężczyźni z ogromnymi torsami i wężami muskułów, którzy do krwi tłukli kańczugami gołe pośladki niewiast i gołe pośladki mężczyzn, polewali ich gorącą smolą, torturowali zaś szczyrzyły zęby w jakimś straszliwym uśmiechu. Bezwstydne to były widoki, czemu się nikt nie dziwił, gdyż do piekła trafiać mieli właśnie bezwstydnicy i tam na wieczne tortury zostali skazani. Ale przecież gdy się tak ktoś dokładnie przyjrzał owym piekielnym obrazom, dostrzegł kielich wina, i gorzale, który miał symbolizować, że do piekła trafiają opoję i pijacy, zaś nagość owej rzeszy w piekle świadczyć miała, że przez bezwstyd nagości i lubieżności także droga do piekła prowadzi. Piękny był raj utracony — z łąką zieloną i kwiatami, ale wystarczyć raz spojrzeć na rajski widok i po chwili obojętniał. Natomiast widok piekła miał w sobie coś pociągającego. Kobiety dziwiwały się wielkością diabelskich narzędzi piciowych, a mężczyźni ogromnym biustom niewiast. Nic tedy dziwnego, że podstapające dziewczyny i młodzianki właśnie koło owych piekielnych obrazów woleli mszy słuchać, unikając miejsca, gdzie widniały obrazy przedstawiające raj.

Wiedział dobrze proboszcz, co czują jego wierni, przypatrując się rozwieszonym w kościele obrazom, tedy tak do nich przemówił w ową niedzielę:

— Powiadam wam, że głupcem był ten, co owe obrazy wymalował, przedstawiając na nich raj utracony i straszne piekło. Jeśli

do tej pory owych obrazów nie zdjąłem, to tylko dlatego, że innych nie posiadam, a ściany kościoła nie mogą świecić gołymi. Powiadam wam, że głupcem był ten malarz, bo i niby skąd mógł wiedzieć, jak naprawdę wygląda raj utracony albo piekło, skoro sam ani jednego, ani drugiego na własne oczy nie oglądał? Ale przecież byli na świecie ludzie, którym Pan Bóg nasz umożliwił spojrzeć do raju utraconego poprzez wizję, jakie przeżywali, albo nawet na krótką chwilę bezpośrednio mogli tam wstąpić. Do tych nielicznych osób należał święty Augustyn, o którym często wam wspominam, gdyż jest to mój ukochany święty. Pozwólcie więc, że i tym razem odwołam się do jego świadectwa. Jak sądzić, co płynęły strumykami przez raj utracony? Co bije ze źródeł w raju utraconym? Nie, nie czysta, kryniczna woda, ale specjalny trunk, zwany ambrozją. I każdy, którego duszy, albo go dręczy pragnienie, może sobie dowoli kubeczkem sięgnąć po ową ambrozję i wypić tyle, ile zechce. A jest to napój niezwykły, bo nie tylko, że gasi pragnienie, ale ze starca czyni młodzieńca, ze staruchy piękną kobietą, radość wprowadza do serca i sił ogromnych dodaje. Nikomu na ziemi nie udało się wyprodukować takiego trunku, żeby nie upijał, ale upajał, żeby po nim głowa nie bolała i język nie piał się, ale ciągnęła radość w duszy ludzkiej pozostawała, ciekawość mężczyzny budziła się ku kobietom, a u kobiet ciekawość do mężczyzn. Po co knajpy, po co restauracje i gospody ludowe, gdzie na stołach drzemają pijacy, słyszy się kłatwy i złorzeczenia, a nierzadko do bójk dochodzi, skoro w raju utraconym strumykami płynie ambrozja; owa ambrozja bije ze źródeł specjalnych i każdy bez pieniędzy może sobie wypić jej tyle, ile tylko zapagnie.

I tak zaczął dalej proboszcz Mizerera:

— Wspominałem tu o ciekawości, jaką w raju utraconym będzie miał mężczyzna ku niewieście, a niewiasta ku mężczyźnie. Inna to będzie, rzecz jasna, ciekawość niż ta, która na Ziemi bywa, to jest pozbawiona grzesznej lubieżności. Ale ku temu samemu celowi ma ona służyć, to jest ku zbliżeniu mężczyzny do kobiety, a kobiety do mężczyzny. Bo mylicie się sądząc, że wasze członki rodne nie będą wam potrzebne w raju utraconym, że nie będziecie ich tam używać. Przeciwnie, właśnie tam zacnie się z nich czynić właściwy użytek, ile razy zechcecie, do woli, do syta, ale bez grzechu lubieżności. Powiada bowiem święty Augustyn, że nie ma żadnych powodów, aby przypuszczać, że ludzie w raju rozmnażaliby się w inny sposób niż teraz na Ziemi, to jest przy pomocy rodnych członków. Ale istnieje pewna bardzo istotna różnica między tymi, którzy żyją na Ziemi, a tymi, którzy byłiby w raju albo znajdą się kiedyś w raju. Obecnie dla zbliżenia mężczyzny do kobiety nie wystarczy tylko dobra wola mężczyzny, ale potrzebna jest i grzeszna lubieżność, która członkiem męskim czyni właściwym i zdolnym do działania. W raju zaś utraconym — to nie było potrzebne: wystarczyła sama tylko dobra wola. Pisze święty Augustyn w księdze cztertnastej, rozdziale dwudziestym czwartym: „Zasiewały więc potomstwo mężczyzna, a przyjmowałyby posiew niewiasta, posługując się, kiedy by i o ile by zachodziła potrzeba, rodowymi członkami, pobudzonymi przez wolę, a nie podnieconymi przez lubieżność. Bo przeciw wedy uznania poruszamy nie tylko takimi członkami, które mają sztywne kości i przedzielone są stawami, jak na przykład ręce, nogi, palce, lecz również takimi, które oddano we władanie głębkich nerwów”. Nie ma więc żadnych powodów ku temu — stwierdza dalej święty Augustyn — aby mniemać, że członek męski nie mógłby być posłuszny woli mężczyzny tak samo jak usta albo język.

I mówił dalej Mizerera:

— Pięknie, a nawet cudownie pod tym względem miało być w raju. Ale Ewa, która posłuchała Szatana, spowodowała, że raj ten utraciliśmy i odzyskamy go dopiero przez wiarę i dobre uczynki. Dlatego obecnie niejedną z was, szczególnie starszy wiekiem mężczyzna, bezradnie leży obok swej niewiasty, która chciałaby przyjąć jego posiew. Na próżno wysła swoją wolę, na próżno chce zaspokoić jej żądanie, przez co grzech cudzołóstwa się do jego domu zakrada. W takiej chwili niechże ów mężczyzna pomyśli o raju utraconym, niechaj przez wiarę i dobre uczynki postara się tam dostać, gdzie do posiewu jego nasienia wystarczy mu dobra wola. Niechajże i owa niewiasta, wobec której mąż nie może spełnić swej powinności, pomyśli także o raju utraconym, stara się do niego dostać przez wiarę i dobre uczynki, gdyż tam będzie otrzymywał posiew męski, jak mówi święty Augustyn: „kiedy by i o ile by zachodziła tego potrzeba”. Zdarza się też, że i młody mężczyzna miewa w tych sprawach pewne kłopoty, na próżno wysła swoją wolę, aby sprostać męskiemu zadaniu. Nie powinien wówczas bliźni przeciw Bogu, mścić się na niewiastach za ich potrzeby przez czyny okrutne, ale niechaj i on także pomyśli o raju utraconym, do którego wejść może przez wiarę i dobre uczynki. Tam bowiem będzie czynił te sprawy ku własnemu i niewiasty zadowoleniu, tylko przy pomocy dobrej woli, to znaczy, kiedy by i o ile by zachodziła ku temu potrzeba”. Wolam więc do was wielkim głosem: W waszych codziennych kłopotach zwracajcie się myślą ku Panu, myślcie o raju utraconym, o tym, aby został on przed wami na powrót otwarty, albowiem czeka tam na was sama radość i samo szczęście! Amen.

Dobre i mądre były słowa proboszcza Mizerery, jak deszcz wiosenny spadły na żłaknioną rosy ziemię. Niejedną mężczyznę i niejedną niewiastę znalazł w jego słowach pociechę w swych nocnych kłopotach i pokrzepiali się myślą, że w raju odzyskany życie ich zupełnie się odmieni. Ciekawilo ludzi, czy na kazanie Mizerery przyszedł ów straszny zbrodniarz, czy odczuwał skruchę, a także, czy obudził w sobie nadzieję. Ogólnie wątpiono jednak o tym, ponieważ już rozszalał się między ludźmi wieść, że był to człowiek obcy, najpewniej z zagranicy.

Jedna była bezsporna i dowodna korzyść z kazania Mizerery. Rada kościelna postanowiła zdjąć obrazy raju i piekła ze ścian kościoła i zebrać dodatkową sumę na zakup innych obrazów świętych, a także zamówić u jakiegoś malarza obraz przedstawiający świętego Augustyna, który ludziom z parafii Trumiejki przywrócił chęć, aby znaleźć się w raju utraconym.

Gdzie należało szukać owego malarza, który podjąłby się wykonania tak ważnej pracy? I ile też taki malarz w dalekim mieście zażyczyłby sobie za obraz dla kościoła w skromnej i ubogiej parafii Trumiejki?

Zwrócono się w tej sprawie do Bogumiła Porwasza w Skirolawkach, który ukończył Akademię Sztuk Pięknych i — o czym było wiadomo — sprzedawał swoje obrazy nawet w Paryżu u barona nazwiskiem Abentdeuer. Porwaz długo zwlekał z odpowiedzią na propozycję rady kościelnej. Aż wreszcie, zobaczywszy w dniu Kondka, przedstawiciela rady kościelnej, kwotę dziesięciu tysięcy złotych w formie zaliczki za obraz — pieniądze i propozycję przyjął ku ogólnemu zadowoleniu. Co tu bowiem ukrywać — nie ma to jak człowiek tutejszy, a nie jakiś obcy, który może nawet i niewiele wie o świętym Augustynie i jego zasługach dla parafii Trumiejki.

A jednak, gdy tylko zaliczka na obraz przeszła z ręki Kondka do ręki Porwasza, w domu Kondka zeszło się kilku pobożnych gospodarzy z okolicznych wiosek i zaczęło deliberować, czy Konddek dobrze uczynił, ponieważ malarz Porwaz mówi o sobie, że jest ateista.

— Gdyby był innej wiary, mógłby święty obraz namalować, bo ludzie innej wiary bywają porządnymi ludźmi — twierdził gruby Lejca z przysiółka Liksajny. — Mógłby też taki obraz namalować, gdyby był niewierzący. Wielu jest bowiem u nas ludzi niewierzących, choćby pisarz Lubiński albo leśniczy Turlej, ale to porządni ludzie. Doktor Niegłowicz zaś, choć w różnych kościołach się modli i raz w Boga wierzy, a raz w niego nie wierzy, też jest jednak porządnym człowiekiem. Nie powinno jednak tak być, żeby święty obraz malował ateista.

c.d.n.

Rus. Janusz Szymański-Glane

